

# Chore dusze, tom II





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

---

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

## *Chore dusze*

## TOM II

Dni kilka upłynęło od obiadu u pani Lizy, którą brat zaczynał w najmniejszych jej ruchach i słowach śledzić z podejrzliwym niepokojem i obawą, tak stan jej zdrowia, ducha i humoru wydawał mu się nadzwyczajnym. Przypisywał on to wpływowi klimatu i, chociaż pobyt w Rzymie był dla niego dosyć ponętnym, gotów już poświęcić siebie, jechałby był z nią gdziekolwiekby, byle ją widzieć uspokojoną. Szło mu wielce o tę biedną siostrę, do której był przywiązany, a pragnął jej życie osłodzić, po tylu doznanych goryczach.

Dawniej poważna, smutna i chłodna, wpadła teraz w jakiś stan nerwowy, w którym jej nigdy dawniej nie widywał. Jawnem było, że nie wiedziała co począć z sobą. Zrywała się wyjeżdżać gdzieś, a nazajutrz znowu chciała tu dłużej pozostać. Wciągu dnia jednego zmieniała kilkakrotnie usposobienia; mówiła że jej tu dobrze, potem że wyżyć nie może. Naprzemian bywała to niezmiernie wesołą i prawie roztrzepaną, co się jej nigdy wprzód nie trafiało, to kwaśną, niecierpliwą, milczącą. Brat odgadnąć jej nie umiał. Kilka razy wśród rozmowy sama się sprzeciwiała sobie, a gdy jej brat robił uwagi, uciekała prawie rozplakana. Ferdynando nie poznawał swjej ukochanej siostrzyczki.

Nareszcie ośmielił się jej raz uczynić uwagę, że się jakoś zmieniła bardzo. Rozgniewała się na niego, nazwała to przywidzeniem dziwnym i lży stanęły jej w oczach. Brat pośpieszył przeprosić i tak się to skończyło. Nic jednak wymówka nie pomogła i humor, jakim był, pozostał.

Pomimo zaproszenia, Wiktor nie pokazał się rychło. Obowiązkowy bilet poobiedni złożył o tej godzinie, kiedy Lizy w domu nie było, co ją widocznie zabolalo. Nie pokazał się też u księżny, a nawet i pan Ferdynand nigdzie go nie spotykał.

Niecierpliwość i rozdrażnienie pani Lizy rosły, brat już nie umiał ani radzić na nie, ani śmiało badać, będąc odprawiany z niczym. Jednego dnia wreszcie zapytała go, jakby od niechcenia, czy nie widział gdzie „tego pana Wiktora.”

— Nie, nigdzie go nie spotkał — odparł Ferdynand — ale w tym nic nadzwyczajnego niema; wiadomo że dziwak jest. Czasem tygodniami błądzi po Kampanii i okolicach Rzymu sam jeden.

— Przez litość czy przez ciekawość powinienbyś się przynajmniej dowiedzieć, co się z nim stało — dodała siostra, i jakby się sama zawstydzila tej troskliwości zbytniej o nieznanego, obcego człowieka, zamilkła zarumieniona.

Ferdynand, nic na to nie odpowiedziawszy, zadumał się mocno. Podejrzenia jego nabrały coraz większego prawdopodobieństwa.

— Co ona w tym dziwnym człowieku mogła znaleźć tak osobliwego? — pytał się w duchu. — Niepojęta to rzecz!

Tegoż dnia, posłuszny, poszedł na Babuinę. Stara Anunziata, u której miał szczególne łaski, jako ładny chłopak, bo starzy lubią młodość kwitnącą, na zapytanie jego o Wiktora, zamachnęła rękami obiema po włosku.

— Niema go, niema! — rzekła — ale czyż to pierwszy raz? Czasem po dwa tygodnie z domu nie wychodzi, a potem jak ruszy, to strach mnie bierze, czy mu się gdzie co złego nie stało.

Potrząsała głową.

— Nie mówił kiedy powróci? — zapytał Ferdynand.

— *Che! che! che!* — zaśmiała się starucha. — Zapewne! żeby on też miał się komu spowiadać z tego co pocnie. Albo to on sam nieboraczętko wie, co się z nim jutro stanie?

Pożegnawszy uśmiechając mu się staruszkę, Ferdynand powrócił do domu i złożył raport krótki, na który nie otrzymał odpowiedzi. Później dostrzegł, że Liza przez resztę dnia była nadzwyczaj pogrążoną w sobie i przybitą.

Pan Ferdynand, choć nieświadomy, poznawał jednak, czemu wierzyć mu się nie chciało, że coś tu być musi. Postanowił więc na próbę pilnować powrotu Wiktora i sprowadzić go do siebie natychmiast, skoro się tylko zjawi.

— Smutnaby była historia — mówił sobie — bo to jakiś cygan. Ale niechże go Liza lepiej pozna, to łatwiej się zrazi i rozczaruje... Zresztą jeśli jej ta fantazyja choć na chwilę ma przynieść rozrywkę, to niema w tym nic złego.

Z przeszłości wiedział Ferdynand, iż siostrze, nawet w wypadku fantazyi jakiej, żadne nie groziło niebezpieczeństwo. Znał wielką surowość jej zasad i wierzył w nią, jak w ziemskiego anioła. Co ona chciała i robiła, nie mogło być naganném. Brat uznawał wielką jej wyższość nad sobą i tam nawet, gdzie rzeczy nie rozumiał, gotów był zawsze ślepo spełniać jej wolę.

Włócząc się na Babuinę i do Pepity także, pod pozorem szukania artysty (choć ją ta go zimno i pogardliwie przyjmowała), miał naostatek to szczęście, że schwycił pana Wiktora, powracającego właśnie do domu.

Zastał go jeszcze w zapyłonej bluzie, leżącego nawznak na sofie i niesłuchanie znużonego. Anunziata, niby przypadkiem, faworyta swojego wpuściła.

Zobaczywszy go, Wiktor zerwał się trochę zniecierpliwiony, ale wprędce się uspokoił.

— Wszyscy się o pana dopytywali, wszyscyśmy się troszczyli, co się to z wami stało — zawołał, serdecznie go witając, Fernando. — Nie godzi-bo się tak nam dezerterować. Siostra moja nawet zagadywała mnie o pana kilka razy; księżna Teresa także. Sądziłyśmy, że się może na nas pogniewał.

— Cóż znowu — rozśmiał się z przymusem Wiktor. — Zaco i poco miałbym się gniewać, kiedyście byli tak łaskawi i uprzejmi dla mnie? Państwo-bo chorego i skwaszonego człowieka nie znacie. Miówam takie napady, w których potrzebuję dla orzeźwienia się ciszy, samotności, włóczęgi. Naówczas biorę kij i ruszam w świat. Wiem że to jest rzeczą nieprzyzwoitą, ale takim mnie już Bóg stworzył, a ja się przerobić nie umiem.

— A zatem niech będzie, jak być musi — wesoło rzekł Ferdynand. — Ale kiedy was złapałem, to proszę koniecznie do nas dziś na herbatę.

Wiktor, mrużąc, wymawiać się zaczął, ale Ferdynand napastliwie, po młodemu, nalegał i wymógł na nim słowo.

Zdobywszy je, rad bardzo pośpieszył do domu, siostrze jednak nie powiadając nic, aby jej zrobić niespodziankę. Był tego dnia tak impertynencko wesołym, że kilka razy za to burę odebrał.

Po odejściu natręta, za którego wpuszczenie bez zapytania Anunziata wysłuchała cierpliwie wymówek, poruszając tylko ramionami, Wiktor wybrał się naprzód zjeść coś do swej tratoryi.

Tu Pepita, z włoską żywością i poufałościąklepiąc go brudnymi rączkami po ramieniu, napadła nań z gniewem i wesołością razem, łając go, śmiejąc się i przyjmując jako zbłąkaną owieczkę, powracającą do domu.

Na tę scenę, zapewne szukając go także, nadszedł hrabia Filip, niedopoznania błądy, zachmurzony, posępny. Podeszedł, zobaczywszy Wiktora, jakby się mocno ucieszył, że go nareszcie pochwyił, i zaczął dopytywać, co się z nim działo, iż nigdzie ani go zobaczyć, ani się o nim dowiedzieć było można.

— Panie hrabio — odezwał się Wiktor. — Widzę że mnie państwo teraz tak samo mylnie bierzecie za salonowego człowieka i próżniaka, jakeście wprzód brali za artystę. Ja jestem ekscentryk: lubię swobodę. Znikam i powracam na świat, gdy mi przyjdzie fantazyja.

Hrabia się skrzywił, pochylił ku niemu i zapytał cicho:

— A cóż? nie miałeś pan sposobności mówić z tą... kobietą, z tą panią?

— Z kim?

— Z tą mniemaną artystką.

Wiktor, któremu ona wyszła z myśli, teraz ją sobie dopióro przypomniał.

— Nie widziałem jej — odparł sucho.

— Sądziłem — ciągnął dalej hrabia — że po naszej ostatniej rozmowie będziesz tak łaskaw, w interesie własnym tej nieszczęśliwej, z nią pomówić. Ona tu nie ma co robić, a przyznaję się, że mnie zawadza i pobyt w Rzymie mi zatruwa.

— Ze mnie najgorszy w takim razie pośrednik — odparł Wiktor zimno. — Nie jestem stworzony do spraw podobnych.

Hrabia Filip rzucił się niecierpliwie.

— Do jakich spraw? — podchwycił, jakby urażony. — Żadnej innej sprawy w tém niéma, nad potrzebę ocalenia kobiety niedoświadczonéj, nieopatrzonéj, dumnéj, a głowę mającój przewróconą, która...

— Hrabiemu zawadza — śmiejąc się, dorzucił Wiktor.

— To swoją drogą — odparł Filip. — O mnie zresztą mniejsza, ale ona tu do niczego nie dojdzie, chyba do jakiej ostateczności, do rozpacz.

Wiktor, jakby dłużej już o tém mówić nie chcąc, cały się zajął zjadaniem makaronu, przyprawionego po neapolitańsku.

Hrabia jednak nie ustępował, okazując coraz widoczniejsze podrażnienie. Przegarniał włosy naprzemiany i darł rękawiczki.

— Sądziłem — rzekł wkońcu — że pan mi zechcesz przyjść w pomoc, dla ocalenia téj kobiety, którą ja znając, wiem co jój grozić może. Spełniłbyś pan, wierz mi, dobry uczynek.

Wiktor jadł już bez apetytu, ale z wielką napozór chciwością, aby nie odpowiadać. Chciał się uwolnić od natręta i od poselstwa.

Nie było to łatwem, bo hrabia, tę jednę mając drogę do wykonania tego, co sobie zamierzał, trzymał się uparcie Wiktora. Zaczął więc znowu nalegać, wmawiać obowiązek, prosić wkońcu, tak iż Wiktor, rad nierad, odpowiedział że przy zdarzonej sposobności starać się będzie spełnić życzenie hrabiego, nie obiecując jednak ani pośpiechu, ani zabiegania o tę sposobność.

Filip, i tém już zaspokojony, natychmiast go pożegnał.

— Wierz mi pan — dodał, gorąco ściskając jego rękę — spełnisz uczynek dobry i kroku tego nie będziesz sobie miał do wyrzucenia.

Skończyła się na tém rozmowa.

Wieczorem Wiktor, przeistoczony na cywilizowanego człowieka, ubrany starannie, zjawił się w salonie pani Lizy, w chwili gdy ona się go wcale nie spodziewała.

Wprowadzający go Ferdynand złośliwie i ciekawie przypatrywał się wrażeniu, jakie sprawi zjawienie się Wiktora. Liza zbladła, zmieszana się, odzyskała prędko panowanie nad sobą, ale gościa przyjęła zimno.

Pod tym chłodem, umyślnie przybranym, każdy inny, nie pan Ferdynand, byłby się łatwo domyślił wzruszenia i wcale inaczej ocenił ten symptomat. On prostodusznie wziął to za dowód obojętności.

Zupełnie uspokojony, rzekł sam do siebie: „Omyliłem się, niema nic; ale bo téż i być nie mogło.”

Zwykli goście codzienni opóźnili się jakoś dnia tego na Via Sistina; Wiktor usiadł i rozmowa się rozpoczęła.

Zawiązała się ona tak powszednim trybem, tak nic nie znacząca w początku, iż Ferdynand wyszedł, by zająć się herbatą. Jakież było jego podziwienie, gdy zapowrotem znalazł siostrę siedzącą obok artysty, w najżywszej z nim poufałej i wesołej rozmowie. Twarz jój promieniała, oczy były pełne blasku; odmłodziła nagle, stała się inną.

Ferdynand i to zanotował, że Wiktor siedział na swém miejscu, które zajął był wchodząc, gdy Liza sama się do niego zbliżyć musiała, bo teraz obok siedziała.

Na Wiktorze, który wszedł pomieszany, widać już tylko było ożywienie nadzwyczajne, wzruszenie, które go całkiem pochłaniało. Nie zdawał się bronić nawet wrażeniu; cały był jak pod urokiem pięknej sąsiadki.

Ten, który teraz siedział zwrócony do pani domu, tak nie był podobnym do tego, który tu przed chwilą wszedł, jakby z musu i przeciw woli, że Ferdynand stanął na progu, patrząc na oboje i nic już nie mogąc zrozumieć.

Nie umiał pojąć, jak krótka chwila starczyć im mogła na tak wielką zmianę, na przebieżenie drogi tak długiej. Był to dla niego cud, którego nie umiał sobie wytłumaczyć. Naostatek wyłożył to sobie wymaganiami salonowemi, konwenansami, które zmusiły gospodynię domu i gościa do wzajemnego zbliżenia się i pewnej poufałości. To go nieco uspokoiło. Nie mógł przypuścić, ażeby nagła ta zmiana większe miała znaczenie.

Wistocie zaś miała ona znaczenie wielkie... chwila była stanowczą. Liza uległa wewnętrznemu głosowi, który ją zmusił zbliżyć się do Wiktora. Widząc się z nim samą, stała się śmielszą, przemówiła i uczucie w głosie jój zadrgało. Wiktor został pokonanym.

Starczył ten moment, tych kilka słów zamienionych, by oboje uwierzyli w siebie i w konieczność zbliżenia się. Serca się tego despotycznie dopominały.

W obejściu się Lizy z tym obcym wczoraj a dziś już jakby swoim człowiekiem, było coś braterskiego, opiekuńczego, a razem nakazującego. Czuła że panować mu będzie i że się jój dłużej nie potrafi opierać. Po za ten cel dopięty myślą nie sięgała. Jaki mógł być koniec tego

stosunku dziwnego, nie śmiała nawet badać. Musiało się stać, co było przeznaczonem: był to człowiek fatalnością dla niej wskazany.

Wiktor dotąd wyżej nad wszystko ceniący swobodę, wyrzekł się dawnego bóstwa... poddał się.

„Niech się dzieje co chce — rzekł sobie w duchu. — Jak za wszystkie życia marzenia, i za to zapłacić będzie potrzeba, kto wie jakim kielichem goryczy; ale... tak chciało przeznaczenie.”

Nie przemówili do siebie żadnem słowem znaczącem, któreby ich zdradziło; słów im nie było potrzeba, oczy i dźwięk głosu starczyły. Omylić się na ich znaczeniu nie mogli.

Gdy Ferdynand, postawszy w kątku i popatrzawszy na nich, odszedł znowu zadumany nad problematem, Liza szepnęła pośpiesznie, korzystając z nieobecności brata:

— Nie bądź-że pan tak dziki, nie lękaj się tak ludzi i stosunków, a nie tłumacz sobie fałszywie ich życzliwości. Wierz mi pan, są serca na świecie.

Wyciągniętą rączkę chwycił Wiktor, do ust ją niosąc za całą odpowiedź. Ferdynand, wchodzący właśnie, postrzegł to i stanął pomieszany. Rachuby na konwenanse okazały się fałszywe; Liza tak była przejętą, że się nawet nie zawstydzila brata, nie zarumieniła i nie oddaliła od gościa na widok wchodzącej księżny Teresy. To, co czyniła, zdało się jej naturalnem, koniecznem.

Wiktor szczęście to cudownie przeistoczyło, zrobiło z niego innego człowieka. Znikła wszelka jego nieśmiałość dzika, nieufność i zamykanie się w sobie.

Księżnie, która żartobliwie zaczęła od wymówek za cygaństwo i włóczęgę, odpowiedział śmiało, że to już był wybryk ostatni i że przyrzeka poprawę. To mówiąc, spojrzął na Lizę, a ta lekko głową dała znak, okazując że go zrozumiała.

Brat nie wychodził z osłupienia. Nigdy jeszcze siostry tak nadzwyczaj ożywioną, szczęśliwą prawie nie widział. Zaczynał się utwierdzać w przekonaniu, że bądźco bądź, miała fantazyjną i że Wiktor wpływ na nią wywierał niepojęty.

Wkrótce potem znalazł się w salonie i hrabia August, a po nim zaraz nadeszli księżna Ahaswera z poetą.

Hrabiego tylko Filipa brakło jeszcze, na co się nikt nie uskarżał.

August z tą sympatyą, jaką ciągle okazywał Wiktorowi, zbliżył się do niego, wyrzucając mu iż tak długo pozbawił ich swojego towarzystwa.

— Ja na tém straciłem najwięcej — odpowiedział Wiktor prawie wesoło. — Ale człowiek jest nałogowym: wzięła mnie raz jeszcze chęćka do włóczęgi, wróciła cygańska natura. Postaram się ją zwyciężyć.

— Byliśmy trochę nawet niespokojni o pana — rzekł August — bo po okolicach Rzymu niezawsze bezkarnie błąkać się można.

— Tak jest — odparł Wiktor — ale w stariej bluzie, z kijem, wyglądając na artystę, przy którym nad album i ołówek więcej się spodziewać nie można, chodzi się dosyć bezpiecznie.

Wtém zjawił się hr. Filip, który przywitał gospodynię mniej hałaśliwie niż zazwyczaj, milczący, co mu się rzadko trafiało. Z miną jakąś nieswoją, stanął skromnie z boku, zdając się zajęty myślami, które go od towarzystwa odrywały.

Zmiana usposobienia była uderzającą. Niemiał tego wieczora ochoty ani się sprzeczać, ani tak bardzo ludzi sobą zajmować.

Gospodyni, przez litość, zbliżyła się do niego i przemówiła słów kilka, które on przyjął obojętniej niż zwykle, skłonił się i pozostał roztargniony jakiś, kwaśny.

W kątku Ahaswera, także dnia tego cichsza, mniej roztrzępana, melancholiczna, słuchała szepcanta swojego nadwornego poety, zajętego nią w tak uderzający, możnaby powiedzieć kompromitujący sposób, iż goście odwracali od nich oczy, aby nie widzieć tego, co tak jawnie objawiać się nie było powinno.

Wśród tego kółka, tak rozerwanego dziś, niespokojnego, jeden Wiktor był swobodny, ożywiony, jak w domu. Księżna Teresa śledziła jego kroki, ruchy, słowa i zdawała się zajęta rozwiązywaniem nowej dla siebie zagadki.

Na pierwszym wieczorze u księżny Teresy wszyscy to postrzegli, że pod powłoką zdziżalego artysty, krył się człowiek nawykły do dobrego towarzystwa, obracający się w niem ze swobodą narodzonego do niego i spoufalonego. Teraz daleko jeszcze wybitniej potwierdzało to zachowanie się Wiktor naturalne, zarazem swobodnym humorem

jakimś i delikatnością nacechowane. Przy pierwszym wystąpieniu czuć jeszcze było pewną sztywność, powstrzymywanie się, ostrożność; tego wieczora spadły okowy. Stał się innym; widać było że się czuł szczęśliwy, a szczęście nietylko spotęgowuje siły, lecz czyni czasem aż do zuchwalstwa odważnym.

Ten humor p. Wiktora na nikim nie uczynił takiego wrażenia, jak na hr. Filipie, który przed chwilą widział go w tratoryi posępnym, szorstkim, nachmurzonym.

Szczęście to, promieniejące z twarzy Wiktora, zdawało się go do rozpaczki doprowadzać.

Odciągnął nabok hr. Augusta.

— Spójrzcie, proszę — rzekł cicho — co to się z tym jegomością stało? jak on tu w salonie pani Lizy szeroko się i swobodnie rozpościęra! Co za swada, dowcip, werwa!

Mówiąc to, śmiał się szydersko, złośliwie. Hrabia August odparł sucho i krótko:

— Dziś jest dopiero jak być powinien, nie czuje się skrępowanym. Tém lepiej. Zyskał na tém.

Hrabia Filip zamilkł i odszedł. Bolało go to.

Prawie toż samo postrzeżenie uczynił poeta, udzielając go na ucho Ahaswerze, ale z większym podziwieniem, niż złośliwością. Jego to, zamiast odstręczać, zachęciło do zbliżenia się ku tryumfatorowi. Prosił na to o pozwolenie księżny i otrzymał je. Zdawała się nieco znudzoną niewyczerpanym patosem, którym ją karmił.

Emil Marya wstał i przysunął się do rozprawiającego żywo i wesoło Wiktora.

— Widzę — rzekł — kochany kolego, że osławione powietrze Kampanii rzymskiej na was wywarło szczególny, a szczęśliwy skutek. Przynieśliście z niej jakby zaczerpnięte życie nowe.

Wiktor obejrzał się na niego z pewnym rodzajem politowania.

— Tak — odparł — są istoty jak ja dziwacznie stworzone, które tam czerpią życie, gdzie inni śmierć znajdują. Ja, jak bawoły, co w maremach żyją, malaryą tuczę się i upajam.

— To dowodzi krzepkiej natury zwyciężkiej, której wam zazdroścę — odparł poeta.

— My, dzieci cywilizacji sztucznej i wydelikacjonnej, z życiodawczej piersi natury pić nawet nie umiemy i nie możemy.

— A! natura! natura! — przerwał Wiktor z zapalem, z jakim dziś mówił o wszystkim.

— Natura, kochany poeto, jest to ogólnik, którego znaczenie bliżejby określić należało. Potrzeba do tak zwaney natury powracać, odżywiać się nią — to prawda; ale wpadać, jak Rousseau, w bałwochwalstwo jakiegoś stanu natury wymarzonego, którego nigdy nie było, doprowadza tak samo do pojęcia życia sztucznego, jak zupełne od niej oderwanie się. Stan natury widzimy u ludów dzikich. Zakochać się w nim niepodobna, zazdrościć go byłoby śmiešnością. Stan ten cywilizacji, który wy zowiecie produktem sztuki, jest przecież równie w naturze człowieka, jak wszystko co on tworzy. Nad naturę wynieść się i z niej wyjść nie może. Naturalnem jest wszystko... nawet sztuka.

Emil Marya wielkimi oczyma spojrział na mówiącego, jakby powątpiewał, czy on istotnie to mówi, co myśli.

— Nie znajdujesz więc — odparł — że cywilizacja na krzywe i błędne weszła drogi?

— To inne pytanie — odezwał się Wiktor. — Człowiek skłonny jest do przesady nawet w dobrém, które umie doprowadzić do absurdum; niemniej jednak droga cywilizacji nie jest fałszywą, jest jedyną, jaką nam natura sama wskazuje. Chcieć powracać do dzikości, pod pozorem poprawy i uzdrowienia, byłoby najśmięszniejszym błędem. Ja bardzo kocham naturę, ale pojmując ją szeroko, sztuki z niej nie wyłączam. Naturę trzeba ujarzmić i uczynić nam posłuszną, a przynajmniej zmusić ją, by z nami żyła w zgodzie i była nam pomocnicą.

Poeta stał namarszczony.

— Wy... wy — rzekł zimno — jesteście człowiekiem miary i rozsądku. Winszuję wam tego, ale wszyscy równie szczęśliwem usposobieniem pochwalić się nie mogą. Są szaly i roznamiętnienia...

— A, tak! są piękne, cudowne, zachwycające szaly — poprawił się Wiktor — są sny, z których budzić się byłoby bolesnem i zabójczem. Kto śni i marzy, szczęśliwy... niech się nie budzi!

— Tak! śnijmy, marzmy, szalejmy, bądźmy „rozumni szalem,” jak się wyraził poeta — wykrzyknął Emil Marya, przybierając pozę teatralną i spoglądając jakie to wrażenie czyniło na Ahaswerze. — Rzeczywistość jest obrzydliwą i straszną!

Wiktor słuchał, nie zaprzeczając; wzrok jego rozmarzony także błędził po salce.

— Rzekłeś że rzeczywistość jest obrzydliwą i straszną — wyrwało się stojącemu w kącie hr. Filipowi z wyrazem namiętnym, który mu był niewłaściwy. — Na to określenie zupełnie się zgadzam. Jestem uczniem Schopenhauera i znajduję, że nad to życie nasze niema nic głupszego i nielogiczniejszego.

— Stare rzeczy, wyszarzane, daleko od frankfurckiego filozofa dawniejsze — odezwał się hrabia August. — Nieskończenie łatwiej i w świecie i w dziełach sztuki widzieć strony ujemne, niż dodatnie, chociaż umysły tak zwane krytyczne uchodzą za coś wyższego. Do widzenia światła, dobra, piękności, tajemnych sił natury, jej potęg, potrzeba być obdarzonym wyjątkowo pewnym rodzajem jasnowidzenia, które jest tylko udziałem wybranych. Oglądanie tych jasności jest jakby widzeniem oblicza Bożego, które oglądać niekażdemu dano, gdy do postrzeżenia plam, kalceństw, słabości mamy wszyscy zdolność wrodzoną.

— Przeczę temu! — odezwał się gwałtownie hr. Filip — przeczę! neguję!

Hrabia August zwrócił się ku niemu, wyzywając o dowodzenie. Filip ruszył ramionami i dodał tylko:

— Dziwactwo!

Wiktor na obu patrzył i słuchał z zajęciem, oczekując końca, gdy ks. Teresa od stolika, przy którym siedziała, wtrąciła:

— Hrabio Filipie, jesteście dziś w jakimś usposobieniu wyjątkowym. Musiało się wam coś przytrafić.

Zagadnięty tak wprost do siebie wymierzonym strzałem, Filip okazał że go to mocno obeszło i odezwał się gwałtownie:

— Mościa księżno! ja jestem predestynowany, żeby mi się cokolwiek nieprzyjemnego trafiało. To mój chleb powszedni. Nie jest to wrażenie dnia, ale życia całego.

— Ale nie! — zaprzeczyła łagodnie księżna. — Cóż cię w życiu tak nadzwyczajnego spotykało?

— Mnie? — podchwycił Filip — nadzwyczajnego? Właśnie, mościa księżno, mam tę nieszczęśliwą właściwość, że mnie gniotą utrapienia bardzo zwyczajne, a nieznośne. Życie się zmarnowało na omyłkach i naigrawaniach losu.

— A, tak, na omyłkach, ale nie losu, tylko własnych — rozśmiała się księżna. — Obwiniaj-że o nie samego siebie.

— Tak — podchwycił hrabia — ale któż włada i rządzi sobą? Jesteśmy wszyscy skazani na to, aby spełniać co nam konieczność narzuci i bezsilnie patrzeć na to, jak sobie z nas stroi żarty.

— Zaprzeczasz własnej woli? — zapytała księżna.

Filip ruszył ramionami.

— Czcze słowo! — zamruczał. — Ja się uważam za niewolnika. Mam tylko tę przyjemność, że czuję doskonale i widzę ciężące kajdany.

— Ale dajcież pokój biédnemu temu niewolnikowi! — zawoła ze swojego kątku Ahaswera. — Wpadniemy w rozprawę o wolnej woli i fatalizmie i wieczór przepadnie...

Wszyscy po tém odezwaniu się widocznie znudzonej księżny wstrzymali się od dalszej rozprawy. Nie umiał nikt rozmowy zawiązać na nowo. Wtém gospodyni zagadnęła Wiktora:

— Wprowadź nas pan, co tak kochasz sztukę, w zaczarowany świat jej... Tam będzie nam jaśniej i weseliej. Jestem pewna że znajdziesz nam coś do powiedzenia o jakimś nowym arcydziele, obrazie, posągu, wykopanym szczątku, o jakiej wystawie w pracowni artystów... Jest ich tylu!

— Popieram z całych sił wniosok naszej gospodyni — dorzuciła księżna Teresa.

Wiktor wahał się jeszcze z odpowiedzią, gdy poeta, który nie chciał się dać zaćmić, pośpieszył odezwać się za niego.

— Żądacie panie niemożliwej rzeczy od szanownego kolegi — (upiérał się przy tém koleżeństwie). — Gdzież teraz w świecie sztuki jest coś nowego a godnego zastanowienia?



Artyści się powtarzają do znudzenia, a ci nawet, co geniusz mają, starają się go do wymagań świata przykroić i obcinają sobie skrzydła. Obrzydliwa trywialność i pospolitość górą!

— Na to ratunek gotowy — wtrącił Wiktor. — Możemy się cofnąć w ubiegłe wieki i powrócić do arcydzieł.

— Które należały do innych epok, do innego, umarłego świata, były owocem ich pojęć, potrzeb, życia — zawołał prędko Emil Marya. — Są to arcydzieła, ale potrzeba wyjść z siebie i stać się innym, starym człowiekiem, aby je ocenić i zrozumieć.

— Arcydzieła są wiekuiście — szepnęła księżna.

— Wiekuiściego niema nic na ziemi — mówił poeta coraz żywiej. — Nawet arcydzieła są znikome. Nie mogą one w zupełności odpowiadać wymaganiom coraz rosnącej, czy przerstającej cywilizacji.

Paradoks ten, trącący herezyą, śmiałością swą zwrócił wszystkich oczy na poetę, który rad był ze sprawionego wrażenia.

Księżna Ahaswera podniosła się nieco z kanapy, chcąc się lepiej przysłuchać dalszemu wywodowi założeń swojego terazniejszego protegowanego.

Emil Marya ciągnął dalej, głos podnosząc:

— Ani Wenus medycejska, ani Apollo belwederski, ani owo sławne torso, które Michał Anioł uwielbiał, mojej potrzebie dusznej nie odpowiadają. Linie są cudowne, rysunek, czysty niedorównany, wykonanie mistrzowskie, a jednak cóżmi ona mówi ta Wenus? Jest-li to niewiasta w pełni znaczenia tego wyrazu, wedle pojęć naszych? Promienia geniuszu na jej czole, poczucia swój godności i samoistności w niej niema. Jest-to niewiasta, jaką wyszła z rąk Boga, ale nie kobieta, która się własnym trudem i duchem wyrobiła na wyższą istotę. Na czole jej niema promienia. Osłania się wstydliva z zalotnością i wyszukany trochę wdziękiem; dusza w niej śpi jeszcze... Apollo belwederski jest-li mężem wedle myśli naszej? To jeszcze pół-człek, pół-bóg, który walczył z naturą dziką pięścią; cała jego potęga w silnej dłoni. Tak samo tors jest apoteozą muskułów... Zdaje się nie potrzebować nawet głowy. Cóżby tu dodało niskie czoło tego Obra, w którego śpiącym mózgu myśl inna nie powstała nad walkę o byt zwierzęcą?

— Zrób pan wyjątek dla umierającego gladyatora — rzekł Wiktor.

Poeta zwrócił się ku niemu.

— Miałem go uczynić właśnie — odparł. — Tak! umierający gladyator, to świtanie nowego świata, to nowój ery zwiastowanie. Tu już nie zwycięstwo siły ubóstwione, ale pozanowanie, uświęcenie boleści. Ten, co stworzył gladyatora, już w duszy poganinem nie był, miał współczucie dla ofiary.

Wiktor skłonił głowę potwierdzająco i stał chwilę zadumany. Słuchający z zajęciem hrabia August odezwał się, przerywając milczenie:

— Dla panów, którzy się liczyte do wybranego zastępu artystów — rzekł, zwracając się do Wiktora i Emila — dla panów powinno to być pociechą wielką wbijać was w dumę, że z całej umarłej przeszłości co pozostało żywem, co przetrwało wszystkie zniszczenia, co dziś mówi i świadczy o niej — to dzieła sztuki.

— Dzieła sztuki, a raczej dzieła ducha — dodał Wiktor. — Ale niewielu natchnionym danem było podnieść się do takiej wysokości, by dzieła ich ocenione zostały przez współczesnych i przeszły na spuściznę przyszłości. Tak jest, zaprzeczyc temu niepodobna, że gdy pisarz, artysta, poeta w życiu i w społeczeństwie jest niemal pogardzoną, a przynajmniej lekceważoną istotą, gdy ludzie, wśród których żyje, spychają go na stanowisko bardzo podrzędne — po upływie pokoleń kilku ci pariasowie później sami jedni powołani są do reprezentowania swojego wieku. Za życia mąż wielkiego ducha jest najczęściej popychanym, wyśmiewanym, ledwie cierpianym wśród tych co panują, co przewodzą, co stają u steru, na widowni. W kilka dopiero dziesiątków lat po zgonie, wszystko co tych nieznaczących biédaków gniotło, otaczało, zaciemniało, rozpada się w gruzy. Z całej epoki zostaje kawałek papieru, zapisany ręką ubogiego wyzwolenca, mnicha, kamień wykuty dłonią tego, co ledwie miał ją czym przy siłach utrzymać, płótno sprzedane za garść miedziaków... i to są jedyne wieku świadectwa i pomniki. Z tych później przyszłość czyta i sądzi o wszystkim. W nich znajdowało się jedyne życie, w nich biją pulsa, które dawno tętnić przestały!

— Nie powinniście się panowie uskarżać na losy swoje — wtrącił sarkastycznie br. Filip. — Możecie wiele za życia przecierpieć, ale zato po śmierci.... apoteoza!

— Skarżyć się mogliby ci, co do téj kategorii należą — wtrącił Wiktor, wskazując na poetę — ale nie powinni. Raz że skargi na nic się nie zdały i upokarzają tego, co się z niemi odzywa, powtóre, że już za życia twórczość duchowa nagradza się rozkoszą, o której pojęcia nie mają ci, co jęj nie doznali. Boleść zaś, upokorzenie, cierpienie są bodźcami potężnymi do nadzwyczajnego podniesienia ducha, którego może bez nich osiągnąćby niepodobna.

Hrabia August zdala potwierdził ten aforyzm, Filip się uśmiechnął.

— Na żadnym narodzie nie sprawdza się tak dobitnie to twierdzenie, jak na naszym — dodał Wiktor. — Boleści winniśmy rzewną elegią pieśni Szopena, poezją Adama, natchnienie Juliusza, arcydzieła Zygmunta, może wszystkich naszych kunsztmistrzów, artystów, wszystkie sławy i wielkości nasze współczesne. Kwiaty—to są, które tylko krwią i łzami podlewane, mogły z taką potęgą formy, z takim blaskiem barw się rozwinać.

Emil Marya z teatralną swą żywością zbliżył się do Wiktora i uściśnął go.

— Wielką, świętą wyrzekłeś prawdę — zawołał. — Ja, com niegodzien żadnego z nich rzemyka rozwiązać, znałem ich wszystkich i potwierdzić mogę nie z teoryi, ale z żywego widzenia, jako świadek i współcierpiący, słów tych najwyższą prawdę. Czémże było życie najszczęśliwszego z nich napozór, Zygmunta? Szeregiem walk ze światem, z rodziną, z sobą, dla inspiracji wielkich, dla gorącej miłości dobra, piękna i wszystkiego, co mu w niebiosach jego ideałów świeciło. Tych postulatów ducha swojego szukał na wszelkich drogach, dostępnych i niedostępnych, w filozofii Hegla, która mu nie starczyła, w mistycyzmie, który go nie nasycił, w sztuce, w poezyi, w teoriach społecznych, w jasnowidzeniach natchnionych, w religijnych ekstazach... Twórczość jego cała płynęła z nieukojonęj boleści, z krwawych ran, których nic zbliznić nie mogło. Niéma w jego pismach jednéj nuty, któraby nie dźwięczała jękiem. Duch jego nie zwątpił do końca, ale się rzucał w zapasach nadludzkich z całym światem, który ironią rzeczywistości naigrawał się temu nienasyconemu czcicielowi ideałów.

— Taż sama boleść inaczej wyraża się w Juliuszu — przerwał Wiktor. — Niemniejsza ona w nim, ale innéj natury. Tu naprzemiany nuta brzmi szyderska, Byronowskie zwątpienie, śmiech rozpaczliwy. Zimniejszy—to człowiek, więcej artysta, gdy Zygmunt więcej był duchem i myślą. Temu artystyczne piękno przychodziło bez rachuby, gdy w Juliuszu ono jest szukane, naśladowane, odśpiewane. Byron, Shakespeare i nie wiem ilu jeszcze składają się na niego, lubo wszystkich ich przetwarza, przerabia i kunsztowniej może niż oni sami wydzięgiwa ich pomysły. W końcu życia ten artysta już jest nim bezwiednie, a staje się męczennikiem ducha własnego, który, w wątłym organizmie rozrosły, pomieścić się nie może. Krwawemi łzami chce się płakać nad nim, gdy się z nim przebiega żywot jego, znaczony, jak kamieniami, bryłami dyamentowych pieśni. Każdy z tych głazów jasných, to łza skamieniała, krew skryształizowana, ból zmieniony w opokę...

— Dlaczegożście panowie nie postawili na czele najboleściwszego i największego z poetów, Adama? — odezwał się hr. August. — Na tegom ja patrzył i znałem go. W nim męczeństwo Zygmunta jeszcze zwiększało się troską człowieka, ojca, goryczą chleba powszedniego, gdy duch piął się po chleb niebieski. Na barki jego spadają wszystkie brzemiona, któreby olbrzyma przygniotły; duch naciśnięty niemi nabywa siły nadolbrzymiej, której wybożenia nawet, jak marzenie Towiańszczyzny, mają w sobie coś nieporównanie wielkiego i obudzającego poszanowanie. Pieśni mu nie starczy, języka jednego zamało: pisze, mówi, każe, zrywa się do czynu, kusi o niemożliwe; chciałby świat poruszyć z miejsca i rzucić nanowe tory; wierzy iż i to dla wielkiej boleści nie jest niemożliwém... Wszystko to są mistrze z bólu narodzeni, w bólu zahartowani, wyrosli w nim, nim zbrojni...

— O tak — przerwała księżna Teresa. — A Szopen nasz, w którym ból łagodniej się wyraził, nie należyż on do téj saméj rodziny? Natura jego, powiedziałabym wstydlivsza, nie dozwala mu wyśpiewać tego wszystkiego co czuje; uśmiecha się, ale w uśmiechu jego są łzy, w jego weselu jęk się odzywa przygluszony. Życie mu się składa tak, aby wmiarę jak rośnie duchem, cierpiał coraz więcej. Kobiéta genialna a zimna odejmuje mu wiarę w serce ludzkie; zostaje sam z pieśnią swą i z przeczuciem wczesnego zgonu...

— Wszystko to przesłiczne, co państwo wypowiadacie — przerwał Filip — lecz prawdę trudno się zakochać w geniuszodajnéj boleści. Zresztą nie na każdego ona tak działa. Są istoty nieszczęśliwe, w których pokarm goryczy żółć tylko rozléwa.

Uśmiechnął się dwuznacznie. Emil Marya stał, coraz bardziej rozmową nastrajając się do nowego wystąpienia. Twarz jego drgała, oczy wznosił dogóry, poruszał się, jakby nim miotano wewnętrzne natchnienie.

— Tak! — zawołał — wszyscy oni cierpieli okrutnie, a jednak nie bojemy nad nimi. Któryś z nas powiedział, że chwile twórczości płaciły im za wszystko... Oprócz tego w duszy geniusze czują się panami świata, choćby ich kamionowano i oplwano. Mają oni choć krótkie momenta zachwytu i niebiańskiej szczęśliwości. Takie ubłogosławienie na ziemi, choć chwilowe, dać może tylko jedna miłość i jeden z niebios zstępujący duch, który przez człowieka głosem Bożym mówi do ludzkości.

— A! otóż miłość! — rozśmiał się hr. Filip. — Jesteśmy w komplecie. Szkoda tylko że te obie szczęśliwości nie trwają nad mgnienie oka i nie wytrzymują szorstkiego dotknięcia rzeczywistości.

Księżna Teresa uśmiechała się, słuchając i patrząc na wykrzywioną twarz hr. Filipa. Pani Liza, siedząca przy niej, z uwagą przypatrywała się mówiącym, bo twarze ich były komentarzami wyrazów. Wiktor, który stał w pośrodku salonu i, równie jak inni, a może więcej niż oni, ożywiony był i promienny, nietylko jój oczy zwracał na siebie; Ahaswera i księżna Teresa także nań patrzyły zdumione, widząc go tak mężko pięknym i niemal królującym wśród towarzyszy.

Na wspomnienie o miłości, kobiety między sobą coś poszeptywać zaczęły. Księżna Teresa nazwała ją złotą pajęczyną, z której nic utkać nie można. Liza wtrąciła, że przez poszanowanie dla tego uczucia, tak rzadkiego na ziemi, mówić o nim się nie godzi. Profanują je nieustannie.

Wiktor dosłyszał półgłosem wyrzeczone wyrazy i spojrzał na nią.

— Ja się nie poczuwam do winy — rzekł cicho. — Mówiłem o sprawach i dziełach, o twórczości ducha. Poeta — tu wskazał na Emila — dodał do tego drugą szczęśliwość i postawił ją obok pierwszej. Miał słuszność: szczęście twórczości i miłości równoważy się.

— Tylko ta jest między nimi różnica — dodał, zbliżając się, hr. August — że po szczęściu krótkotrwałem miłości, o której pani nie pozwala mówić, następuje jeśli nie zawsze, to bardzo często gorzkie rozczarowanie, gdy kontemplacja sama nawet dzieł sztuki, życie w świecie ducha, nie zostawia po sobie goryczy, ani przesyty... Im więcej się pije z tego źródła, tém pragnie się więcej.

— Sztuka więc jest jak piwo owsiane — wtrącił hr. Filip.

Pani Liza zmarszczyła się, sarkazm ten usłyszawszy, i nie dając dalej mówić nieznośnemu szydery, odezwała się, patrząc na Wiktora:

— Tak, w świat ducha schronić się przed wszystkimi burzami życia, to jedyna ucieczka.

— Zwłaszcza że do téj świątyni — dodała księżna Teresa — i nam, małuczkim, wstęp nie jest odmówiony. My, cobyśmy sami nic stworzyć nie mogli, mamy tę pociechę, że łącząc się z twórcami myślą, odgadując ich, badając, wielbiąc, niemal jesteśmy do ich szczęścia przypuszczeni. Zrozumieć poetę, odczuć artystę, jest-to prawie samemu być nim.

— Cudownie to księżna powiedziała! — przerwał poeta. — Poeci i artyści o tyle są wybrańcami tłumu, że oni wypowiadają to, co w nim tkwi uczute, a niewcielone. Poeta jest sumą swojego narodu. W dźwięku jego pieśni poznają wszyscy to, co w ich własnej piersi mieszkalo, a im poeta czy artysta silniej potrafił wyrazić to, co wszyscy mieli w sobie niezrodzone, tém większem uwielbieniem otaczają go tysiące.

— Komunały! — szepnęła hrabia Filip, ruszając ramionami. — Jakże pan wytłumaczysz wielkich pisarzy, poetów i artystów, którym wieki późniejsze geniusz przyznały, gdy współcześni wcale go w nich nie czuli?

— A gdzie pan widzisz podobnych nieuznanych biédaków? — zapytał Wiktor. — Ja nie mogę się ich dopatrzeć ani w historii literatury, ani w dziejach sztuki. Trafiało się może, iż wielcy reprezentanci ducha wieku, chwilowo wśród panującej wrzawy, wśród jakiegoś wielkiego zaprzątnięcia umysłów nie zostali wysłuchani, nie mogli być dostrzeżeni; ale wprędce omyłkę naprawiono, dług spłacono. Trafiało się iż inni wiek swój wyprzedzili geniuszem, pracowali dla przyszłości i przez nią dopiero zostali ocenieni, choć niemniej byli owocem swojego czasu i jego zasiów wydał ten zbiór opóźniony.

— To, co pan powiadasz, zmniejsza znaczenie geniuszu — przerwał hrabia Filip. — W ten sposób pojęty, nie byłby twórczym, byłby tylko tłumaczem.

— Bo nie jest też geniusz czém inném, aniczémś więcej, tylko arcytypem epoki, którą wyraża — rzekł Wiktor. — Choć szczęśliwej organizacji jednostki, siłę w niej spotęgowanej wiele przyznać potrzeba, nie stanowi to wszystkiego. Geniusz karmi się i czerpie z przeszłości i terażniejszości, musi je wiedzą lub intuicją przyswoić sobie, aby się stał płodnym. Co w nim jego własném jest, a co spadkowém, rozeznac trudno. Spuścizna wieku, choć mniej widzialna, tworzy znaczniejszą część zasobu. Geniusz sam niezawsze ma samopoznanie tego, co winien skarbnicy z której czerpał; ale jest zawsze owocem pracy zbiorowej wieków, którą wyjaśnia, nadaje jęj widomą postać, wciela, wyciąga z niej dla innych niedostępne wnioski.

— A cała ludzkość — dodał hr. August — przeszła, terażniejsza, przyszła, to wielka jednia, jakby olbrzymie indywiduum, żyjące ciągle, wyrabiające w sobie siły nowe, potężniejsze. Wyjątek z tęj całości stanowią narody, które zerwały z tradycjami ludzkości, lub własnemi, które się odcięły i odosobniły, zasklepiły w grobie chińskim, lub, jak Indyanie, w dzikości skazały na wymarcie.

— Zatem idziemy do kosmopolityzmu — wtrącił hr. Filip.

— Bynajmniej — zaprzeczył August. — Naród pojedynczy każdy powinien być w związku z całym światem; ale to, co od niego bierze, na własne soki i krew przerabiać musi. Zamknięty w samym sobie, oddzielony od ludzkości, niedostępny prądom ducha, zostawiony siłom własnym, nieodżywiany sokami nowymi, wprędce karleje i ginie. Jesteśmy, jak to ktoś powiedział bardzo trafnie, głosami w chórze ludzkości: każdy śpiewa partję swoją, a ze wszystkich tych części składa się wielka pieśń dziejów.

Hrabia Filip ruszył tylko ramionami, nic już nie odpowiadając. Przeszedł się po pokoju parę razy, wrócił potem i stanął przed gospodynią i księżną Teresą.

— Mam do pań prośbę — rzekł nagle. — Bardzo nam tu dobrze i miło w tym saloniku na Via Sistina; każdemu z nas wieczory tu spędzone na całe życie zostaną drogą pamiątką; chciałbym (bo bardzo być może, iż będę zmuszony wkrótce Rzym opuścić) okazać pani — tu zwrócił się do Lizy — wdzięczność moję za jęj gościnność. Nie mam na to innego środka, jak chociaż raz zaprosić państwa do siebie... Niniejszém więc mam honor wszystkich tu obecnych prosić, aby mnie raczyli zaszczyścić pojutrze odwiedzinami w Villa Adriana. Długo myślałem nad wyborem miejsca i zdaje mi się, że wśród tych majestatycznych ruin, wśród tych gąszczy i zarośli spędzić kilka godzin, może być bardzo miłém.

— Pomysł śliczny! — odezwała się księżna Teresa. — Widzę z oczów gospodyni naszęj, iż tak jak ja przyjmie go chętnie; ale jeden warunek...

— Barometr idzie dogóry i wszyscy mi zapowiadają pogodę — przerwał żywo hrabia.

— Już choćbyśmy zmokli — dodała księżna — pierwszym warunkiem jest pogoda humoru twego. Przynieś z sobą nadewszystko mniej gorzkie usposobienie.

— Ależ jako gospodarz jestem do tego obowiązany — rozśmiał się hr. Filip. — Spełnię swój obowiązek. A zatem mogę liczyć? — dodał, obracając się ku obecnym i podchodząc ku księżnie Ahaswerze, która dnia tego siedziała dziwnie zachmurzona.

— Ja się stawię — odparła księżna. — Obiad w ruinach willi Adryana będzie przynajmniej czémś oryginalném; ale jak hrabia sobie z nim dasz rady, tegom ciekawa.

— Pomysł znakomity! — dodał poeta.

Hrabia Filip uśmiechał się z trochę dumy.

— Niektóre części są tak teraz ocienione i zarosłe — rzekł, siłąc się na wesołość — że gdyby nawet dzień był skwarny, znajdziemy kątek, w którym oddychać będzie można.

Ruszyli się wszyscy, bo godzina była spóźniona. Hrabia Filip, przeciwko zwyczajowi swemu, pierwszy opuścił towarzystwo, a wkrótce za nim wyszła Ahaswera, której poeta podał rękę z jakimś zwyczajnym ruchem, jakby sięgał po to, co mu się należało. Hrabia August i Wiktor wyszli razem; jedna księżna Teresa pozostała, jak gdyby ciężko jęj odejść było. Spoglądała na Lizę, patrzyła po salce, niby szukając oczyma Ferdynanda, a wistocie chcąc się zapewnić, że go nie było.

Dwie przyjaciółki badały się oczyma; potrzebowały poufniej pomówić z sobą. Stosunek ich długimi laty był utrwalony. Starsza daleko księżna Teresa macierzyńskie miała

do Lizy przywiązanie. Lepiej niż inni знаła jej męczeńskie losy, jej piękną duszę i przymioty umysłu. Liza obchodziła ją, jak własne dziecko.

Wieczór ten, wczynie którego mówiono o rzeczach obojętnych, nie powinien był napozór dostarczyć sposobności do jakichś postrzeżeń, tyjących się osób i ich stosunków. Nic uderzającego, nic się nowego nie objawiło wciągu tych kilku godzin. Jednakże macierzyńskie oko księżny Teresy, a raczej przecucie jakieś, niepokojem ją nabawiało. Dostrzegła zmianę w Lizie, w tej kobiecie, którą miała za sercem umarłą i zawsze panującą nad sobą. Widziała jak jej oczy szukały Wiktora, jak się ich wejrzenia z naiwną otwartością spotykały, jak każde słowo jego odbijało się na twarzy wdowy, jak w całym obejściu się z nim była uprzedzającą, troskliwą, niemal wyzywającą.

Zdumiona tém, księżna potrzebowała jakiegoś objaśnienia; lecz zanim usta otworzyła, pani Liza zrozumiała i odgadła z wejrzenia zapytanie. Rumieniec okrył bladą jej twarz; wstała nagle z krzesła i, płacząc, rzuciła się księżnie na szyję...

---

Willi Adryana, jedna z najwspanialszych, olbrzymich kreacyj Rzymu cesarów, o której cudach opowiadają ruiny — dziś jest przestrzenią wielką, pustą, z pod której powłoki wyrastają gdziegdzie sklepienia podziemnych gmachów, szczątki gruzów, ciągnące się jak ulice jakiegoś grodu. Potraskane kolumny, nawpół w ziemię wrosłe, maluczka cegła rzymska i ogromne głazy rzeźbione, składają się na straszne cmentarzysko ludzkiej potęgi.

To miasto cezara, w którym się mieściły całe legie straży jego, tysiące niewolników i wyzwolenców, tłumy dworu i służby, gdzie się piętrzyły pałace, milami ciągnęły portyki, gdzie świata pan spoczywał po gwarach Rzymu, otoczony całym przepychem, na jaki sztuka zdobyć się mogła — dziś porosło lasem, krzakami i krowy pasą się wśród połamanych marmurów, na szczątkach mozaik, w podziemiach, odprowadzając siestę południową. To tylko, co było pod ziemią, uchowała ziemia; co nad nią się wznosiło, rozbili ludzie, roznieśli wody, strzaskały pioruny, zjadły powietrze i wichry.

Podróżny, przeryzując się wśród tego ogromnego gruzowiska, ścieżkami które bydło i kozy wydeptały, spotyka cochwila jakąś zagadkę pod nogami. Zapięra mu drogę łuk napół obalony, lub nagle roztrwarta jakaś otchłań ciemna, w której wnętrzu zwieszają się krzewy i poschłe trawy, każe się cofać przed tajemniczą swą głębią. Gdziegdzie sterczy ściana porysowana misternie w siatkę ułożonemi ceglami, obwinęta nawpół bluszczem, okryta pleśnią, zapisana nazwiskami wędrowców.

Gluche milczenie cmentarne leży nad tym upadłym grodem, gdyż grodem znać się mogło to dzieło, które zdało się przeznaczone trwać wieki, na świadectwo potęgi, a świadczy tylko o znikomości dzieł człowieka.

Smutniejszego miejsca na wesołe przyjęcie gości nie mógł wybrać hr. Filip i w znaczeniu go tkwiła może odrobina tej złośliwości, która hrabiego nigdy nie opuszczała. Wybór miejsca był fantastyczny, a tak niezwykajny, że na pierwszą o nim wzmiankę restaurator, który się miał podjąć wyprawić te gody, nie chciał prawie uszom swym wierzyć.

Turyści wprawdzie zwiędzają ruiny Willi Adryana, a mało który artysta nie wyniósł z nich jakiegoś szkicu na pamiątkę, lecz niesłychaną było rzeczą, aby tu kto chciał urządzić przyjęcie takie, jakiego sobie hrabia Filip życzył.

Restaurator, Francuz oddawna w Rzymie osiadły, jako Francuz, nie znał rzeczy niemożliwej, i owszem, pochlebiało mu tak ekscentryczną i pamiątkową ucztę, którą się mógł chlubić, wziąć na szerokie barki swoje; zrobił tylko uwagę grzeczną hrabiemu, że biesiada w ruinach mogła być też trochę... rujnującą.

Powiedzieć szlachcicowi polskiemu, a choćbyhrabiemu, że coś być może nad jego siły, znaczy to najpotężniejszym bodźcem miłość własną jego pobudzić do zmierzenia się z rzeczą nadzwyczajną. „Zastaw się, a postaw się” zostało w tradycjach z saskich czasów, bo za Zygmuntowskich — „zastaw się” znaczyło zastęp skarb rzeczypospolitej, zapłać wojsko, idź swym kosztem na obronę granic. Tak niejeden z wielkich naszych wodzów uczynił. Później już tylko miłość własna rodziła szafy Radziwiłłowskie i hajdamactwa starostów kijowskich.

Hrabia Filip wydał wargi i uśmiechnął się, dając do zrozumienia, że pana polskiego nie tak łatwo zruinować. Wistocie był panem znacznej jeszcze fortuny, nie miał dzieci,

obfitował w krewnych, których nie cierpiał, a w innych wypadkach był nadmiarę skąpym. Mógł więc sobie pozwolić dogodzić fantazy kosztownej.

W willi Adryana trzeba było naprzód się opłacić na miejscu, za pozwolenie oczyszczenia placu wśród sosen i przecięcia ścieżek w zaroślach; trzeba było na wszelki wypadek rozbić jeden wielki, a kilka małych namiotów, by wczasie burzy goście nie byli zmuszeni do podziemiów uciekać; trzeba było zawieźć z Rzymu wszystko i w ruinach kuchni urządzić i t. p. Zwiększało to koszta, a obiad miał być na dziesiątek osób tylko. Do liczby tej dwóch jeszcze brakło, których hr. Filip obiecywał sobie wynaléć pomiędzy ziomkami przebywającymi w Rzymie.

Szło mu o to, aby to byli ludzie, którzyby z sobą nie wnieśli jakiego żywiołu dysharmonijnego.

Jednym z kandydatów był szlachcic bardzo majątny z Wołynia, który jak żyw nie opuszczał kraju, a teraz, dorobiwszy się ogromnej fortuny, przybył *ad limina apostolorum*, żeby choć raz coś zobaczyć i mieć co później do opowiadania sąsiadom. Nieobojętném mu było i pozyskanie błogosławieństwa, bo człek był po staroświecku pobożny; zwiédział jednak wogóle co tylko mu wskazano, ażeby, jak powiadał, raz już słono opłaciwszy swą wycieczkę, zużytkować ją, niby drogą potrawę, choćby się i jeść nie chciało. Szlachcic, o którym głośno że z kozackiej rodziny pochodzi, która się dawniej Paulukami zwała, był już teraz herbownym, potwierdzonym przez heroldyą Pelukowskim i miał wszystkie zewnętrzne cechy szlachcica znamionujące: okazała cyrkumferencyą, wąs zawieszisty, czoło jakby podgalane, podbródek poważny i mowę zgrzeczna pokornie rubaszną czasem, niekiedy butną okropnie.

Szlachcic, który oprócz rodowitego, żadnego języka nie umiał, posługiwał się tłumaczem jakimś, ale już poczynął z kiepska po włosku o niezbędne rzeczy sam się upominać, przekręcając najpocieszniej włoszczynę, której każdy wyraz, dla wbicia go w pamięć, nieskończoną liczbę razy powtarzać mu musiano.

Za każdą razą p. Fabian Pelukowski powtarzał: — no, teraz już będę pamiętał, a gdy przychodziło w kwadrans później dać dowód tej pamięci, rozstap się ziemio, nie mógł nic sobie przypomnieć, lub coś niebywałego komponował.

Pocziwy Pelukowski mógł rozweselić towarzystwo, a nie był nigdy w takim usposobieniu, by popsuć je, albo zawadzać.

Hrabia Filip i za to go lubił, że mógł się z niego wyśmiewać bezkarnie, byle ostrożnie. Że do Pelukowskiego potrzeba było grubego naboju, by go z prostoduszności jego rozbudzić, a hr. Filip cienkim szrutem strzelał, nie było niebezpieczeństwa, aby się poróżnili. Opowiadał przytém wrażenia podróży swęj bardzo pociesznie, co mogło gości ubawić.

Drugim miał być, w niedostatku innych kandydatów, artysta-malarz wielkich zdolności, milczący, zamknięty w sobie, którego hrabia znał z tego, że nabył u niego obraz wystawiający scenę z życia rzymskiego ludu. Kompozycya ta uznaną była w Rzymie, w świecie artystycznym, jako dzieło niezaprzeczonego talentu. Pracowitość z jaką je wykonał, tak iż najdrobniejsze szczegóły studyowane były z natury, nie zdołała jednak obrazu uczynić suchym, a nadawała mu cechę niezmiernęj prawdy.

Artystę zwano Aurelianem zwykle, bo nazwisko jego nie mówiło nic, oprócz że on pierwszy miał je dać poznać światu. Pan Aurelian nie uganiał się za stosunkami, miał wielką ufnośćw sobie i lekceważył te drobne środki, któremi inni się posługują, aby sobie drogę torować.

Malował właśnie drugą scenę rzymską dla księżny Teresy. Człowiek pracowity, rzadko się dawał wciągać w towarzystwo, które wiele czasu kosztowało. Nie przynosił też z sobą żadnego z tych przymiotów świetnych, które chwytają za serca; mówił sucho, mało, a pojęcia swe o sztuce wołał zachowywać przy sobie. O teorye nie spierał się nigdy. Czasem jednak, gdy mu się wyrwało słowo powstrzymywane, czuć było w niém umysł niepospolity i wykształcenie wielkie.

Ranek dnia, przeznaczanego na wycieczkę do willi Adryana, zapowiadał się bardzo pięknym, choć wiatr zbyt ciepły był jakby zwiastunem rychłej przemiany. Godzinę obiadu wyznaczono wczesną dosyć, ażeby nazbyt późno nie powracać do miasta.

Restaurator, mając *carte blanche*, nie żałował zachodu i kosztów, ażeby pokazać, co może i co umieć. W wigilią dnia był już na miejscu i sam czynił przygotowania. Wspaniały namiot dał się na ten dzień nająć. Rozbito go w miejscu ocienioném, malowniczym,

w którym nie zbywało na złomkach murów bluszczem okrytych. Nieopodal było obszerne, puste, brudne podziemie, rodzaj sali, zawalanej rumowiskami, do której w ostateczności jakiej katastrofy atmosferycznej schronić się było można.

Chociaż upał wielki podróż czynił przykrą wśród tumanów kurzu, które wiatr na gościńcu podnosił, hrabia Filip o południu był już na miejscu. Francuz zyskał podziękowanie: wszystko było obmyślane z wielką wytwornością i smakiem. Obiad naturalnie włoskim być nie mógł, ale Włochy dostarczyły dość okazałego bogactwa płodów swoich, a wykwintniejsze Francuz umiał pościągać w krótkim czasie z miast portowych i wielkich magazynów spożywczych. Restaurator dopytywał się tylko z pewnego rodzaju niepokojem, czy osoby zaproszone poznają się i ocenić potrafią sztukę, jakiej miał dać dowody.

Hrabia Filip zapewnił go o tym, choć na myśl mu przyszedł Pelukowski, który, wykarmiony na barszczu z rurą i huzarskiej pieczeni, na pirogach i kaszy, gusta miał wcale niewykwintne.

Okolo godziny czwartej hrabia August przybył pierwszy, sądząc że Filipowi będzie mógł być w czem pomocą.

Zaraz po nim nadciągnął szlachcic, któremu, dla uniknięcia jakiej omyłki, dodano pana Aureliana. Niebardzo się oni z sobą godzili, lecz malarz słuchał chętnie, szlachcic mówił dużo, rad był z poznania „rodaka” i tak przyплыnęli szczęśliwie do portu.

Na widok ruin i lasu, Pelukowski mocno był zdumiony, i dopiero posłyszawszy o cesarskiej willi, wytłumaczył sobie jako tako fantazją hrabiego przyjmowania gości wśród takich dziur i wertepów.

— Żeby tu miało być co pięknego — rzekł, przypatrując się dokoła — tego nie powiem. Las nieosobliwy, piwnice, mości dobrodzieju, puste, powietrze dławiące; ale zawsze to miła rzecz powiedzieć sobie, że się jadło obiad, gdzie dawniej imperatorowie rzymscy mieli swe pałace. Tylko że to, mości dobrodzieju, gdy się o tym będzie rozpowiadało, wierzyć nie zechcą.

Przed przybyciem szlachcica z artystą, hrabia Filip, korzystając z tego, iż sam był z hr. Augustem, zagadnął gorączkowo:

— Czy uważasz co to się święci i na co się zanosi? Nie dałbym złamanego szeląga, że nam ten kawał awanturnika, bez nazwiska, ideał nasz pochwyci! Pani Liza okazuje mu tak nadzwyczajną i tak niekryjącą się, otwartą sympatya, że głowę mu zawróci. No i co wy na to?

Hrabia August z powagą wysłuchał tego wykrzyknika i rzekł zimno:

— Człowiek jest sympatyczny, a właśnie ta okoliczność że pani Liza się nie tai z tym, iż go ocenia, iż się jęj podoba, zdaje mi się dowodzić, że to niczém nie grozi. Znasz ją zbyt dobrze, byś ją posądzić mógł o płochość.

— Właśnie dlatego że u nięj wszystko, co ona myśli i co czyni, jest rzeczą seryo — odparł Filip — boję się, aby i sympatya nie pociągnęła za sobą... następstw.

— Jakichże następstw? — rzekł z oburzeniem hr. August. — Jedyne możliwe, że wyjdzie za niego.

— A my?

Hrabia August cofnął się urażony.

— Jestem wielbicielem p. Lizy — rzekł — tego się nie zapieram; ale... nic więcej. Zostanę jak byłem jęj przyjacielem. Lecz proszę cię, nie mówmy o tym.

Filip rozśmiał się gorzko.

— Co do mnie — odparł — ja i przez szacunek dla nięj i przez zazdrość wszelkimi możliwymi środkami starać się będę przeszkodzić, aby w sidła komedyanta jakiegoś i awanturnika nie wpadła.

— Zmiłuj się, to nie może być awanturnik, to niepospolity człowiek! — zawołał br. August.

— A! tak! niepospolity aktor, który doskonale rolę swą odegrywa. Zdolności ma, nie zaprzeczam, ale tym więcej się go lękam. Cóż ręczy za jego charakter? Kryje się ze swą przeszłością, z nazwiskiem, a to przecie nie mówi za nim.

Właśnie gdy się tak rozmowa ożywiła, nadeszli Pelukowski i sztywny, wyprostowany, milczący Aurelian. Szlachcic począł bredzić o Rzymie i o swojej podróży, ale szczęściem nadjechali Ferdinand i Wiktor.

Brat Lizy, przez grzeczność dla człowieka, ku któremu nie tała się z sympatyą siostra, zabrał go z sobą. Wiktor przybywał w tym samym humorze rozjaśnionym, odmłodzony, ożywiony, jak wczoraj. Powitawszy gospodarza, zwrócił się zaraz do Aureliana, z którym był poufale znajomy, i uściśnął mu rękę.

— Będiesz miał temat do obrazka — rzekł — gdy się przy stole rozochocimy; tylko, niestety, my tak malowniczo, jak twoi Rzymianie i Transteweranki, nie wyglądamy.

Aurelian się uśmiechnął; nierad mówił o sztuce.

— Ja — wtrącił po chwili — póki jeden obraz maluję, tak jestem w nim zatopiony i nim zajęty, że o drugim pomyśleć nie umiem... Daj mi pokój na dziś z obrazami... Zapomnijmy o zadaniu życia, a żyjmy!

W gęstych krzewach, otaczających miejsce obrane do rozbicia namiotu, wśród których wiły się ścięziny stare, dał się słyszeć jakby szelest sukni kobiecej i chód powolny. Oczy wszystkich zwróciły się w tę stronę, gdyż, choć turkotu powozu nikt nie słyszał, domyślano się jednej z pań zaproszonych. Wiktor, będący tego dnia żwawym bardzo, posunął się na przyjęcie, bo może się Lizy spodziewał, gdy z za gałęzi pokazała się najmniej spodziewana, tragiczna postać nieznajomej artystki.

Ubrana czarno, po podróznemu, szła widocznie jako turystka ciekawa, nie spodziewając się tu zastać tego towarzystwa. Hrabia Filip, zobaczywszy ją ze zdziwienia jakby skamieniałą, pobladł, zdrzął. August, stojący przy nim, dostrzegłszy że się chwieje na nogach, pochwycił go pod rękę.

Oczy wszystkich zwrócone były na to zjawisko. Kobięta, widokiem osób tych zmieszana, nie wiedziała co począć z sobą. Brwi jej ściągnęły się, usta zacięły, duma niewysłowiona odmalowała się na bladym obliczu; odprostowała się, podniosła głowę i objąwszy oczyma widowisko które miała przed sobą, zwolna, nic nie mówiąc, zwróciła się nazad, aby odejść. Oczy Filipa, z przestachem zwrócone na nią, stały jakby zeszlone, nie mogąc się od niej odwrócić.

Wtém Wiktor, stojący najbliżej, a ze zwierzania hr. Filipa miarkując, jak to przy-padkowe spotkanie mogło wielkie na nim i na artystce uczynić wrażenie, posunął się za odchodzącą. Był jej potrosze już znajomym i nie wahał się ją pozdrowić.

Zwolna odwróciła głowę ku niemu, lecz na odpowiedź zebrać się nie mogła.

— Jesteśmy tu zaproszeni — rzekł Gorajski, idąc za nią — przez hr. Filipa... którego pani znasz podobno. Dziwnie się złożyło, żeś pani właśnie ten dzień wybrała dla zwiędzenia willi.

Kobięta odwróciła się z twarzą zarumienioną.

— Najnieszczęśliwiej się złożyło! — zawołała ze wzruszeniem, którego pohamować nie mogła. — Ten człowiek, o którego pobycie w Rzymie nie wiedziałam, gotów posądzić mnie, iż przyszlam, jak widmo teatralne, popsuć mu zabawę jego umyślnie.

Rozśmiała się z ironią bolesną.

— Ale, na miłość Boga, powiedz-że mu pan, że go nie szukałam, że gdybym wiedziała że tu go spotkam... miałybyśmy Rzym i Włochy.

Szybkim krokiem poczęła iść, byle się tylko od miejsca tego oddalić. Wiktor nie chciał jęć w tém rozdrażnieniu i prawie nieprzytomności porzucić. Biegł za nią śpiesznie.

Odwróciła się z przestachem, słysząc kroki jego za sobą, chwyciła za głowę, a zobaczywszy iż nie kto inny, tylko Wiktor, z wyrazem współczucia i troskliwości, szedł za nią — stanęła. Odetchnęła ciężko.

Była tak jeszcze przerażona spotkaniem, iż drżała, szukając ręką podpory jakiegś.

Wielki głąz, okryty mchami, leżał tuż; rzuciła się nań, czując się osłabłą.

— Los mnie ściga — zawołała zniżonym głosem, w którym jakby łkanie czuć było.

— Jest w tém trochę mojej winy, iż się to stać mogło — przebąknął Wiktor.

— Pańskiej? jakim-że sposobem? — przerwała.

— Tak jest, mojej — począł Wiktor — zaraz to pani wytłumaczę. Hrabia Filip widział mnie owego wieczoru na Monte Pincio, rozmawiającego z panią... dał mi do niej polecenie, a ja go nie spełniłem, przez... nie wiem dlaczego, bo nie przez złą wolę.

— Czego ten człowiek mógł chcieć odemnie? — zawołała gwałtownie kobięta. — Między nami niema nic, nic wspólnego!



— O stosunku jego do pani nic nie wiem — ciągnął Wiktor spokojnie, starając się i ją w ten sposób ostudzić i uspokoić. — Hrabia Filip widział panią zdaleka, poznał i wyraził się przedemną z wielką o jój los troskliwością.

— On? ten pan, z troskliwością o mnie? Co za czułość! — odparła, śmiejąc się, kobieta. — Chciał się zapewne pozbyć ztąd upiora — dodała. — Tak jest, my na jednym ziemi kawałku razem żyć nie możemy!

Chciała wstać, lecz gwałtowne wzruszenie wywołało silny ból głowy; musiała ucisnąć dłońmi skronie. Wiktor stał przed nią, nie wiedząc jak się ma ze swego poselstwa wywiązać. Kobieta, blada już teraz i poźółkła, siedziała posągowo nieruchoma, zagłębiona w sobie.

Wytrzymałszy tak czas jakiś, Wiktor począł:

— Hrabia Filip....

Usłyszawszy to imię, zadrgała kobieta, brwi się jój groźnie ściągnęły.

— Proszę pana — rzekła nakazująco — ani słowa o tym panu! Dla mnie go niema na świecie. Gdybym z jego ręki nawet królestwo niebieskie otrzymać miała, odepchnęłabym je.

To mówiąc, wstała; lecz uczuwszy że się utrzymać nie potrafi, siadła znowu.

— Powracaj pan do swojego towarzystwa — odezwała się; — ja tu spocznę chwilę jeszcze i znajdę mojego veturina, który pozostał w domku strażnika.

— Ja pani w takim stanie samęj zostawić niemogę — odparł Wiktor. — Pozwolisz mi się przeprowadzić, a nawet bez pozwolenia pójdę za nią.

Kobieta zwolna podniosła głowę.

— Nie obawiaj się pan o mnie — rzekła z uśmiechem wymuszonym — mam jeszcze dosyć siły, aby sama sobie dać radę w każdym razie. Pomoc i opieka upokarzają mnie; nie lubię być strzeżoną.

Głosu jój brakło, odetchnęła i dodała żywo:

— Pan możesz sobie wcale fałszywie a uwłaczająco dla mnie tłumaczyć mój stosunek do tego człowieka. Mogę i powinnam objaśnić pana, żem była wydaną za niego i jakiś czas nazywałam się jego żoną. Nie kochałam go nigdy, znosiłam pożycie męczeńskie, a w ostatku musiałam z nim zerwać na wieki... obraził mnie śmiertelnie. Powtarzam panu, żem go nie kochała nigdy, żem szczęśliwa iż on dla mnie niczém już nie jest. Zdaje mi się że nawet nienawiści dlań nie mam, tak nim gardzę. Przeraziło mnie tylko spotkanie z nim tu, gdzie się najmniej mogła go spodziewać, bo co on może robić w Rzymie?

Poczęła się śmiać, ruszyła ramionami i, wstawszy, tym razem silniejsza, szybkim krokiem poczęła iść, sądząc że się kieruje do domku strażnika. Wiktor lepiej znający miejscowość, wskazał jój drogę. Podziękowała mu milczącym głowy skinieniem... Choć odprawiony, Wiktor przez litość postępował za nią, gdy oko w oko na wązkiej ścieżce zeszli się z księżną Teresą, za którą szła Liza.

Księżna, poznawszy artystkę, do której zbliżyć się pragnęła, zastąpiła jój drogę.

— Pozwól pani — zawołała ze swą zwykłą uprzejmością — to jakiś nadzwyczajnie szczęśliwy traf tu ją sprowadził. Jest nas tu gronko ziomków, choć nieznajomych, a ręczę pani, że gospodarz będzie bardzo szczęśliwy, gdy nasze towarzystwo zechcesz powiększyć.

Kobieta cofnęła się, patrząc dziko na nadchodzące.

— Przepraszam — odparła dumnie — to być w żaden sposób nie może.

Skloniła się i w stronę się rzuciwszy, znikła pośród zarośli. Chód tylko jój żywy, gorączkowo przyspieszony, przez chwilę krótką słychać było. Wiktor, zobaczywszy Lizę, nie gonił już za uciekającą. Obie panie, zdumione ostrą i prawie niegrzeczną odmową, patrzyły na Wiktora, jakby tłumaczenia od niego wyglądały.

— Mościa księżno — rzekł cicho Gorajski — muszę zdradzić tajemnicę, abyście panie hrabiemu o spotkaniu nie wspomniały. Ta pani — wskazał w stronę w którą odeszła — ta pani, którą tu dziwny jakiś fatalizm w téj chwili nasłał, to.... niegdyś żona hr. Filipa.

Obie słuchające krzyknęły zdziwione.

— Trzeba było wypadku, aby, nie wiedząc o nim, zaszła aż na miejsce, gdzie się oko w oko spotkali.

— A hrabia Filip? — spytała księżna.

— Nic nie wiem — rzekł Wiktor. — Musiałem w pierwszej chwili biedz za tą biedną, która jak obłąkana uchodziła.

Liza oglądała się za siebie z politowaniem, szukając oczyma nieszczęśliwej, ale ani słyhać jęj, ani widać nie było

— Bież pan — odezwała się księżna — przez litość, nie można jęj tak opuścić.

Liza przechodzącemu podawszy rękę, wskazała także, aby szedł. Wiktor puścił się przez zarośla, w stronę w którą domyślał się, że pobiedz musiała biedna hrabina.

Księżna Teresa z Lizą potrzebowały ochłonąć i naradzić się, jak miały postąpić, połączwszy się z towarzystwem. Obu im prawie niepodobna było ukryć wzruszenia, jakiego doznały.

— Ten nieszczęśliwy Filip! — szepnęła księżna. — Wistocie już mi go żal.

— Więcej nad nią użalaćby się potrzeba — szepnęła Liza.

Tak wesola owa biesiada, po której tyle sobie obiecywano, przed rozpoczęciem jeszcze została zagrożoną. Zdawało się że hr. Filip nie potrafi się uspokoić i zatrzeć na sobie skutków tego spotkania. Lecz człowiek to był wielkiej energii, gdy szło o miłość własną. Nim panie nadeszły, miał czas, postawszy chwilę i widząc że Wiktor pośpieszył za odchodzącą, zebrać siły. Zlekka rękę swą uwolnił od podtrzymującego ją hr. Augusta, i po krótkim namyśle, pobiegł do bufetu. Stały na nim butelki z winem; stary Falern, noszący przynajmniej to nazwisko, nastreczył się pierwszy. Filip nalał sobie szklankę i jak wodę wypił. Otarł pot z czoła, spojrzął po obecnych i ze śmiechem niezdrowym zbliżył się do Pelukowskiego, wyzywając go na opowiadanie, z którego zabierał się żartować, aby pokryć wzburzenie jakie w nim panowało. Szlachcic patrzył, nic nie rozumiejąc i nie mogąc sobie wytłumaczyć osobliwszych ruchów gospodarza; lecz gdy tylko mu się usta otwarły, zajął się sobą i niestworzone rzeczy prawić zaczął o tém, co dni ostatnich oglądał.

Hrabia Filip wtrącał co chwile jakąś wymyśloną osobistość rzymską, której Pelukowski nie widział jeszcze; zarzucał mu że nie oglądał szkieletu Nerona, wanny, w której umarł Seneka, relikwii jakiegoś skomponowanego świętego i trzody owiec, utrzymującej się od czasów św. Agnieszki. Z téj radził mu sobie kupić maciorkę i barana, dla zawiezienia ich do kraju.

— A co hrabia myślisz! — zawołał Pelukowski — gdyby się te Włochy nie drożyły, słowo daję żebym kupił!

Żartobliwość ta i wesolość gospodarza w Augustie litość wzbudzały. Wysilał się na nie, aby skryć co miał w duszy.

Gdy księżna z panią Lizą przybyły nareszcie, znalazły go jeszcze śmiejącym się i drwiącym, podskakującym trzpiotowato i łatwo poznały źleodegraną komedię. Z poza śmiechu tryskał gniew, a roztargnienie dochodziło chwilami do tego stopnia, że odzywał się do swych gości w sposób niewłaściwy. Zdawał się z niecierpliwością oczekiwać powrotu Wiktora, który się jak nazłość opóźniał. Zamiast niego, przybyła księżna Ahaswera z nieodstępnym towarzyszem, ale tym razem oboje nadąsani: księżna wesola i szczebiotliwa do zbytku, poeta milczący, nadęty, zimny a dumny.

Przyprowadziwszy tu księżnę, która weszła w koićce kółko, sam natychmiast oddalił się od niej i poszedł do Aureliusza, z którym żwawą zawiązał rozmowę.

— Ale, wiecie — odezwała się Ahaswera głośno — na drodze spotkaliśmy biegnącą ztąd, jakby uciekała, owę artystkę-Polkę. Zdawało się jakbyście ją ztąd wypędzili. Czy służba się może znalazła nieprzyzwoicie?

Na pytanie to, rzucone nagle, hr. Filip nie znalazł odpowiedzi. Panie téż nie odezwały się i księżna Teresa tylko nieznacznie skinęła na mówiącą, aby zamilkła. Nie rozumiejąc dlaczego, Ahaswera zagadła zaraz o czém inném.

Wiktora jeszcze nie było, ale ponieważ o nim nie wspomniała księżna, domyślać się było potrzeba, że albo jęj nie znalazł, lub ona go odprawiła.

Towarzystwo zaczęło się przechadzać po lasku i oglądać ruiny. Księżna Teresa zażądała zejść do podziemia, o którém mówiono. Podzielono się na grupy, a żółciowo wesoly gospodarz poprowadził panie, czyniąc honory ruin. Księżna Teresa zabrała téż z sobą Aureliusza, którego skromność, prostotę i talent ceniła.

Pelukowski tymczasem, że był głodny a do wódki nawykły, z pomocą poety, którego wziął za tłumacza, dopominał się, czyby nie można dostać kieliszka gorzałki, nimby do obiadu przyszło. Jakkolwiek restaurator wszystkie możliwe zapasy nagromadził, aby fantazyom najwykwintniejszym dogodzić, o wódce, której pić w gorących krajach niéma zwyczaju przed jedzeniem, nie pomyślano. Zamiast nięj znalazł się koniak stary,

który starkę litewską przypominał i honor przedsiębiorcy uratował. Szlachcic znalazł go w ysmienitym i chlebem, a raczej bułką z solą zakąsiwszy, cierpliwie już obiadu czekać obiecywał.

Zjawił się nareszcie Wiktor, powracający wolnym krokiem. Wsunął się tak, aby powrotu jego nie postrzeżono i nie badano go.

Pora obiadowa się zbliżała i panie wróciły też do namiotu. Liza, zastawszy Wiktora spokojnie stojącego na uboczu, spojrzała nań długo, jakby go ku sobie wzrokiem tym chciała pociągnąć; lecz w chwili gdy Gorajski miał zacząć kołować tak, aby nieznacznie do niej się zbliżyć, hrabia Filip, zobaczywszy go, pochwycił i odprowadził na stronę,

— Mówiłeś pan z nią? — zapytał gniewnie. — Umyślnie tu zapewne przyszła, aby mi stanąć jak głowa Meduzy!

— Przypadkiem tylko — odparł surowo Wiktor. — Ona sama pewnie to chorobą przeplaci. Natychmiast uciekła do Rzymu nazad. Bądź hrabia spokojny.

To powiedziawszy, jakby dla zbycia się tylko, Wiktor odstąpił od niego natychmiast, dając do zrozumienia, że więcej o tém mówić sobie nie życzy.

Rozmowa stała się ogólną i nieznaczącą: o klimacie, o pogodzie, o skwarze i cesarzu Adryanie, z którym bliską znajomość życzył sobie zabrać Pelukowski, bo go niedobrze pamiętał z dawno zaniedbanéj historii.

Wszyscy silili się na twarze wesole i czoła pogodne, a nikt wistocie prawdziwie wesółym nie był. Ahaswera odciągnęła księżnę Teresę ku drzwiom namiotu.

— Dlaczegoż mi nie pozwoliła mówić o téj artystce? — zapytała.

— Bo nie wiem co tu zaszło. Podobno ją nastraszone, czy ona nastraszyła kogoś, wpadłszy niespodzianie, a hrabiemu Filipowi wspomnienie o tém mogło być przykre.

— Nie jest on znowu tak przesadzenie czułym, ażeby go zbyt ochraniać potrzeba; ale... niech i tak będzie.

Siadano do stołu. Miejsca były powyznaczane i nie bez zwykłej gospodarzowi złośliwości. Siebie umieścił naprzeciw p. Lizy, obok księżny Ahaswery, której także towarzyszył Pelukowski; poetę wziął do siebie, razem z Wiktorem i Aurelianem. Gorajski, choć odsunięty od pięknej wdowy, zukosa jednak mógł patrzeć na nią, a ona, wyszukawszy go oczyma, ciągle już zwracała się ku niemu.

O czémże mówić było można w okolicy Rzymu, na zwaliskach willi Adryana i w gronku ludzi, oprócz Pelukowskiego i Fernanda, zajętych sztuką a miłujących ją — jeżeli nie o sztuce? Temat-to niewyczerpany.

— Gdybym była pejzazystą — odezwała się księżna Teresa — co za cudowny krajobraz zrobiłabym, wybrałszy jedno z tych gruzowisk, tak ślicznie obwiniętych zielenią, a tak majestatycznych!

— Mnóstwo ich już malowano — przerwał poeta — a sztychowano więcej jeszcze. Zdaje mi się że i u Piranesich są patetyczne parafrazy tych ruin.

— Villa d'Este, lasek w Olevano, kastel Gandolfo, Tivoli, dostarczają studyów bezmiary — dodał Aurelian. Ale jakże trudno, schwyciwszy linie zimne tych widoków, wlać w nie to życie, które one mają w naturze; ukraść to słońce, to powietrze, te barwy i to coś nieokreślane, co stanowi charakter krajobrazu z okolic Rzymu!

— Wogóle malarze, którzy długich lat nie przebyli we Włoszech — rzekł Wiktor — a nie przynieśli tu z sobą gorącej miłości piękna, inteligencji, duszy, pejzaż włoski malują szablonowo, tym ogólnym, niby gorącym kolorytem i z tą brawurą, jaką biorą ze szkoły Salvatora Rozy. Tymczasem Włochy są całym światem i krajobrazy Kampanii rzymskiej, Apeninów, Neapolu, Kapri, sycylijski, lombardzki, medyolański zupełnie odrębny mają charakter.

— W każdy obraz potrzeba włożyć duszę, aby na duszy zrobił wrażenie. Co z chłodnej refleksyi powstało, nie zachwyci nikogo, chociaż piękném być może — dodał Aurelian.

— We wszystko, co ma żyć, duszę włożyć potrzeba — odezwała się księżna Teresa.

— Tak! — uśmiechnął się poeta z pewną goryczą, którą z sobą przyniósł dnia owego — a nikt tego nie pojmuję, że poeta i artysta, duszę swą przelévając, udziela, uszczupla zapas jój w sobie. Jak się to dzieje, nie wiem, lecz tworzenie wycieńcza i... i dziwią się potem ludzie, gdy spotykając poetę, artystę, znajdują w nim często tylko suchą lupinę.

Westchnął Emil Marya, okiem rzucił ku Ahaswerze, ale tę w tej chwili zabawiał Pelukowski opowiadaniem, jak go, mości dobrodzieju, łajdaki gondoliery na dziesięć franków odrwili.

Hrabia August, rad ze zwrotu rozmowy, która mogła gości oderwać trochę od teraźniejszości, a hr. Filipa uczynić swobodniejszym, chciał ją podsyć i odezwał się:

— Jest coś mistycznego w dziełach sztuki. Sam twórca, który w chwili szczęśliwego natchnienia na płótno czy na papier przelał myśl swą, gdy zechce ją powtórzyć raz drugi, nie będzie już w tém usposobieniu, w jakim ją породził. Kopia jego własna własnego arcydzieła będzie już wystygłą łupiną... a cóż dopiero mówić o innych? Ja, tak samo jak w tłumaczenia, i w kopie nie wierzę.

— A cóż poczną nieszczęśliwi kopiści, którzy nic innego nad naśladowanie cudzych myśli nie mogą wydać na świat?

— Kopiści będą malowali dla tych, którym starczy cień piękna — rzekł hr. August. — Ich dzieła będą czasem miały tę własność, że przypomną to, czego w nich niema. Widziałem nieskończoną ilość kopij Madonny del gran Duca, Monny Lizy, Sykstynty drezdeńskiej — a wszystko to były trupy. Wątpię nawet, ażeby powtórzenie przez samego mistrza mogło być identyczne. Dlatego pielgrzymować potrzeba do arcydzieł.

— I niech malarze, poeci, rzeźbiarze tworzą coraz nowe — wtrąciła Ahaswera. — Wciąż o tych starych słuchać już bo się nudzi.

— Są takie temperamta — dodał, nie patrząc na mówiącą, z pewnym przekąsem Emil Marya — temperamta, które nudzi wszystko...

— Pan wiesz — śmiejąc się, dodała księżna — *tout passe, tout casse, tout lasse*. Wszystko wkońcu znuży. Gdyby mi codzień podawano ambrozyą, zachciałoby mi się piwa.

Hrabia Filip, który wstał i chodził, gospodarując około stołu, pochylił się jój do ucha i szepnął:

— Widzi księżna, dlatego przy niej posadziłem Pelukowskiego, to jest piwo po ambrozyi.

— Ale zwietrzałe! — odparła, śmiejąc się, Ahaswera, uderzając go rękawiczką — a oprócz tego, wierz mi, ambrozyi nie piłam.

Pelukowski zajęty był wielce podawanymi potrawami; miał ten zwyczaj szlachecki, że lubił wiedzieć co jadł. Z kartki, w srebrne ramki oprawnej, niczego się nie mógł nauczyć, mówiąc że tego i diabeł nie zrozumie. Pytał więc pocichu o każdą potrawę: „Co to jest?” zaspokoiwszy sumienie, jadł potem z apetytem syna stepów i kuchni sprawiedliwość oddawał; wzdychał tylko nad tém, jak po tych wszystkich przysmakach nieznanych znajdzie się polski szlachecki żołądek.

— Wszystko to dobre, przedziwne — szeptał do sąsiada — ale barszcz zawieszisty z rurą i pocziwą sztukamięś wolałbym jednak, bo jedząc, wiem z kim mam do czynienia, a tu każdemu półmiskowi prezentować się potrzeba i niewiadomo co zacz.

Dolewano mu wina i to go uspokajało.

Pani Liza siedziała smutna, spoglądając na Wiktora, którego oczy ciągle w nią były wlepione; niemi tylko rozmawiać mogli.

Z pierwszych preludyów o sztuce, hr. August przeszedł do tego założenia, iż artyści są szczęśliwi, bo mają cel w życiu nigdy nieosiągniony, więc utrzymujący ich w ciągłej nadziei i pragnieniach.

— Ci tylko — dodał — szczęśliwymi nazwać się mogą, którzy sobie postanowili jakieś zadanie, choćby napozór niewielkiego znaczenia, ale gorącą miłość mogące obudzić.

— Zmiłuj-że się — przerwał z ciągłą gorączką i sarkazmem przechadzający się gospodarz — jeżeli tak ma być wistocie, to mnie skazujesz na wiekiustą niedolę, bo mi właśnie w życiu brak celu.

— Powinieneś go sobie znaleźć — rzekł hrabia August.

— Nie tak to łatwo — zaśmiał się hr. Filip. — Niedosyc znaleźć sobie cel, sam mówisz że go pokochać trzeba, a to dla mnie główną trudność stanowi, bo wszelką miłość jaką miałem w sercu... wyszafowałem — dodał, spoglądając na panią Lizę, która oczy spuściła i udawa że nie słyszy.

Nastąpiło jakieś złowrogie, choć krótkie milczenie; gospodarz sam je przerwał wykrzyknikiem:

— Jedna jest rzecz, do którejbym się mógł zapalić, roznamiętnić, i nie ręczę czy w niedostatku innego zajęcia i celu, nie rzucę się kiedy do niej, to — wiecie państwo co?

Chwilkę się zatrzymał, czekając czy kto niespróbuje odgadywać, ale nikt nie wpadał nawet na przypuszczenie, ażeby hr. Filipa coś roznamiętnić mogło, oprócz takich rzeczy, o których mówić nie było warto.

— Wiecie państwo co? — powtórzył hr. Filip. — Dziennikarstwo!

— Bez żartu, masz wistocie temperament dziennikarski — odezwał się poważnie i bez najmniejszego cienia szyderstwa, hr. August.

— Tak, ja to czuję sam — podchwycił Filip. — Dziennikarstwo jest rycerstwem, bądźcobądź. Kto do szabli się nie zdał, na tém polu walczyć może, no... i burzyć. Zadaniem dziennikarstwa jest głównie krytyka i obalanie, a to mi się właśnie uśmiecha.

— Przepraszam cię — odezwał się hr. August. — Dziennikarstwo jedną ręką rozwała, drugą budować powinno.

— No, jeżeli tak, to ja tą jedną jestem ręką co wali, wywraca, oczyszcza pole. To moje posłannictwo, mam to we krwi — mówił, unosząc się, hr. Filip. — Założenie wielkiego organu, któryby sobie wziął za zadanie nielitościwie nam oczy otwierać, złudzenia rozpraszając, burzyć przesady, uprzedzenia rozpędzać... mogłoby być jeżeli nie rzeczą użyteczną, bo za to nie ręczę, to przynajmniej eksperymentem nader interesującym.

— Próbuje! — rzekł hr. August — przykłaśniemy.

— Ha! ha! — rozśmieł się gospodarz. — Trudność główna leży nie w założeniu, w ramach, programach i wystawieniu rusztowania, ale w znalezieniu falangi ludzi, coby szła ze mną, z myślą moją, coby miała odpowiednie talenta, a wyrzekła się samoistności, bo tu jeden musi być wódz i dyktator. Znajdźciez mi ludzi, coby, czując w sobie siły, poszli z niemi pod komendę cudzą.

— Dlaczegoż nie? — zawołał Wiktor. — Potrzeba tylko, aby ci ludzie zgodzili się na cel, naówczas *sacrifizio del' intelletto* stanie się możliwém. Burzenie zaś, o którym hrabia mówisz, nigdy nie może być celem, jest tylko środkiem.

— Tak, ale gdy się chwasty wypleni — krzyknął hr. Filip — mam nadzieję, że coś lepszego na ich miejscu urośnie!

— Jeżeli nie zasiejesz, to najpewniej wyrosną chwasty nowe — dodał August.

— Ale, na miłość Bożą — przerwała Ahaswera — dlaczego państwo mu przeszkadzacie? Taka śliczna myśl! Niech stanie na czele wielkiego dziennika i da w nim doskonały felieton... ja się abonuję!

— Nie żartujmy z rzeczy tak poważnej, jaką jest dziennikarstwo — wtrącił hr. August. — Potrzebuję przypominać, że to dziś jeden z najważniejszych czynników życia? Nie nowiniarstwo, ale dziennikarstwo, pojęte szeroko... Wyrosło ono z lichéj *gazzetty*, ale dziś *n'en de plaise à Girardin*, jest potęgą, we wszystkich swych przeróżnaitych formach i objawach, poczynawszy odcodziennego dziennika, do kwartalnego przeglądu. Każda z tych form wymaga i zdolności różnych, i pisarzy innych i sposobu ujęcia przedmiotu właściwego. Ale tu sprawdza się też to, coście panowie mówili o dziełach sztuki. Dziennik tylko taki mówi do ogółu, obudza i porusza, w który ktoś duszę wlewa. Zimne rzemiosło dziennikarskie, choćby przy wszystkich warunkach technicznych jaknajstaranniej spełnionych, nie znajdzie odgłosu. Powtarzam: dziennikarstwo jest kapłaństwem, i ci, co namaszczeni przystępują do niego, sami jedni tylko wpływ mogą wyrzucić.

— Ja nie wiem czy jestem namaszczoney — odparł hr. Filip — ale że gorączkowobym wiódł do boju, to pewna. Tymczasem to nie nadobie dziś i rycerstwo z gęsiém piórem odłożmy do szczęśliwszej przyszłości.

To mówiąc, mrugnął na służącego, aby naléwano kieliszki szampanem.

— Wnoszę zdrowie pań naszych, téj najpiękniejszej, najczynniejszej, najrozumniejszej i najdostojniejszej połowy rodzaju ludzkiego, która w cywilizowanych narodach, jak powinna, stoi na czele! Zdrowie pań, których my jesteśmy sługami, wychowawcami, niewolnikami! Zdrowie tych, co nas jedne mogą uczynić szczęśliwymi, a przez które myśmy nieraz tak nieszczęśliwi! Zdrowie pań!

Wszyscy hałaśliwie powstałi dla spełnienia toastów, gdy, jakby niebo chciało w nim także uczestniczyć, przerażający grzmot rozległ się ponad głowami biesiadujących. Nikt nie uważał, pod namiotem siedząc, że niebo się nagle okryło chmurami. Czarny obłok

nadciągnął już ponad willę Adryana. Księżna Ahaswera, która się niezmiernie bała piorunów i burzy na wolnym powietrzu, krzyknęła.

Grzmot drugi, silniejszy jeszcze, dał się słyszeć i pod mrokiem namiotu mignęło odbicie błyskawicy.

Obiad nie był jeszcze skończony.

— Ja umrę ze strachu pod tym namiotem — odezwała się, zrywając, księżna. — Na Boga, czy się nie ma gdzie schronić?

— Do podziemia! — zawołał hr. Filip — tu niedaleko wnijscie. Od piorunów i ulew będziemy tam bezpieczni. Służba nam natychmiast przyniesie krzesła i stoły nawet. Wprawdzie okropna to dziura i pełna śmiecia, ale w niej kilkaset osób może się pomieścić.

Ahaswera ruszyła się natychmiast, czekając aby jej kto podał rękę, i skinęła niecierpliwie na poetę, który, zapomniawszy rannej rozterki, nadbiegł natychmiast. Wszyscy się ruszyli za nią, choć niebardzo chętnie. Wiatr, mimo tamującego go lasu, miotał już namiotem; gałęzie szeleściły, drzewa się uginały, liście unosiły w powietrzu.

Błyskawice coraz częstsze następowały jedne po drugich. Za przykładem księżny ruszali się już wszyscy i Wiktorowi udało się zbliżyć do pani Lizy, której podał rękę, nim go kto zdołał uprzędzić. Przyjęła ją chętnie i Ferdynand dostrzegł że się zarumieniła, a oczy jej poweselały. Księżną Teresę powiódł August. Szlachcic, dopiwszy wina, niebardzo chętnie się zabiierał wynosić z namiotu.

— A to, mości dobrodzieju, historia — rzekł do Aureliusza. — Ledwieśmy obiad zjedli, ba, nawet niecały, bo coś jeszcze podawać mieli, burza nas pędzi do karczeresu... A jak lunie i zacnie artyleria niebieska dokazywać, to my tu i noc gotowiśmy być zmuszeni przesiadywać. Ale któż-bo widział obiad wyprawiać w takim miejscu na pustyni!

Dészcz już lał i pioruny były, tak jak one w Apeninach czasem umieją, gdy burza po skwarze szalęć zaczyna.

Poeta, który nieraz tu bywał, z łatwością znalazł blizkie wnijscie do podziemia. Nie było ono wygodne, bo schodzić musiano po osuniętej ziemi i gruzach w głąb. Podziemie było rozległe, lecz chociaż sklepienie nad niemi trzymało się jako tako, przez otwory, którymi zwisały się zarośla i trawy, wchodziło światło dzienne, mogła więc wnijsć i ulewa. Znać było na tym, co stanowiło rodzaj podłogi, iż tu strumienie wody nieraz gościły, bo powyżłabiały drogi, poryły koryta, ponanosyły mułu i cegły... Można więc było tylko w pewnych miejscach znaleźć schronienie, i to rozdzielwszy się na gromadki.

Księżna Ahaswera wybrała sobie kątek w rogu, na kupie rumowisk, i przyparła się do ściany; trochę niżej zajął miejsce hr. August z księżną Teresą, obok której przyszła stanąć Liza.

— Chociaż się nie tak boję piorunów, jak księżna — szepnęła do swego towarzysza — pan mnie nie opuszczaj... choćby przez litość, abym nie była narażona na inne towarzystwo.

— Czekałem tylko na pozwolenie — rzekł Wiktor. — Obawiałem się narzucać.

W tym wcale nieprzygotowanym na przyjęcie gości lochu, który niegdyś może mieścił w sobie niewolniczą służbę Cezara, całe przed chwilą u stołu wygodnie siedzące towarzystwo, rozpierchłe, tuliło się, jak mogło. Szczęściem po obiedzie został humor dobry, który osładzał niedolę. Śmieli się najodważniejsi, szlachcic zaś ramionami ruszał i coraz nowe sobie miejsce obierał. A nie było to łatwym, bo woda zgóry zaczęła się wciskać i gdy ulewa się zwiększyła, potok prawdziwy wdarł się od wnijscia, zalévając ziemię, na której stali goście, tak iż na różnych kupkach cegieł i pagórkach szukać musieli ocalenia.

— Garnitur nowiusienki diabli wzięli — mruknął szlachcic. — Otóż tobie Janku gdy!

---

Epizod ten, bardzo dramatyczny, trwał niedługo wprawdzie, lecz zostawił po sobie na twarzach gości niezatarte ślady, a może i w ich pamięci.

Hrabia Filip, z obowiązku zajęty rozporządzaniem na górze i na dole, parasolami, krzesłami, które kazał przynieść do podziemia, nie miał czasu przeszkadzać Wiktorowi w rozmowie. Prowadząc panią Lizę, schwycił on był po drodze płaszczyk swój, podesał go na kupce kamieni i uprosił ją, ażeby usiadła. Sam zaś obok stanawszy, mógł tém swobodnie rozmawiać, że nikt ich nie podsłuchiwał i nie przeszkadzał. Księżna Teresa

tylko czuć się zdawała nad tą parą... Ahaswera, ze strachu czy z kaprysu, przejednała się ze swoim poetą. Hrabia August miał staranie o księżnie Teresie, która uśmiechając się jak zawsze łagodnie, znajdowała że trzeba było dziękować hr. Filipowi, bo wszystko się udało jaknajdoskonalej, a burza przyszła, aby czémś niezwyčajnym, fantastycznym ukoronować to dzieło.

Wistocie w podziemiu było conajmniej oryginalnie. Woda wpadała teraz zgóry otworami i tworzyła kaskady; potok niosący muł, spieniony lał się przez wylom, stanowiący wnijsie; pioruny nad głowami huczały i trzaskały, aż ziemia się od nich wstrząsała, w półmroku, który nadciągająca chmura z sobą przyniosła, błyskawice sine, zielonawe, różowe stanowiły jakby czarodziejskie oświecenie obrazu. Na chwilę czasemrozjaśniało się i drzące blaski nikły, by się powtórzyć to bledsze, to silniejsze.

Gwałtowny wichur, który uginał i łamał drzewa, wkrótce przyniósł chmurę, burzę i ulewę. W stronie, z której one przyciągnęły, niebo się rozjaśniać zwolna zaczęło. Cichy dęszc padał jeszcze, a hrabia Filip przybył z uspokajającą wiadomością, że namiot, z którego niepotrzebnie się wyniesiono, osłoniiony drzewy, doskonale wytrzymał katastrofę i deser nienaruszony czekał na gości, wraz z czarną kawą.

— Że deser nienaruszony, mości dobrodzieju — szepnął szlachcic do Aureliusza — bardzo mnie to cieszy; ale ja jestem naruszony... Zaciekło mi za kołnierza, nogi jak w kąpieli i garnitur, słowo daję, przepadł.

Księżnę Ahaswerę nierychło było można namówić do powrotu, bo grzmoty jeszcze się zdala odzywały niekiedy, jakby wracać chciały z nową siłą.

Tymczasem przez wnijsie potok gwałtowny płynąć przestał i mokrą ziemię służba wyłożyła kamieniami tak, aby suchą nogą wydobyć się ztąd było można. Powietrze odświeżone zachęcało, aby się ztąd wydobyć. Ferdynand jął się gospodarzowi czynnie pomagać i był w swoim żywiole, bo gospodarować lubił. Całe więc towarzystwo poczęło ostrożnie powrót do namiotu. Wiktor, który nie opuszczał ani na chwilę Lizy, prowadził ją znowu.

Burza nie trwała może godziny, przybory do wydobycia się z podziemia zajęły trochę czasu. W krótkim tym przeciągu kilku chwil cicha rozmowa pani Lizy z Wiktorem, na którą zdala baczość miał wielką Ferdynand, dała mu dostrzedz symptomaty, dla niego niewytłumaczone. Działo się coś, czego nie rozumiał. Co sobie mówić mogli, z czego się zwierzać, czém tak mocno byli zajęci, że na otaczających ani zważali — Ferdynand nie mógł tego odgadnąć, ale doskonale widział, że siostra z Wiktorem wyszła napowrót, jakby daleko poufalej zapoznana, jakby uspokojona i odżywiona. Ona, co się nigdy prawie dawniej nie uśmiechała, teraz pokazywała drobne swe zębki białe i nawet żartowała troszeczkę ze strachów Ahaswery.

Księżnę burza wprawiła w rodzaj gorączki; dla tych co się jęj przeciwwili była prawie niegrzeczna.

— *Ab! allez y voir!* — wołała — żebym się miała drugi raz dać zaprosić temu hr. Filipowi, *qui a du guignon dans tout!*

Skoro się wypogodziło i pod namiot weszli, księżna tylko jedna miała na myśli, aby się ztąd wyrwać coprędzej. Znała już swojego poetę, że towarzystwo niełatwo opuszczał, i choć się na zdrowie uskarżał, lubił, zapominając się niby, dobrze zjeść i wypić. Nie rachowała więc na niego i postanowiwszy go tu porzucić na łaskę gospodarza, wyglądała niecierpliwie, ażeby chmura odeszła.

Wieczór po burzy wrócił prześliczną pogodę, piękniejszą daleko, niż była we dnie; powietrze odświeżone balsamiczne przesycały wonie.

Nie mogło to powstrzymać Ahaswery, która się gniewała na gospodarza za pomysł nieszczęśliwy, niespokojna była o zamoczone nóżki, grożące fluksyą, i chciała co najrychlej skryć swój zły humor w domu. Nie żegnając się więc, nikomu nie mówiąc nic, wysłiznęła się nieznacznie, rachując na to, że do powozu trafi. Nieprędko spostrzeżono się że jęj nie było i dopiero oddalony turkot poetę rozbudził. Postrzegł że został osadzony na koszu, ale namarszczywszy się w piérwszej chwili, postanowił narzucić się z powrotem gospodarzowi i udał nietylko obojętnego, ale weselszego niż był przedtém.

Księżna Teresa była téż trochę zmęczona i w pół godziny po Ahaswerze pocichu umówiła się z Lizą, żeby do miasta powracać. Gospodarz domyślił się tego, prosił trochę aby panie pozostały, lecz uległ wreszcie ich postanowieniu, może dlatego, aby nie patrzeć na

ciąglą prawie rozmowę poufną pięknej wdowy z Wiktorem. Obawiając się, aby on nie przysiadł się z paniami, położył to za warunek, aby one mu reszty męzkiego towarzystwa nie zabierały.

Gdy podano herbatę, owoce i wina, pań już nie było. Zostawszy sami, wszyscy się uczuli swobodniejsi i z cygarami w ustach stół obsiedli. Hrabia Filip miał w tém swoje widoki, iż trochę po polsku koniecznie chciał podpoić swych gości.

— Szanuję — rzekł z ironią — tak dalece tradycje narodowe, że zapowiadam, że się choć trochę podchmielić musimy. Dziadowie i ojcowie nasi nie rozchodzili się nigdy nasucho.

— Bardzo dobrze — przerwał August — ale... trochę. Tradycje szalonego pijaństwa wzięliśmy nie po dziadach, ale po Sasach, od Augusta Silnego, który sam pił i poił na śmierć. Tradycyi téj się wyrzekam.

— Być może — rzekł poeta — iż Sasi rozpoili nas; ale zajrzyjcie do Kochanowskiego, do satyr dawniejszych, a przekonacie się z nich, że u nas i przed Augustem pijano. Świadkiem Górnicki w Dworzaninie.

— Pijana tyle, aby się podochocić, nie żeby się z nóg zwalić i rozum postradać — rzekł August. — Więc skromnie, zwłaszcza że z winami włoskiemi żartować nie można.

Szlachcic bronił świętych tradycyj.

— E! dobrze się i upić w pocziwém towarzystwie — rzekł — byle bez szwanku dla zdrowia. Ja zaś we włoskiem winie wcale miły wigor znajduję. Francuzkie barszczykowate, kwaskowate, a te, mospanie, do żołądka idą i tam robią porządek.

Hrabia Filip naléwał pilno, choć w nim od rana wszystko kipiało. Widmo żony, po-tém owo szczęście Wiktora, na którego tak była łaskawą pani Liza, rozdrażniły go do ostateczności. Zbliżył się do owdowiałego poety, którego nie cierpiał, ale teraz mu i on był dobry, bo mógł się zdać na co przeciw Wiktorowi. Odgadł w nim zazdrość i niechęć ku niemu.

Nadzwyczaj czule, co się nigdy nie trafiło jeszcze, ujął go pod rękę.

— Panie nam zdezertowały — odezwał się pocichu. — Nachylił mu się do ucha. — Uważałeś — dodał — że pani Liza widocznie jest pod urokiem naszego... wielkiego nieznajomego? Powiedz mi téż ty, który ludzi umiesz ocenić, co to za figura?

— Hm! zagadkowa — odparł Emil Marya.

— Z pewnością artysta, a tego się wypiera.

— Ale jakże! ma najęte przecie atelie po tym Niemcu — rzekł Emil. — Już cię artysta, ale z artystami gra rolę panicza, a z panam...

— Oslania się tajemnicą? nieczysta sprawa! — dodał Filip. — Nieglupi człek, ale mi wielce podejrzany. Słuchaj-że, masz ucho u Ahaswery, nie wypieraj się tego, wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi... Powinieneś ją namówić, aby ona ostrzegła panią Lizę że się kompromituje, że ta poufałość z takim człowiekiem niepewnym, cień na nią rzuca. Powiedz, to przecież obowiązek. Szkoda téj biędnej wdowy, aby padła ofiarą awanturnika.

Pochlebilo to zwierzenie się poecie; poszeptał chwilę z hrabią, ścisnęli się za ręce i rozeszli.

Przy stole szlachcic wiódł rej w rozmowie o dawnych czasach. Hrabia Filip, obszedłszy próżne kieliszki, które niemiłosiernie doléwać kazał, zkolei wziął na pogadankę Ferdynanda. Ten był już podochocony i niezmiernie wesół, tak że nawet dla gospodarza czuł się w obowiązku czulość okazywać.

— Szkoda że nam panie uciekły — rzekł hrabia.

— Ja dalipan nie żałuję że sobie odjechały — rozśmiał się Fernando. — Pocziwie te nasze kobięciska, ale i księżna Teresa i moja siostra zanadto święte, aby z niemi było bardzo wesoło.

— No, o Ahaswerze przecie tego nie powiesz — przerwał hrabia Fernando głośno parsknął.

— Pewno że nie; ale ta stara i brzydka, a w dodatku kapryśna.

— A jednak swego czasu ludzie dla niej głowy tracili — rzekł Filip. — *Elle avait du piquant.*

— No, ten biędny wieszcz podobno i teraz jeszcze potrafił się w niej rozmiłować — zawołał Fernando.



— Cóż ty chcesz? z tak potężną fantazyą można z pomywaczki zrobić anioła, a tém-  
bardziej ze staréj księżny.

Śmieli się tedy obaj.

Hrabia nieznacznie wskazał na Wiktora, który żywo rozmawiał z Augustem.

— Mój drogi, ty go tam bliżej znasz, powiedźmi, czy nie wiesz ty przecie co zaczą jest?  
nie odcyfrowałaś téj zagadki?

— Tyle wiem co i wy — rzekł Fernando.

— Ale siostra wasza tak go uprzejmie jakoś przyjmuje, tak go ośmiela — mruknął  
Filip, w oczy mu patrząc.

Fernando bądźcobądź o siostrze lekko mówić, cienia nawet jakiegóś zniewagi rzucić na  
nią nie mógł dozwolić. Zarumienił się, wyprostował i rzekł żywo:

— Co moja siostra robi, to dla mnie rzecz święta, bo ja w nią wierzę niezachwianie.  
Ona z pewnością ma więcéj rozumu, z pozwoleniem, niż my wszyscy.

Filip obrócił w żart i uściskał go.

— Ale i ja nie sądzę téż inaczej — zawołał. — Może się źle wyraziłem; wierz mi, że  
nikt nie może być więkším jéj wielbicielem odemnie.

— Do tego co ona robi nie mieszam się — dodał Ferdynand — bom przekonany, iż  
wszystko co czyni, to dobre. Ten pan Wiktor zresztą jest w całém znaczeniu wyrazu *un  
homme très comme il faut*.

— Alboż przeczę? — odparł Filip, poprawiając się i cofając. — Znajduję tylko, że się  
zanadto okrywa tajemnicą. Artysta, nie artysta... kto... zkąd?

Ferdynand nagle zwrócił rozmowę.

— Aleby czas powrócić nam do Rzymu — rzekł, spoglądając na zegarek.

— O! przepraszam — zawołał hrabia — nie puszczę! Jesteście moimi gośćmi, po-  
wrócimy razem. Noc będzie prześliczna.

I żeby w dobry humor wprawić Ferdynanda, cicho szepnął mu w ucho:

— A cóż Pepita?

— Ciężka sprawa! — odparł kawaler. — Boję się czy pan Wiktor, który się zapiéra  
tego, nie zbałamucił jéj wprzódy. Z nim jest za pan brat, a mnie nawet palca dotknąć nie  
pozwala.

— Czarodziej z tego jegomości! — z przekąsem dodał Filip.

— Ma szczęście, to pewno — rzekł Fernando. — Księżna Teresa, hr. August, moja  
siostra, nie mogą się go odchwalić.

Ruszył gospodarz ramionami. U stołu wciąż szlachcic perorował, zapomniawszy o gar-  
niturze.

— Nie można powiedzić, Włochy mi się dosyć podobały, tylko i one mają swe ale.  
Dobrego mięsa nie znają, koźłeta jedzą, pająki morskie, zieleniny... aż strach! Warzywo,  
panie, ogórki na łokcie mierzyć... Tylko że znowu to nie są ogórki, tylko jakieś paskudz-  
two... No, i mospanie dali mi raz surowy zielony pieprz turecki w strąkach na śniadanie.  
Ażem się przeżegnał! Surowizny moc jedzą i dlatego tak żółto i niezdrowo wyglądają.

— A kobiety jak pan znajdujesz? — spytał gospodarz.

— No, zdaleka trochę zarywiają na Cyganki, ale są i wcale niczego; zblizka zaś, mo-  
spanie, oliwą je czuć i bodaj czy się one kiedy umywają. Przytém żenić się tu nikomubym  
nie życzył, bo stare baby łysieją i bardzo brzydko wyglądają.

Śmieli się niektórzy.

— Ma dalipan słuszność pan Pelukowski — potwierdził hrabia Filip. — Niéma ko-  
biét, jak Polki nasze!

— Zatem ja jeszcze raz nieobecnych zdrowie wnoszę — zawołał szlachcic zaanimow-  
wany. — Co prawda, to prawda..! A niedość że piękne i pocziwe, ale mosanie i to coś  
znaczy, że dłużej one trwają. Tu panie po trzydziestu latach już ani patrz na kobietę...  
wąsy goli — a nas... Hej! hej! dobrodzieju, i czterdziestówka jeszcze hoża.

Ze śmiechem i zapalem toast przyjęto i wychylono. Szlachcic był wesół i dumny.

Zaczynało się robić ciemno, i jak to bywa w krajach gdzie powietrze jest czyste, noc  
nagle zapadała. Zapalono światła.

— Byle nas, mospanie, w powrocie rozbójnicy nie zaskoczyli — rzekł Pelukowski.

— Nie mamy się czego obawiać. Powracamy razem, a jest nas tyłu, że się na nas rzucić nie ośmiela — rzekł Filip. — Na zakończenie jabym poncz życzył.

— Nie, ten nas dorznie — rzekł szlachcic doświadczony; — trzymajmy się już wina i... zdrowie gospodarskie!

Wypito i to zdrowie ochotnie. Nikt nie uważał, że po kobiecym toaście, Wiktor i Aurelian, przechadzający się po namiocie, zniknęli.

Wistocie przyszła im fantazyja pieszo powracać do Rzymu. Obaj doskonale znali okolice, mieli kije i odwagę; pić już się im więcej nie chciało, wysunęli się więc w zarośla i po chwili byli na gościńcu.

Noc gwiaździsta, chłodna, cicha, prześliczna była do téj przechadzki, jakby naumyślnie przygotowaną. Aurelian szedł, jak zwykle milczący, Wiktor osmutniały. Długo nie mówili nic: puszczały dym z cygar i z nim myśli swe rozbudzone biesiadą, która pomimo wesołości, zostawiła po sobie wrażenie jakieś przykre, szczególnie na Wiktorze. Nie mogła mu zejść z pamięci ta nieszczęśliwa istota, którą przeznaczenie wpędziło tu, aby Filipowi struła chwilę zapomnienia o troskach.

— Ha — mruknął wkońcu Aurelian — dobre to wszystko... miłe ich towarzystwo, ludzie ogładzeni, mówią że kochają sztukę... ale ja jakoś do nich przylgnąć nie mogę. Obco mi z nimi.

— Nad nimi — przerwał Wiktor — więcej się użalać potrzeba, niż żal mieć do nich. Nieszczęśliwe to są istoty... chore dusze. Mają wszystko czego potrzeba do pracy, do czynu, do dzieł wielkich; wykształcenie jakie takie, inteligencya najczęściej rozbudzona, smak, środki materyalne, a nic nie robią i życie jest im brzemieniem.

— Czém się to dzieje? — spytał malarz.

— Wychowaniem — odrzekł Wiktor. — Rzadko posuwają je dalej nad znajomość powierzchowną, encyklopedyczną rzeczy powszednich. Główną wagę w wychowaniu ma ogłada. Prawda że w salonie nic im zarzucić nie można, że ludzie są nadzwyczaj mili, ale rozpieszczeni, egoiści i płosi. Nie idzie im o to, aby coś umieć, lecz aby wszystko jako tako rozumieć, chwycić coś z każdej rzeczy i błyszczyć. Wyjątek stanowi ten hr. August.

— Filipowi téż inteligencyi odmówić nie można — odparł Aurelian.

— Ani dowcipu; ale zgryziony i zgryźliwy jest i więcej o sobie mniema, niż się godzi. Biędny człek!

— Panie więcej od nich warte — zauważył malarz.

— Masz słusność — potwierdził Wiktor. — U nas powszechnie kobiety stosunkowo wyżej stoją od mężczyzn, i to jedno pociesza, boć od nich zależy przyszłość pokoleń. Ale i to — dodał — są chore dusze... Każda z nich prawie pożyciem z człowiekiem, co jój nie był wart, złamana. Odwagi im braknie, aby samoistnie życiem kierować; dręczą się i marnieją.

— Lizę to jakby Ary Scheffer malował — wtrącił Aurelian. — Ma wyraz jego potocznych kreacyj niewieścich.

— Nadało jój go nieszczęście — rzekł Wiktor. — Przeszłość jój bardzo smutna. Związana była z człowiekiem zwierzęco zepsutym... anioł z bydlęciami! Najpiękniejsze lata życia zeszyły na męczeństwie, a gdy wyzwoloną została, nie wiem czy ma jeszcze siły rozpocząć życie nowe.

— Ależ to młoda kobieta! — odezwał się Aurelian.

— Tak, młoda, lecz życie się na lata nie liczy — odpowiedział Wiktor. — Męczeństwo wyczerpuje zawczasem i rozczarowuje na wieki.

Rozmawiając tak, szli powoli pustym gościńcem. Księżyc, już po pełni późno wschodzący, dopiero się z za gór dobywał... W krzakach i bujnych chwastach polatywały muchy świecące (*luciole*) jak ogniki, chwilę migotały w powietrzu, znikaly i zjawiały się znowu.

Stali właśnie u mostka na wyschlým potoku, za którym licha lepianka, karczemka z kuźnią pustą, ciemniała, jakby uśpione stworzenie jakieś, leżące nad drogą.

Zdziwił się mocno Wiktor, gdy się zbliżyli, widząc w niej światło, przez otwarte drzwi smugą wychodzącą na gościniec.

Ciekawość jakaś — może artystyczna — efektu światła i charakterystyki tego biędnego wnętrza, skłoniła Aureliana do zatrzymania się i zaglądnienia. Wiktor stanął także.

Izba niewielka, której otwarte drzwi wychodziły wprost na gościniec, była ubogą i bardzo lichą w sprzęt nędzny opatrzoną. Stół na chwiejących się nogach cienkich, kilka

nadłamanych stolców, u ściany naprzeciw wnijsia rodzaj bufetu, na którym stały szklanki od wina, kilka talerzy i prosty dzbanek ze staroświeckimi malowaniami i ozdoby — składały całe gospodarstwo. Na stoliku paliła się ciemno lampka mosiężna zaśniedziała, której knot niewiele dawał światła drżącego. W głębi, przy rodzaju łóżka stojącego w kącie, widać było osób kilka, w milczeniu i zakłopotaniu ugrupowanych. Zasłaniały one sobą jakiś przedmiot, którym tak zajęte były, że kroki przybywających i kilka słów półgłosem wymówionych przez Wiktora nie potrafiły ich od tego zapatrzania się oderwać.

Aurelian domyślał się jakiegoś wypadku, o które w okolicach Rzymu nietrudno. Sądząc że się na coś przydać mogą, weszli do lepianki.

Stojący przy łóżku mężczyzna stary w koszuli i zarzuconej na plecy kurtce aksamitnej, z dawno niegoloną brodą siwą, odrosłą jak szczecina, zwrócił się ku nim, trochę zdziwiony. Na twarzy jego, starością i życiem ciężkiem zubożniejszą, równie jak na kobiecie żółtej, opalanej, pomarszczonej, która stała obok niego, malowało się politowanie.

Na zapytanie Wiktora, ruszając ramionami, mężczyzna wskazał na łożo.

— Jakaś kobieta w drodze jadąc zachorowała. Chciała tu spocząć tylko, a oto *accidente* — dodał. — Coraz jęj gorzej; vetturin, co ją wiozł, odjechał i niewiedzieć co z nią robić. Uchowaj Boże śmierci, będzie utrapienie dla nas...

Wiktor, jakby przecuciem jakimś tknięty, zbliżył się ostrożnie ku łożku i o mało nie krzyknął, widząc na nim leżącą bladą i jakby usypiającą, czy dogorywającą hrabinę Filipową.

Podszedł cożywiej ku niej i gdy słysząc szelest, powieki trochę podniosła, a poznała go, przemówił, pytając co się stało.

Musiał jednak dwa razy powtórzyć to zapytanie, nim jakby z obłąkania czy ze snu wychodząc, kobieta słabym głosem na nie odpowiedziała, że wzruszenie ranne tak ją złamało, iż dla strasznego bólu w głowie, która jak ogniem paliła, dalej już jechać nie mogła.

Wiktor natychmiast oświadczył się przyśpieszyć powrót do miasta, przywieźć doktora i powóz, ażeby się do mieszkania swego dostać mogła.

Hrabina, niezupełnie przytomna, szeptała tylko:

— Nie, nie trzeba... tu czy tam umrzeć, wszystko jedno... umrzeć!...

Po naradzie szybkiej z Aurelianem, stanęło na tém że malarz miał pozostać przy chorój, dla bezpieczeństwa i nadzoru, bo oświadczył że doktora żadnego nie zna, chorować i leczyć się nie mając czasu. Wiktor więc sam miał biedz do miasta po rachunek. Usiłował on dla uspokojenia chorój zawiadomić ją o tém, że przyjaciela zostawił na straży, że miał powrócić wkrótce. Hrabina, słuchając, otwierała oczy, ale nie odpowiedziała nic. Zubożniejsza była zupełnie na wszystko.

Ścisnąwszy rękę Aureliana, Wiktor puścił się jak mógł najszybszym krokiem ku miastu. Księżyc wszedł był właśnie i do rana nie musiało być daleko.

Aurelian na ławeczce przed chatą zajął miejsce, oparł się o ścianę, zadumał smutnie i zdrzemnął. W chatce cisza panowała, zaledwie przerywana ciężkiem niekiedy westchnieniem chorój, która się za głowę chwytala.

Pochód pieszo do tego miejsca, zatrzymanie się przy chorój, narada zabrały tyle czasu, że Aurelian zaledwie usadowił się na ławce, gdy powozy nadjechały, wioząc dobrze podchoconych gości z willi Adryana.

W jednym z nich ze szlachcicem siedział hrabia Filip i obaj głośno śpiewali piosenkę jakąś polską, dosyć niesfornemi głosy. Ta wesołość, niepokojąca smutną lepiankę, w której leżała chora, ten śpiew dziwaczny raził malarza przykro. Powstał i ruszył się, a poeta, który do śpiewu téż pomagał, poznał go.

— *Fermate!* — zawołał do woźnicy — to Aurelian, dezterter. Stój, stój!

Hałaśliwy krzyk „Stój!” odezwał się z powozów obu. Zaczęto wołać na Aureliana, aby wsiadał. Ten z oburzeniem się opierał, a nakoniec, tłumaczyć się nie chcąc, wszedł do izby i drzwi zamknął za sobą. Hrabia Filip, który pił wiele był w stanie rozdrażnienia nadzwyczajnym, wyskoczył z powozu, aby gwałtem zabrać malarza. Otworzył drzwi i głosem krzykliwym odezwał się do niego:

— Kto nie z nami, ten przeciwko nam!

Lecz nim dokończył tych wyrazów, słowa mu na ustach zamarły.

W głębi izdebki, z rozdzierającym krzykiem bóleści i przestachu, podniosła się z łoża postać blada, z podniesionymi rękami.

— Przekłęty! — zawołała i padła na pościel bez życia.

Hrabia Filip stał osłupiały; nie wierzył jeszcze oczom własnym. Rozepchnął stojących u łóżka, zbliżył się ku niemu, spojrzął i stanął znowu zdrtwiał, dzikim wzrokiem mierząc leżącą na łóżku kobietę, której twarz trupia okrywała bladość.

Staruszka przybiegła cucić omdlałą, ale napróżno; wrażenie to powtórne było tak silne, że życie odebrało. Aurelian machinalnie odciągnął Filipa od łoża, w chwili gdy hr. August i poeta wchodzili właśnie do lepianki.

Ten trup na łożu, trup w którym poznano artystkę, nagle osłupienie i jakby nieprzytomność Filipa, które się wiele domyślać kazały, rozproszyły wnet resztki wesołości po biesiadzie.

Krzątano się jeszcze około zmarłej, gdy przyjaciele hr. Filipa, widząc stan jego, chwycili go jak bezwładnego, wyciągnęli z izby, wsadzili dopowozu nieoprytomniałego jeszcze, i kazali jechać do miasta.

Aurelian sam pozostał.... Włosi biędni lamentowali, łamiąc ręce i wykrzykując.

Coraz pewniejszym było ze stygnącego ciała, że podróżna owa, którą przyjęli dla spoczynku, już nigdy do życia przywróconą być nie miała.

Staruszka, płacząc, z pomocą męża położyła ją na szczupłym łóżeczku. Aurelian stał, przejęty tą tragedią niespodziewaną. Dzień coraz jaśniejszy się robił.

Po długim oczekiwaniu wielkim pędem nadbiegł powozem Wiktor, wiozący z sobą doktora, niedobrze jeszcze ze snu rozbudzonego. Ten zaledwie wszedł i wziął za rękę ciała już zastygłe, ruszył ramionami i krótko a zimno rzekł:

— Umarła.

Wszystkie później próby i sprawdzania potwierdziły ten wyrok.

Aurelian opowiedział scenę, jakiej był świadkiem.

Nie pozostawało teraz nic więcej, nad przewiezienie ciała do Rzymu i starania o pogrzeb. Nie wiedział nikt nawet mieszkania hrabiny i nie umiano by sobie poradzić, chyba z pomocą policyi, gdyby w woreczku, który miała z sobą umarła, nie znalazł się bilet z jej adresem.

Włożono więc z pomocą gospodarzy ciało do powozu i orszak żałobny pociągnął z nim pieszo do miasta.

Gdy się to działo na gościńcu, hrabia Filipa, nie mogącego przemówić słowa i będącego w stanie budzącym obawy największe, hrabia August z troskliwością odwiózł do hotelu, gdzie się dał w łóżko położyć i jak dziecko rozporządzać sobą. Posłano po lekarza.

Ferdynand, który wszystkiego był niemyym świadkiem, już dniem powrócił do domu i choć zmęczony, spać się nie mógł położyć. Niezbyt wrażliwy i dosyć chłodnego usposobienia, pierwszy raz w życiu doznawszy wzruszeń tak silnych, był niemi jak przybity. Strony tragicznej życia ludzkiego nie znał wcale. Słyszał o niej, nie zetknawszy się z nią nigdy. Uczyniła na nim wrażenie tak silne, iż przyjść do siebie nie mógł. Usiadł na sofie i nierychło gorączkowym snem usnął. Pani Liza, która wstała też dosyć późno, nie kazała go budzić. Przesiedział tak do południa, a gdy oczy otworzył, to co widział zdawało mu się nocną zmorą.

Pod wrażeniem tém znalazła go wchodząca siostra, która się dowiedzieć chciała, czy nie jest chory.

Spojrząwszy na niego, na tę twarz zwykle wesołą i spokojną, na której nigdy się silniejsze nie odbiło uczucie, zrazu przelękła się, czy po jej odejździe nie zaszło coś osobiście dotyczącego brata.

— Co ci jest? — spytała niespokojna.

— Przyjść do siebie nie mogę — odparł Fernando — a nie wiem czy ci potrafię opowiedzieć, co się stało.

Liza przystąpiła cała drżąca; zaczynała się lękać o tego, którego imienia wymówić nie śmiała.

— Mów, na Boga! — zawołała — nie trzymaj mnie w tej niepewności! Cóż się stało?

— Wracaliśmy w bardzo, w zbyt nawet wesołych humorach z tej prawdziwie nieszczęśliwej wycieczki. Wiktor i Aurelian poszli przodem pieszo.

— Wiktor! — przerwała ręce łamiąc i zdradzając się mimowoli Liza. — Wiktor! Czy jego co spotkało?

Głos, jakim to powiedziała, bladość jęj, tak były dziwne dla Ferdynanda, iż na chwilę zamilknąć musiał, doznawszy przykrego uczucia.

— Wiktorowi nie stało się nic — dodał spokojnie. — Bez niego powracaliśmy, śpiwając i hałasując, gdy na pół drogi na gościńcu przed karczemką zobaczyliśmy siedzącego Aureliana. Chciano go zabrać gwałtem. Widząc nas, schronił się do izby. Hrabia Filip wpadł tam za nim. Jak się później okazało, kobieta która przypadkiem znalazła się w willi, artystka owa Polka... leżała w tej karczemce chora.

— Hrabina Filipowa! — przerwała mimowolnie Liza.

— A, więc to była hrabina? — zawołał Fernando — o tém nie wiedziałem... Teraz jest-to dla mnie zrozumiałem... Na widok wchodzącego Filipa, porwała się przestraszona, krzyknęła i padła trupem!

Liza oczy sobie zakryła.

Ferdynand padł na sofę i, podparty na rękę, zadumał się znowu...

Można sobie wyobrazić jakie wrażenie wypadek ten uczynił na wszystkich, co byli świadkami jego, lub zasłyszeli o nim z opowiadania, które mu jeszcze jaskrawszą barwę nadało.

Przez kilka dni wszystkie stosunki zostały splątane, zachwiane. Posyłano się dowiadywać, niepokojono, dopytywano.

Hrabia Filip był niebezpiecznie chory; musieli więc inni zająć się pogrzebem nie-szczęśliwój; hr. August pilnowaniem chorego, Wiktor formalnościami związanymi z tą nagłą śmiercią i małym spadkiem po zmarłej, o której zgonie rodzinie dać było potrzeba do kraju.

W początkach słabość hr. Filipa zdawała się groźny przybić charakter; po kilku dniach jednak nadzwyczaj prędko poczył przychodzić do siebie i odzyskiwać dawną swą siłę, a z nią i charakter.

Gdy tylko uczuł się lepiej, oświadczył że musi wyjechać z Rzymu. Nikogo nie chciał wziąć z sobą; z wielką przytomnością umysłu poczynił przygotowania do podróży, a na-ostatek uprosił hr. Augusta, aby za niego towarzystwo pożegnał.

Po gwałtownym ciosie, któryby kogo innego na całe życie może zwichnął i zmienił, hrabia Filip również prędko się podźwignął, jak zrazu padł przybity. Z powracającym zdrowiem, wróciły wszystkie dawne cechy jego charakteru: ironia, szyderstwo, sceptycyzm, może nawet zaostrome, więcej niż przedtém rażące.

O tém co zaszło unikał wspomnienia.

Na samém wyjeździe, dziękując hr. Augustowi, gdy ten się go dopytywał, co z sobą czynić myśli i czy nie powróci do kraju, odezwał się żywo:

— Ale nie, chcę tylko odbyć podróż, któraby dla mnie stanowiła rodzaj kuracyi. Rozerwę się, zmęczone i sądzę że wkrótce będę miał przyjemność powrócić tu do państwa. Czy — dodał ze swym śmiechem szyderskim — uczyni wam to przyjemność, nie wiem — ale mnie wielką.

Hrabia August przyjął to oświadczenie bez odpowiedzi.

Pomiędzy odwiedzanymi chorego, których on przyjmował lub przepraszał, dwóch szczególniej widzieć sobie życzył przed wyjazdem, Wiktora i Ferdynanda. Pierwszego z nich przyjął z oznakami wielkiej czułości, na które ten bardzo chłodno odpowiedział.

— Kiedyś może — żegnając go — gdy się czuć będę lepiej do tego usposobionym, opowiem panu historiją moją i spodziewam się w oczach jego usprawiedliwić, jeżeli potrzebuję usprawiedliwienia. Bądźco bądź — wtrącił gorączkowo — potrzebuję tu wrócić i powrócić!... Tymczasem, nim panu wyjaśnię niektóre okoliczności, spodziewam się iż zechcesz wstrzymać się z sądem o wypadku, którego byłeś świadkiem...

Ferdynanda żegnał niezmiernie czule, starając się go ująć, a naostatku mu szepnął:

— Jadę, ale powrócę... no, i mam nadzieję, że przywiozę z sobą wiadomość jakąś o zagadkowym panu Wiktorze. Poczynilem o to starania.

Uśmiechnął się złośliwie.

— Skarciłeś mnie już, kochany Ferdynandzie, za to żem śmiało się obawiać o anielską siostrę twoją. Pomimo to, ja ci jeszcze powtarzam: strzeżcie się awanturnika, bądź z nim ostrożny!

Ferdynand się rozśmiał.

— Ale bądź że hrabia o nas spokojny — rzekł z uśmiechem lekceważenia. — Siostra moja, w niedostatku wiadomości, instynkt ma tak cudowny, że się nigdy na ludziach nie myli. Nic nam, dzięki Bogu, nie grozi.

— Ja, gdy chodzę pociemku, zawsze wołę być jaknajogłędniejszym, aby nie wpaść w jaki dół lub błoto — zakończył hrabia.

Tak się rozstawszy ze wszystkimi, hrabia nagle Rzym opuścił, nie mówiąc nikomu, dokąd jedzie.

---

Upłynęło kilka miesięcy, minęła słotna zima rzymska, wiosna powoli oznajmywała się już fiołkami i pierwiosnkami, które w ulicach sprzedawano — wiosna to nie nasza, ale włoska, która niezupełnie uspioną naturę budzi z tej drzemki, co się tu zimą nazywa.

Wcale też inny charakter ję w tym błogosławionym kraju, dla którego śnieg jest zjawiskiem osobliwem, w którym połowa drzew i roślin całkiem nie traci zieleni i nie spoczywa.

Z tego pólśnu natura się tu budzi powolnie, opieszale, leniwie... przejście jest nieznaczne, stopniowane, tak iż się dojrzyć prawie nie daje, aż jednego poranku, po nocy chłodnej, słońce zjawia się ze skwarem już letnim i przenikającymi jak strzały Apollina promieniami; drzewa stoją w świeżych liściach, niebo się stroi w najjaskrawsze barwy i upały wracają palić tę ziemię, pod której nigdy nie ostygającą skorupą wrą strumienie lawy.

Zima zbiegła dla gronka naszych znajomych dosyć jednostajnie i spokojnie. Wyjazd hrabiego Filipa dał wszystkim odetchnąć swobodnie.

Zaraz po nim, nagle uczyniwszy sobie plan jakiś, uciekła księżna Ahaswera, prawie się nie pożegnawszy z poetą, który, jak się wyrażała otwarcie, nudzić ją zaczął.

— Może to być geniusz — mówiła księżnie Teresie — ale człowiek jest dziwnie męczący nieustannem swém natchnieniem. Poetą jest nawet, gdy mówi o swoim katarze.

Księżna zresztą obiecywała powrócić wkrótce. Po jęj odjeździe dłuższy czas Emil Marya nie pokazywał się prawie; zdawało się iż nagle osierocenie obudziło w nim natchnienie nowe, a tak silne, iż z niego powstał poemat. Kazał się go domyślać.

Zmniejszone teraz kółko wiernych zbierało się na wieczory u pani Lizy. Składali je księżna Teresa, August i Wiktor, wreszcie niekiedy tylko zjawiający się posępny Emil Marya, patetyczniejszy niż był kiedykolwiek.

Początkowa dzikość pana Gorajskiego, pod wpływem zwyczajkim pięknej gospodyni, znikła zupełnie. Nie potrzeba już było zapraszać go za każdym razem, ciągnąc do towarzystwa, gonić i chwytac. Przychodził sam, posłuszny, towarzyszył pani Lizie po muzeach i galeriach prywatnych, willach, w których były do widzenia dzieła sztuki; odpowiadał na pytania i rozmowy o sztuce nie miały końca. Świadkiem ich bardzo często będący Ferdynand, radby się był także czegoś z nich nauczyć i nabrać smaku do sztuki; brakło mu jednak zupełnie zmysłu artystycznego i ile razy się z czém próbował odezwać, zawsze najstraszniejsze strzelał baki, a siostra, śmiejąc się, ścisłała go i litowała się nad biędnym.

Chociaż pomiędzy nim a Wiktorem wielka była różnica wykształcenia, charakterów, temperamentów, godzili się jednak z sobą dobrze, bo Ferdynand, mimo płochości swęj, był najlepszego serca człowiekiem. Liza zachęcała brata do ściślejszych z nim stosunków, dając mu do zrozumienia, iż wiele na nich zyskać może.

Powoli Ferdynand nawykł i przywiązał się do Wiktora. Byli z sobą na stopie poufałości zupełnej.

Lecz pomimo to dotąd ani Ferdynand, ani nikt nie otrzymał pozwolenia wejścia do pracowni dyletanta. Napięrającym się mówił, że w niej niema nic i wspomnienia nawet o niej nie dopuszczał.

Z panią Lizą ta dobra przyjaźń, jak ją nazywano, której charakter dla obcych wcale innym się być zdawał, doszedłszy do pewnego kresu, nie posuwała się dalej. Ferdynand, jak dawniej, tak i teraz nie mógł jęj zrozumieć.

Pani Liza okazywała Wiktorowi nadzwyczajną uprzejmość, dochodzącą niemal do poufałości, przyjmowała go prawie codzien, chodziła z nim po muzeach, prowadziła rozmowy trwające godzinami, rozkazywała mu, posługiwała się nim, mówiła otwarcie że go

lubi bardzo... ale gdy brat czasem próbował ją nim prześladować, rumieniąc się, w żart to obracała.

Choroba, jeśli była, z zapalnej stała się chroniczną, zadawnioną, nieuleczalną i niechcąca się leczyć. Nigdy młodszą, świeższą, szczęśliwszą nie wydawała się pani Liza.

Tych gwałtownych symptomatów, które pospolitą miłość zdradzają: sporów, małych niesnasek i pojednań, namiętnych porywów, walki z sobą, zmian humoru, baczny ale ślepy brat wcale niemogąc się dopatrzeć, coraz się mocniej upewniał, iż stosunek ten najmniejszym nie grozi niebezpieczeństwem.

Był też teraz tak spokojnym, że gdy Wiktor przychodził i gdy nieskończone rozprawy o sztuce, o literaturze, o artystach naszych i obcych rozpoczynały się między nim a gospodynią, Ferdynand najczęściej odchodził do swego pokoju na cygaro, przekonawszy się, iż niczego się nie nauczy, a bardzo niemi wynudzi.

Księżna też polubiła również Wiktora, powiadając że jęj przypomina jęj męża w tak dziwny sposób, iż czasem zdumiewać się musiała temu jakby familijnemu podobieństwu, o którym jednak samemu Wiktorowi nigdy nie wspominała.

Hrabia August był w tém kółku gościem codziennym i również jak wszyscy przywiązał się do Wiktora.

Tak upływał im czas w niczém niezakłóconym spokoju i o wypadku hr. Filipa prawie już mówić przestano, gdy jednego wieczora, przybywszy do p. Lizy, August, dosyć poruszony, na wstępie zaraz oznajmił, że hr. Filip powrócił.

— Zupełnie takim, jakim był — dodał — katastrofy ani śladu. Człowiek-to zaprawdę dziwnęj siły woli, energii wielkie, której na nieszczęście użyć nie umie, jak należy.

— Ale być-że to może — zawołała księżna Teresa — aby ta śmierć żony, o którą go obwiniać niepodobna, ale zawsze jednak mimowoli przezniewnego spowodowana, nie zostawiła po sobie żadnego wrażenia?

— Byłem pół dnia z nim dzisiaj — odparł August — a nie dostrzegłem zmiany najmniejszej. Tak samo szyderski jest, sprzeka i sceptyk, a humor dziwnie zdaje się wesoły.

— Sam siebie oszukuje chyba i drugich chce oszukać — zamknęła księżna.

Pocichu zwierzyła się p. Liza przyjaciółce, że przyjazd ten dla nięj nie był wcale pożądanym i że wolałaby była, aby nie wracał.

— Człowiek ten — rzekła — ma osobliwy talent drażnienia mnie, nawet gdy nic nie mówi. Sama jego obecność już mnie niepokoi. Czuję w nim nieprzyjaciela.

Hrabia August, który dosłyszał ostatnich wyrazów, przerwał:

— Mylisz się pani, bo jest jęj najgorętszym adoratorem.

— To zupełnie na jedno wychodzi — zakończyła smutnie gospodyni.

Nazajutrz można się już było spodziéwać napewno zjawienia się Filipa. Hrabia August nie powtórzył tego, co od niego usłyszał przy powitaniu, że przybył dla p. Lizy i że miłość jego dla nięj tak jest gwałtowną, tak niepozbytą, iż postanowił do ostatniego kresu gonić za swoim ideałem i dla niego wszystko gotów poświęcić.

Nim wieczór nadszedł, Fernando spotkał się z Filipem przed fontanną Trevi. Powitanie zestrony hrabiego było nadzwyczaj radosne i czułości pełne. Wiedząc że brat Lizy lubi dobre śniadania, chwycił go natychmiast i ugościł jaknajwytworniejzemi przysmakami. Śniadanie jednak było tylko pozorem do dowiedzenia się czegoś od naiwnego i łatwo wygadującego się przy kieliszku młodzieńca. Po kilkakroć go zagadnął o Wiktora.

— Cóż nasz zagadkowy człek, ów pół-artysta, pan Wiktor? — pytał. — Czy jeszcze jesteście pod jego urokiem i nie rozczarowaliście się dotąd?

— Dotąd nie — rzekł Ferdynand. — Ja z nim jestem bardzo dobrze i kochamy się mocno; siostra także go lubi. Bywa u nas prawie codziennie.

— Na to trzeba mieć szczęście... nie powiem czyje — z ironicznym uśmiechem odparł hrabia. — Ha! sprawdzić się może na nim przysłowie...

Ferdynand aluzji tęj nie zrozumiał, czy zrozumieć nie chciał, i zamilkł.

Ze śniadania wyszedłszy razem i unikając słońca już dopiekającego, puścili się uliczką, przy której była faktorya Pepity, i tam siedzącego przy śniadaniu znaleźli Wiktora. Na widok jego Filip pobladł, lecz pomimo to przyszedł się przywitać bardzo grzecznie. Wiktor przyjął go zimno.

Miał teraz sobie tylko wiadome powody, dla których wstręt powziął do tego człowieka. Po śmierci nieszczęśliwej hrabiny dostało mu się sporządzenie spisu jej pozostałości. Pomiędzy niemi był rodzaj pamiętniczka, a raczej spowiedzi, przeznaczony dla wytłumaczenia przed ludźmi zerwania z mężem i rozwodu. Z niej dowiedział się Wiktor faktów, które na charakter hrabiego rzucały cień smutny. W duszy musiał nim pogardzać. Być może iż hr. Filip domyślał się tego i, obawiając się Wiktora, jeszcze go mocniej znienawidził.

Z taktyką jednak człowieka wielkiego świata, hrabia chciał pozostać w dobrych stosunkach z nieprzyjacielem, aby mu tém łatwiej mógł szkodzić i mieszać szyki. Na zapytanie, dokąd jeździł, gdzie był przez ten czas, hrabia odparł ogólnikiem.

— Trochę po Włoszech jeździłem i... trochę dalej.

Zagadał zaraz o czém inném...

Po chwilce, zostawiając Ferdynanda, który teraz był w lepszych stosunkach z piękną Pepitą, ale bez nadziei, aby one doprowadziły go do serdeczniejszego związku, hrabia Filip się wymknął.

Wieczór z kolei dnia tego przypadał u księżny Teresy, gdyż naprzemiany obie przyjaciółki przyjmowały znowu wieczorami. Ponieważ obie lubiły sztukę, ponieważ hrabia August nią się zajmował, a dla Wiktora stanowiła główny cel życia, zaprowadzono zwyczaj przepatrywania zbiorów sztychów, fotografii, rysunków, których obie panie uzbierały niemało. Sprowadzano je z kraju, wypisywano z Francji. Przy przeglądaniu tych dzieł wszczynały się zwykle zajmujące rozprawy; każdy myśl jakąś rzucał i godziny spływały tak szybko a mile, iż wieczory zdawały się zawsze zakrótkie.

Księżna właśnie rozłożyła była Album Matejki i chciała się pochwalić zebranymi rysunkami polskich artystów. Leżeli obok siebie na stole: Grottger, Matejko, Siemiradzki, Brandt, szkice Kossaka, Andriollego i wiele innych. Już od dni kilku zajmowano się tym fenomenem rozkwitu sztuki u nas, który pogrobowym nazwałby można, gdyby tak potężnego życia nie dowodził. Hrabia August znajdował go wytłumaczonym i naturalnym. Poczucie piękna istniało w narodzie oddawna, nie mogąc się objawić, bo wszystkie siły żywotne gdzieindziej były skierowane; w chwili więc, gdy na innych polach czynność ustała, tu wszystka moc wylać się musiała. Przeszłość miała czém natchnienie karmić; naostatek bólów tyle było bodźcem do tworzenia.

Księżna, która żywo była zajęta sztuką polską, zebrała na ten dzień wszystko co mogła, aby wykazać charakter jego odrębny i pokrewieństwo z sobą tych nawet twórców, którzy najmniej go napozór mieli.

Hrabia August szedł dalej, dowodząc, że pierwsza otworzyła wrota do nowego świata poezya nasza i że pomiędzy poetami a artystami wszelkiego rodzaju była też sama jedność charakteru, jak pomiędzy kunsztmistrzami.

Grottger i Szopen wydawali mu się jakby braćmi rodzonymi; Moniuszko byłby mógł pójść w parze z Matejką, gdyby mu szczęśliwsze sprzyjały losy... Nastęrczały się i inne porównania i zbliżenia, o które się spierano.

Wiktor znajdował analogie, nie przyznawał jednak tego podobieństwa bliźnięcego, jakie inni upatrywali. Dowodził że każdy z tych natchnionych miał własną fizyognomię i rysy tylko pewne czyniły ich pokrewnymi z sobą.

Przybył do księżny dnia tego i Emil Marya, który oprócz niezaprzeconych gwiazd pierwszej wielkości, resztę artystów pióra, penzla i dłuta potrosze próbował kąsać.

Przebijała się w tém pewnie boleść człowieka, czującego się daleko godniejszym sławy, niż ci, którym się dostała w udziale. Przedmiot poruszony dostarczał tak obfitego materiału do rozpraw, iż mogły przeciągać się długo. Albumy leżały porozrzucane na stołach i wszyscy niemi byli zajęci. Wiktor mówił o Grottgerze właśnie, gdy w salonie ukazał się hr. Filip. Jedyłą zmianą, jaka w nim na pierwszy rzut oka uderzała, było że nadzwyczaj starannie ubrany, z pretensją jakąś niebywałą do elegancji, niby odmłodzony, nabrał też manier zbyt młodzieńczych. Na włosach nawet znać było dłoń kunsztmistrza, który je świeżo starał się uporządkować. Ta pamięć o sobie, choć nie przechodziła pewnych granic, czyniła go niemal śmieszny.

Księżna Teresa, która miała dla każdego zawsze miłe słowo, zmusiła się do prawie czulego powitania gościa.



On sam zbliżył się potem do p. Lizy, która przyjęła go grzecznie, ale z odcieniem chłodu większego niż dawniej. Nie zważając na to, hrabia Filip pozostał przy niej jak przykutym, dłużej daleko niżby ona sobie życzyła i nie dając się niczém oderwać.

Korzystając z tego, że inni goście zajęci byli albumami, wróciwszy do nich, hrabia Filip nie wahał się wyznać p. Lizie, że dla niej tylko powrócił do Rzymu. Nie otrzymawszy ani odpowiedzi, ani podziękowania, nie zaprzestał jednak nudzić jęj komplementami, które rumieniec zniecierpliwienia na twarz jęj wywołały. Księżna, postrzegłszy to obłęzenie i domyślając się jak musiało być przykrém dla Lizy, odwołała ją ku sobie. Hrabia Filip, nie mając do kogo, zwrócił się do Emila Maryi.

— Przywożę panu miłą nowinę — rzekł, jak zwykle szydersko.

— Mnie? a toby było coś nadzwyczajnego! — rozśmiał się poeta.

— Spodzielam się iż to go uraduje, gdy oznajmię blizki powrót księżny Ahaswery — dodał hrabia.

Poeta zakąsił usta.

— Wysoko cenię księżnę — odparł kwaśno — lecz zdaje mi się że ta nowina w szczególności dla mnie nie mogła być przeznaczoną. Wszystkim tu ona równie będzie miłą.

— Księżna byłaby już w Rzymie — dodał hrabia — wstrzymała ją tylko słabość męża, który jak się okazuje, ma suchoty. Prawdopodobnie więc owdowieje wkrótce, a niema wątpliwości, iż wyjdzie za mąż. Pytanie tylko zachodzi, na jaką teraz narodowość kolęj przyjdzie.

Księżna Teresa przerwała:

— A! nie bądź-że tak złośliwym! Nie masz litości nawet nad przyjaciółmi.

— Niestety, mościa księżno — zawołał Filip — nademną téż ludzie litości nie mają.

— Cóż ci winna Ahaswera? — spytała gospodyni.

— Ależ ja ją uwielbiam! — zawołał Filip.

Nie dano mu mówić dłużej. Pani Liza miała w ręku jedną z ostatnich prac Grottgera, fotografią jego kartonu, który się zwał Romanzą Beethovena i któremu za podpis służył jęj temat. Z tego powodu księżna przytoczyła, iż Grottger muzyką, której dom jego matki był pełen, rozkołysany został do tworzenia tych obrazów, w których tak cudna panuje harmonia. Śpiew matki i siostry, obu muzykalnych i rozmiłowanych w pieśni, dźwięczał mu w uszach, gdy w Paryżu i w ostatniej swęj podróży kręślił ręką osłabłą poetyczne postacie, którym taki wdzięk smutny nadawać umiał.

Jak Szopen, przeznaczonym był, aby w kwiecie wieku, w pełni sił, wśród marzeń i tęsknoty do życia, śmierć go porwała.

— Nic smutniejszego nad to dla nas — odezwał się Wiktor — lecz nic dla artysty szczęśliwszego być nie mogło. Umiierać zużytym, wyczerpanym, rozczarowanym i dopić kielich do dna, do mętów, szczęściem się nie może nazywać. Mnóstwo artystów, których początki były najświetniejsze, skończyło, przeżywszy siebie.

— Całe to życie Grottgera, które się w jego dzienniczku odbija — dodała księżna — obudza dłań współczucie i prawie lży wyciska. Łamał się ciągle z pierwszemi potrzebami życia, wybijać się musiał walką ciężką z tłumem, gdy obok niego mniej obdarzeni, nieznani...

— Był to prawie i los Moniuszki — rzekł hr. August. — On także aż do ostatniej chwili nie mógł się dorobić dla rodziny i dla siebie téj drogięj niezależności, która człowieka wyzwala dopięro.

— Niedawności panowie utrzymywali, jeżeli mnie pamięć nie myli — odezwał się hr. Filip — iż boleść jest dobrą dla geniuszu piastunką.

— Tak, perły się rodzą w muszlach zranionych — rzekł Wiktor.

— Zatem los wiedział, dlaczego ich brał na tortury — odparł Filip.

— Ale niemniej nad ich grobami można się choć uzalić — dokończyła księżna.

Na krótką chwilę rozmowa ustała. Każdy z gości miał przed sobą jakąś kartę; szeptańczicha, pokazując je sobie. Hrabia Filip zbliżył się także do stolika.

— Jest to dla nas bardzo złym znakiem — rzekł — żeśmy się tak w sztuce pokochali. Miłość dla niej prowadzi zawsze prawie do upadku i jest jego zwiastunem. Przypomnijcie sobie państwo rozprawę Klaczki. Ja trzymam z nim.

— Ja zaś wolę już wpadek z aureolą u skroni, niż życie po amerykańsku — rzekł hr. August. — Życie to, jak w Stanach Zjednoczonych, całe na dolarze oparte, jest dopiero podściołem, na którym kiedyś się może prawdziwy żywot wyrobić zdoła. Dziś to tylko gruba robota mularzy, na której fundamentach stanie przyszłość rzeźbiona. Jesteśmy jeszcze w epoce niezupełnie wolnej od przesądów, wyniesionych z innych czasów; zakładamy potęgę narodów na ich materyalnej sile, po której zostanie rdza tylko, gdy istotną wielkością kraju każdego jest wyrobienie się w nim potężnego ducha, którego dzieła pozostaną jako szczybel w dziejach, służąc do dalszego pochodu ku górze.

— Ależ ten wasz duch — rozśmiał się hrabia Filip — bez warunków materyalnych i bez potęgi opiekuńczej pięści rozwinąć się nie może.

— Panowie, wróćmy do sztuki — przerwała księżna — i nie sprzecajmy się. Hrabia Filip, po długiej niebytności, spodziewam się że nam wrócił mniej wojowniczo usposobionym.

— Ja? — spytał Filip. — Ależ ja jestem jak baranek łagodny i gotów dla miłości księżny zgodzić się na wszystko.

— Zgódź się więc na to, abyśmy powrócili do sztuki — rzekła księżna Teresa.

— Z największą przyjemnością: do sztuki, do sztukowania, do sztuki mięsa, do czego tylko księżna rozkaże — z udaną wesołością rzekł hrabia Filip. — Tylko czy też istotnie my mamy własną sztukę? hm?

— Jesteś ateuszem we wszystkim! — zawołała księżna.

— A może myopem, może nie dowidzę; ale temu nie winienem — odparł Filip. — Cudzym zaś oczom nie wierzę.

— Na to jedna tylko jest odpowiedź — rzekł, śmiejąc się, hr. August — ta, którą dała rzeczpospolita francuzka, kiedy szło o urzędowe uznanie jój bytu: ślepy, kto nie widzi! Lecz wróćmy istotnie do tego, o czémśmy wprzód mówili, do związku z sobą braterskiego wszystkich dzieł sztuki, nie wyjmując i muzyki. Malarstwo u nas odbiło, gdy tylko do życia się poruszyło, wszystkie poezyi natchnienia. Widzimy w niem Maryą Malczewskiego, Wallenroda, Dziady, Farysa. Najmniej się w niem odzwierciadlają Słowacki i trudny do wcielenia plastycznego Krasiński. Szlacheckie gawędy Pola rodzą malarstwo kontuszowe i rodzajowe, które już wykluwało się z pamiętników Soplidy. W tej chwili na materyałach Szajnochy, Szujskiego i tylu innych dziejopisarzy powstaje Matejko. Jednocześnie te same aspiracje, te same pragnienia i pociągi mają wszystkie sztuki; ale poeci i pisarze przodem idą, torując drogi, za nimi malarze, którzy ich dopełniają, a może na końcu idzie obojgiem rozmarzona muzyka, która jest aureolą kreacyi wieku.

— No, a rzeźba? — zapytał hr. Filip. — zapominasz o niej?

— Bynajmniej, byłoby to grzechem, bo mamy bardzo znakomitych rzeźbiarzy — odparł August. — Ale nie ujmując bynajmniej rzeźbie, w myśli ją łączę z malarstwem. Wielkie są różnice zadań i środków, jakimi rozporządzają malarstwo i rzeźba, a mimo to oboje są jednem prawie, z tą różnicą, że rzeźba w prostszy i mocniej skupiony sposób musi powiedzieć to, co malarz łatwiej i większą liczbą środków rozporządzając wyraża.

— Rzeźba społeczna — dodał Wiktor — w epoce, która nie znosi symbolów i alegoryj, ma zadanie niesłychanie trudne. Musi zstąpić na ziemię, musi do pewnego stopnia stać się realistyczną, a nie trywialną, jednak taki Apollo belwederski, ubóstwienie młodzieńczej siły i piękności, poczucia w sobie nieśmiertelności i bóstwa, nie mógłby się już dziś zrodzić. Wenus, uosabiająca siłę żywotną i miłosną natury, nie starczy nam... Poszliśmy dalej myślami i ideę jedną rozłamaliśmy na wiele różnobarwnych promieni.

— Pomimo to — odezwał się długo milczący poeta — i my mamy dla rzeźby nowęj wdzięczne i wielkie zadania. Możeż być co trudniejszego a piękniejszego zarazem, nad postać Chrystusa, wcielonego Boga, wszechmogącego a cierpiącego dobrowolnie, z wyrazem bólu razem i potęgi? Niedościgniony to ideał, który zarazem musi być najwyższą pięknnością, największą mocą i najcudniejszą pokorą.

Hrabia Filip, wierny swęj roli, syknął.

— Za pozwoleniem — rzekł — zastrzegam się, że bezbożnikiem nie jestem, ale zaprotestować muszę przeciwko piękności Chrystusa, na mocy najdawniejszych dokumentów. Niema wątpliwości, że w piérwszych wiekach tradycya, która się w Celsyuszu odbiła, przedstawia go nam jako wątlego i wcale nieuderzającej niczém postaci. Piérwsi chrześcianie znajdowali, iż to właśnie było opatrnościowém, umyślném, że Bóg nie

chciał przywdziać ciała i powierzchowności ujmującej. Stał się umyślnie biędnym, niepozornym.

— Więmy o tém, iż czas niejaki takie było mniemanie — odparł Wiktor — a jednak wizerunki najstarsze, niewątpliwie z III-go lub IV-go wieku pochodzące, przedstawiają go nam już idealnym, jakim pozostał do dziś dnia. Któż nie zna tego cudnego profilu, dobytego z katakumb?

— Jeżeli to nie apokryf — szepnął hr. Filip.

— Że też hrabia niczemu wierzyć nie chcesz — wtręciła gospodyni.

Filip zamilkł pokornie.

— Szkoła byzantyjska wczęści może przez niezgrabstwo swoje, wczęści z systemu i z umysłu — mówił Wiktor — przejęła tradycje najpięrszych wieków i na starych ję mozajkach i obrazach Chrystus bywa straszny i groźny; nie w myśl jednak pokory pięrwotnej, ale jako sędzia najwyższy i mściciel.

— Dajmy pokój temu drażliwemu przedmiotowi — szepnęła księżna.

W tęg chwili Emil Marya stanął nad szkicem Grottgera i poczał objaśniać go gospodyni poetycznym komentarzem. Mówił tak cicho, pochylony, iż reszta towarzystwa nie mogła się nawet kusić o podsłuchanie uwag jęgo. Z tęg chwili skorzystała zdaje się umyślnie Liza, chcąc trochę brawować Filipa, i podeszła sama ku Wiktorowi, a po chwilowęg z nim cichęj rozmowie, wyciągnęła go z sobą na przechadzkę po salonie.

Było w tęg coś tak śmiałego i tak wyraźnie mówiącego, iż żadnęj nie czyni tajemnicy ze stosunków z nim poufałych, że hr. Filip na chwilę osłupiał. Z ruchu tych dwóch przesuujących się przed nim postaci, z wyrazu twarzy Lizy, ze swobody, z jaką Wiktor okazywał, z tych szęptów, co się nie obawiały oczów i świadców, przybyły gość mógł i miał prawo domyślać się wiele.

On, od lat tyłu starający się o względy pięknęj wdowy, zbliżony do nięj i położeniem towarzyskięm i dawną zażyłością — on, jawny jęj wielbiciel, nie mógł przy największych staraniach uzyskać tęg łaski, jaką po kilku miesiącach znajomości zdobyć potrafił człowiek bez nazwiska, istota zagadkowa!

Czuł że ta rozmowa cicha we dwoje była przeznaczoną dla nięgo. Poblądł z gniewu. Zakipiąło w nim złością i zazdrością niepoczciwą; potęm półuśmięch szyderski prześlizgnął się po jęgo ustach. Ktoby się był wpatrzył w nięgo, wyczytałby prawie w jęgo twarzy i groźbę i pewnośc tryumfu.

Księżna, która spostrzegła ten wyraz na twarzy Filipa, przemówiła do nięgo, aby go od widoku drażniącego oderwać. Tymczasem przechadzka po salonie się przeciągała.

Niekiedy urywek z rozmowy, kilka słów jakichś oderwanych dobiegały do uszów słuchaczy... Mówiono zawsze niby o sztuce, ale ze sztuką tyle uczuć i myśli różnych jest w związku i, mówiąc o nięj, tak wiele powiedzieć można...

Gdy dosyć późno potęm hr. August wyszedł razem z Filipem, który znowu się w tym samym hotelu umieścił, pięrszým słowem, gdy się znaleźli za bramą, był wykrzyknik hrabięgo:

— Widzę że czasu męj niebytności nie stracono!

— Jaktó? — spytał August.

— Pani Liza zdobyła sobie awanturnika i zawróciła mu głowę — rzekł Filip. — Wcale się z tęg nie kryje.

— Jest panią swęj woli i nie widzę powodu, dla któregoby się z tęg taić miała — odparł August — chociaź przypuszczenie twoje sięga zadaleko...

— Jesteś chyba ślepy! — przerwał namiętnie Filip.

— Lecz gdyby nawet istotnie przypuszczenie twoje sprawiedliwým być miało — odezwał się hr. August — dłączegóż ta kobięta nie ma oddać serca i ręki, komu zechce? Jeźli się jęj podobał, no, to wyjdzie za nięgo!

Filip się rozśmiał złośliwie.

— Nie wyjdzie! — zakrzyknął z ruchem rąk wojowniczym — nie wyjdzie! Nie może wyjść za nięgo!

— Nie pojmuję dłączęgo — wtręcił zimno August.

— W tęg chwili nie odpowiem na pytanie — odezwał się Filip — lecz dodaję tylko, że małżeństwo to jest niemożliwým. Znajdzie się któś, co tęg jegomości zdemaskuje.

— Jaktó zdemaskuje? — spytał August.

— Bo jestem pewny że kłamie, że się podaje za kogo innego, niż jest. Ale *bastanza*... dosyć; nie mówmy o tém.

Na milczenie zgodził się najchętniej towarzysz i tak doszli, nie poruszając już żadnego drażliwszego przedmiotu, aż do hotelu.

Filip pożegnał się i zawrócił do swojego mieszkania.

Nazajutrz widzieć się nie dał i wieczorem u p. Lizy się nie stawił. Było to trochę dziwném.

Zdawał się unikać towarzystwa, a pomimo to na przechadzkach i wycieczkach spozostregano go ciągle krążącego zdala, zdającego się szpiegować każdy krok Lizy i Wiktora.

W kilka dni znowu, jak gdyby zmienił zamiar, ukazał się na wieczorze u księżny, milczący, zły, lecz zamknięty w sobie. Jeśli był zmuszony się odezwać, żółł mu z ust wypryskiwała. Z Wiktorem przywitał się zdala i zimno.

Przyrzeczenie, dane dawniej Lizie, oprowadzania jój po muzeach i objaśniania dzieł sztuki, spełniał Wiktor ciągle prawie, znajdując w tém największą rozkosz. Nie wahamy się użyć tego wyrazu; cudowne bowiem, jakby uśpione poczucie dzieł sztuki, smak wrodzony do tego co było prawdziwie piękném, rozwijały się w coraz większym blasku w Lizie, a Wiktor był tém zachwycony. Często ten mniemany nauczyciel zdumiony milczał, gdy ona w uniesieniu wskazywała mu nowe strony w tych dziełach, które on znał dawno, a nie widział ich nigdy. Nawzajem Liza postrzegła otwierające się przed sobą światy nowe, które on magiczném słowem przed nią odsłaniał. Godzili się prawie zawsze i dopełniali wzajemnie.

Często nad jednym posągim, u jednego obrazu trawili godziny, przechodząc z niego na coraz nowe przedmioty. Z tych wycieczek Liza wracała rozmarzona, więcej spragniona niż nasycona, z rozburzonymi myślami, które czekały tylko na nowe spotkanie, aby się ulubionemu mentorowi wyjawić.

Wiktor też przychodził do domu najczęściej więcej złamany i rozgorączkowany, niż szczęśliwy. Brakło mu potem tego bratniego dźwięku głosu i myśli; czuł się u siebie, jak na pustyni.

Byłaż to miłość? spytacie. Nic nie może się słuszniej tém imieniem nazywać, nad to uczucie jakie ich łączyło; ale była to miłość — nazwijmy ją pospolitych ludzi językiem — dziwaczna. W pierwszych jój chwilach poruszyły się razem i zmysły i dusze; potem zwolna, jak morze rozkołysane, które się uklada do spokoju, uczucie pierwotne wypogodziło się, otrząsło z ziemskich instynktów, oczyściło, podniosło i paliło się jasnym płomieniem, którego nic pokonać nie mogło.

Niekiedy wracały wstrząśnienia, objawiały się niepokój i trwoga; lecz wprędce następowało ukojenie, jak gdyby miłość ta była skrzydlatą istotą, kołującą w niebiosach, a nakrótka tylko przypadającą ku ziemi.

Liza, po pierwszych chwilach walki z sobą, po obawach, aby okazane mimo jój woli uczucie nie uczyniło Wiktora zbyt śmiałym, napastliwym, przekonawszy się że będzie jój posłusznym i że nie ma się czego obawiać, z ufnością nieograniczoną z nim się obchodziła.

Nie mówili nigdy o téj miłości, bo zanadto dobrze wiedzieli, że jest wzajemną i wielką; leczobejście się ich z sobą znamionowało stosunek najściślejszy, na wierze nieograniczonej oparty. Liza nie śmiała patrzeć w przyszłość; Wiktor nie mówił o niéj nigdy; zdawali się oboje unikać wypowiedzenia ostatniego słowa, aby ono pokoju w jakim żyli nie zamąciło.

Przypatrywała się temu zdala księżna Teresa z niepokojem wielkim, a czasem zagadywała przyjaciółkę:

— Moja droga, lecz jakżeż to się skończy?

— Ależ to nie powinno nigdy się skończyć — odpowiadała Liza pół-wesoło, pół-smutnie. — Nie trzeba sobie zatruwać teraźniejszości troskami o przyszłość.

— Jednakże — wtrącała księżna — niepodobna aby tak zostało. Cóż on ci mówi?

— On? nie mówi nic nad to, co ja pozwalam, a ja nie dopuszczam, aby słowem zamącił szczęście nasze.

— Ty to nazywasz szczęściem? — spytała księżna.

— O, najwyżej! — odparła Liza — dlatego z zaczarowanego koła marzeń wychodzić nie chcę.

— Och dziecko moje!

— Tak, jestem dziecinna, a on posłuszny i na tymczasem jesteśmy szczęśliwi. — To mówiąc, lzy miała w oczach. — Kto jak ja — dodała cicho — doznał w małżeństwie strasznych męczarni, ten do niego nie śpieszy... Przejmuje mnie trwogą przestąpienie tego progów, poza którym lękam się znaleźć innego człowieka. Któż wie, coby z niego i ze mnie gwałtowniejsza zrobiła namiętność?

— Moja duszo, ale świat, ale ludzie — zarzucała księżna.

— Daję mu prawo sądenia o nas, jak zechce — kończyła Liza. — Moje szczęście zapłaci mi za ich obelgi, a szczęście zawsze czémś trzeba opłacić.

I uściskiem zamykała usta księżnie, która, choć zmuszona do milczenia, nie była spokojną. Obawiała się jakiegoś niedobrego zakończenia.

Ferdynand nie śmiał czynić siostrze pytań, lecz coraz ją mniej rozumiał. Szczęściem był do niej przywiązany, miał dla niej niczém niedający się zachwiać szacunek. Gdy czasem ważył się wyrazić wątpliwość, czy krok, jaki zamierzała uczynić siostra, był właściwym, zbywała go uśmiechem i spojrzeniem.

— Ależ, kochany Fernando mój, cóż w tém złego? Niepodobna przecie wszystkiego dla jakichś przyzwitości poświęcać? Widzisz jak ten pocziwy p. Wiktor jest posłusznym i łagodnym; daleko więcej pozwoić mu można niż innym.

Fernando sam się téż przywiązał do niego; milczał więc, nosił od siostry kartki, zapraszał go przyprowadzał, towarzyszył gdy było potrzeba, i wkońcu utwierdził się w przekonaniu, iż Liza kocha sztukę tylko, a w Wiktorze doskonałego nauczyciela.

— Niech się sobie zabawi, a gdyby nawet ludzie mówili, no, to pogadają i przestaną, gdy się przekonają iż mówić o czém nie było.

Hr. Filip bawił już w Rzymie od kilku tygodni i stawał się z dniem każdym niezrozumiałym p. Lizie, nie dając się niczém zrazić i odpędzić. W początkach przez czas jakiś zaniedbał salon jęj i gonił tylko za nią po ulicach, śledząc jęj kroki. Miał szczególną przyjemność, ilekroć szła razem z Wiktorem, sama lub z bratem, zbliżać się i obarczać ją swém towarzystwem, pomimo chłodu, jaki mu okazywała. Potém codziennie znowu zaczął bywać u nięj i u księżny, dosiadując jak mógł najdłużej i starając się mieszać do rozmów, a zatruwać je żartami i ironią swoją.

Naprzekór wyraźnie mu okazywanemu wstrętowi, ile razy mógł, oświadczał się z niewygaslém swém uwielbieniem dla wdowy. Naówczas ona albo go niby nie słyszała, lub nie rozumiała, a nie odpowiadała nigdy. Nie zrażało go to jednak. Z Wiktorem byli niby grzecznie, ale jawnie sobie okazując wstręt wzajemny. Hrabia August, gdy byli sami, strofował go i starał się odwieść od tego postępowania, które tylko coraz większą niechęć obudzić mogło.

— Jestem uparty i zły — odpowiedział hr. Filip — takim już umrę.

Im bardziej czuł się dokuczliwym, tém zajadłej trwał w swoich natrętnych zabiegach około pani Lizy.

Nie skarżąc się, nie mówiąc nic nikomu, biędna kobięta czasem po kątach płakała. Czuć było w całém tém postępowaniu więcjęj pragnienia zemsty i nienawiści, niż miłości.

Z Wiktorem nie mówili o nim nigdy, ale rozumieli się dobrze, iż jedno mieli uczucie dla tego człowieka. Liza obawiała się okazywać je, ażeby do jakiego kroku gwałtownego nie popchnąć Gorajskiego, który na jedno jęj skinienie byłby gotów natręta odegnąć.

Położenie stawało się coraz nieznośniejszém, gdy jednego wieczora, podczas niebytności hr. Filipa, wszczęła się między Lizą a Wiktorem rozmowa o tém, co już często się powtarzało. Ona utrzymywała, iż niepodobieństwem jest, aby człowiek tak pojmujący sztukę, tak miłujący ją, jak on, nie tworzył sam i nie pracował. Cóż znaczyło to dla całego świata zamknięte atelier, w którym spędzał długie godziny?

Wiktor się tłumaczył, iż należy do tych nieszczęśliwych, co więcjęj czują niż wyrazić umieją; że próbował i rzucił się na zadań wiele, ale nigdy nie stworzył nic, coby mu nawet znośném się zdało, coby mógł poddać sądowi ludzi.

— Tak, ale sądowi dobrych przyjaciół? — zapytała Liza.

— A! to straszniejszem jest jeszcze — odparł Wiktor. — Można być obojętnym na sąd ogółu, ale rozczarować tych, których się kocha, pokazać im całą swą nicość, upaść w ich oczach, byłoby straszliwie upokarzającém, mogłoby doprowadzić do rozpaczy.

— A jednak — nalegała Liza — nikt sędzią własnego dzieła być nie może. Artysta noszący w duszy długo ten obraz, który miał stworzyć, nigdy go nie odnajdzie całym na płótnie. Najlepsza część jego uronić się musi w tém ucieleśnieniu. Dlatego twórca nie będzie nigdy rad z tego, co tworzy. Jeden Bóg mógł, świat stworzywszy, dziełu swemu się uśmiechnąć. Dla oczu obcych to, co nie starczyło artyście, może być jeszcze arcydziełem.

— Nie — odpowiedział Wiktor stanowczo. — Gdy geniusz stworzy arcydzieło istotne, zakocha się w niém, jak Pygmalion.

Na tém przerwano. W kilka dni potem na stole leżał przez Doré'go ilustrowany Dante. Chwalono i krytykowano. Wiktor znajdował, że ani dla Biblii, ani dla Dantego Doré nie był stworzonym.

— Wielki czarownik, gdy ilustruje Gil Blasa lub Don Kiszota — rzekł naostatku — gdy przedstawia sceny z życia Londynu lub Paryża, gdy objaśnia bajki Perraulta lub La Fontaine'a, Doré nie ma dosyć powagi, ani dosyć uczucia, by porwać się mu godziło na poetę takiego jak Dante, na taką księgę jak Biblia. Żaden z ilustratorów Dantego nie pojął wieszczą — mówił dalej. — Weźmy na przykład to, co dla mnie najdostępniejsze, sam krajobraz dantejski. Doré go nie pojmuje, nie przywiązuje wagi do niego. Zaraz na pierwszej karcie stać powinien ten las czarny, ciemny, grozę obudzający, o którym mówi poeta. Co za zadanie dla malarza, las olbrzymi, wiekowy, w pół-zeschły, z drzewy dziwnie porozdzielanemi piorunem, z głębią czarną i tajemniczą. Na ciemném, szafirowém niebie włoskiem, puszcza tajemnicza, dzika, na której widok serce truchleje, w której głębokość się lęka. Na pierwszym planie w pół-uschłe, mchami okryte pnie, pokruszone gałęzi, które przyniosły i rzuciły potoki, dalej starce pokrzywione, z konary obnażonemi; dalej jeszcze ledwie widne kolumny drzew i nieprzeniknione mroki... Na przedzie mała postać obłąkanego poety, który z trwogą wstępuje w ten świat dziwów i grozy... Co za obraz! Ale spójrz-że pani na ilustracyą Doré'go, taką mdlą, konwencyonalną, tak nic niemówiącą. Jest to coś tylko nakształt lasu, a przecie las w téj pieśni gra najważniejszą rolę. Na chwilę w nim tonie poeta.

— Pan ten obraz malowałeś? — zawołała, patrząc mu w oczy, Liza.

— Ja?... a cóżby to było za zuchwalstwo! — odparł Wiktor, i natychmiast, starając się uwagę odwrócić od opisanego lasu, rzucił się na drugikrajobraz grodu Dite, w dusznej atmosferze podziemia wiecznie płonącego.

Nie udało mu się jednak Lizy przekonać, iż nigdy owego lasu dantejskiego nie malował. Powtarzała z uporem dziecka, z jasnowidzeniem kobiety kochającej:

— Pan ten obraz malowałeś, ja to czuję! Nie potrafiłbyś go opisać tak żywo, gdybyś nad nim długo nie myślał, gdybyś go nie starał się odtworzyć. A! to być musi piękne! Jak jabyśmy widzieć to chciała!

Napróżno Wiktor począł czém inném odwracać uwagę jęj od tego nieszczęsnego lasu; wracała do niego ciągle uparcie. Nazajutrz mowa o nim była znowu. Wiktor już nie odpowiadał. Liza wznowiła pokilkakroć rozmowę o nim, a choć zapięrał się Wiktor, zdawała się opanowaną niepohamowaném pragnieniem widzenia tego obrazu, który, jak on upewniał, nie istniał wcale.

Jednego ranka Wiktor siedział w pracowni swojej. Odziedziczona po Niemcu izba ta wielka, oświetlona zgóry od północy, do której, oprócz Anunziaty i malarza, nikt nigdy dopuszczonym nie był, nie miała tego pozoru malowniczego, jaki jęj czasem artyści nadawać lubią. Nie było tu ani gobelinów, ani zbroi, ani draperyj, ani starego ciekawego sprzętu, ani niczego, coby oko bawiło. Pejzażysta z powołania, Wiktor miał w nięj tylko swe studia, kartony i rozpoczęte lub pokończone obrazy, których nie pokazywał nikomu.

Ściany całe zajmowały ogromne, na papierze węglem rysowane pomysły najrozmaitsze, w których studia z natury starał się zużytkować. Wistocie były to krajobrazy włoskie i dantejskie. Mniejsze olejne i ołówkowe szkice wisały poprzybijane niedbale tu i owdzie. W pośrodku na wielkiej sztaludze stał wistocie ów las dantejskiego piekła, na płótnie równie wyglądający ponuro, strasznie, smutno, jak w poemacie.

Musiała to być dzieło najulubieńsze, dziecię marzeń artysty, na które potrzebował patrzeć codziennie, ciągle coś mu dodawać, coś ujmować, cieszyć się niém czy rozpaczać — bo stało w najlepszym świetle, w przepysznych ramach rzeźbionych, jakby już się gdzieś wybięrało w drogę i pojechać nie śmiało odwagi. Sparty o sztalugę, stał walsztok, a obok

leżała zabrukana i zaschła paleta, w którą wetknięte pędzle potwardniały niemyte. Obraz był widocznie malowany i przerabiany, poprawiany kilkakrotnie, bo niektóre miejsca jego matowały się, inne świeciły i potrzeba było szukać dla widzenia go właściwego punktu, z którego patrząc, te nierówności znikają.

Na jednym z kartonów węglem poczęta była Dite, ale malarz nie miał cierpliwości jej dokończyć. Mniejsze rysunki przedstawiały fantastyczne pomysły do krajobrazów dantejskich, wśród których i pola Elizejskie widać było, lecz na zaludniające je postacie białą próżnię pozostawiono.

Na małej sztaludze, odwróconej do ściany, karton rozpoczęty wyobrażał kobietę, niby jedną z Schefferowskich kreacji, w długiej sukni, w której poraz pierwszy Wiktor zobaczył Lizę owego pamiętnego wieczora, gdy, jako dziki jeszcze człowiek, wpadł do jej salonu. Cała figura, draperye, ręce były wykończone starannie, ale głowa, zaledwie leciuchno oznaczona, pozostała nietknięta, jakby z obawy i rozpacz, że pochwyciona być nie mogła. Pomimo to każdy, co znał panią Lizę, musiał ją poznać, tak wdzięczny jej układ, ruch, ogólny charakter był szczęśliwie odtworzony. Nie było zresztą nic do widzenia w pracowni tej, zarzuconej albumami, książkami, sztychami i malarskim sprzętem, zaniedbanym wielce.

Około południa Wiktor siedział w pracowni naprzeciw swego wielkiego obrazu; na krześle Dante, stare weneckie wydanie, snadź ciągle potrzebny, leżał otwarty. Artysta dumał, zapatrzony posepnie, z brwią zmarszczoną. Był w jednej z tych chwil życia, w których się wszystko widzi czarno. Niekiedy oznaki niecierpliwości dawały poznać, iż wiele więcej wymagał od swego dzieła: chwycił za pędzel i, jakby zniechęcony, rzucał go znowu. Ubrany jak na rano, w tym miejscu niedostępnym dla nikogo, czuł się swobodnym, i zdumienie nadzwyczajne odmalowało się w jego twarzy, gdy do drzwi zapukano zlekka.

Stał jak wryty, nie chcąc się najmniejszym zdradzić szelestem. Wnijścia do pracowni, przystępu do drzwi jej, jak Cerber broniła Anunziata; nie pojmował jak ona zdradzić go mogła i nie wiedział, co począć.

Pukanie nieśmiało, ale uparte, powtarzało się ciągle. Dowodziło ono, że wiedziano iż się tu znajdował.

Wiktor stał długo zadumany, wstrzymując oddech, wreszcie pocichu na palcach przysunął się do drzwi zaryglowanych. Za nimi słychać było jakby szelest sukni niewieściej.

Twarz artysty oblała się rumieńcem.

Pukanie się powtarzało.

Cichym głosem spytał wreszcie:

— Kto tam?

— To ja! — odpowiedział równie cicho głos znajomy.

Wiktor domyślił się Lizy... Śmiałość jej przeraziła go... Wahał się jeszcze, lecz jakby mimowoli ręce rygiel odsunęły — otworzył.

Zakwefiona, otulona, w czerni cała, osłonięta tak, iż trudno ją poznać było, ukazała się w progu wdowa, ale tak własnym zuchwalstwem onieśmielona w tej chwili stanowczej, że i głosu jej zabrakło i odwagi krok naprzód postąpić.

— Tak, to ja — rzekła z uśmiechem i przestraczem. — Ciekawość kobięca przemogła wszystkie względy. Musiałam przyjść. Myśl tego obrazu, który odgadłam, nie dawała mi spokoju.

— Pani! — przebaknął Wiktor. — Ani ja, ani mój nieszczęśliwy obraz nie byliśmy tego warci.

Więcej smutku i trwogi, niż radości było w głosie jego i twarzy, gdy to mówił.

Oboje stali tak pomieszani, iż wreszcie Liza, aby koniec położyć nieznośnie przedłużającemu się preludyum temu, postąpiła kilka kroków ku obrazowi.

— Widzisz pan, odgadłam go! — zawołała, uderzając w małe rączki. — Tak! widziałam go we śnie zupełnie takim, przeczułam że być musi tak piękny i tak straszny! Pan — dodała w uniesieniu — drzewom swym nadałeś niemal ludzkie życie. Drzewa te mówią, to są męczennicy jacyś. Gałęzie ich mają gesty tragiczne... Co za głębia!

Wiktor stał upokorzony, milczący, przybity, z głową spuszczoną. Obróciła się ku niemu.

— Widzę — rzekła zcicha — żem panu więcej może uczyniła przykrości mojemu odwiędzinami, niż się spodziéwałam. Sądziłam że *mnie* to przebaczysz.

— A! pani — odezwał się Wiktor — ja jestem mojem szczęściem przybity... Ten kątek, uświęcony jéj stopami, będzie odtąd dla mnie przybytkiem.

Liza podała mu rękę, nie mówiąc słowa. Obejrzała się poza siebie i siadła na krześle, które Wiktor tylko co opuścił. Wpatrzyła się w obraz, lecz czuć było że myślała o czém inném. Zadumana, sparła się na rękę. Oczy jéj z krajobrazupobiegły po ścianach. Na słowo się zebrać nie mogła.

Po długim przestanku dopiero uczuła potrzebę przybrać ton weselszy, żartobliwy.

— Jak swywolne dziecko — rzekła — dopuściłam się tego szalonego wybryku, choć czułam że zań będę połączoną, ukaraną może. Niezmierne pragnienie jakies nie dozwoliło mi się powstrzymać. Nie gniewaj-że się pan, proszę!

Wiktor stał drżący, nie mogąc słowa przemówić.

— Dlaczego pan się tairsz z tak piękną pracą? — spytała.

— Wiele się na to składa, że jéj na świat nie chcę wypuścić — począł, ośmielając się, Wiktor. — Ja sam naprzód nie jestem nią zaspokojony i marzyłem cóś więcej, cóś straszniejszego grozą. Mój krajobraz przy kilku słowach Dantego mdłym mi się wydaje. Powtóre, cóżby powiedzieli Włosi, gdyby im obcy człowiek śmiał tknąć ich poetę? Wiész pani zapewne, że w Niemczech niewolno się Faustowi Gounoda nazywać inaczej, jak Margaretą. Zdaje się im profanacją, że Francuz śmiał się porwać na to, czego żaden z nich nie wyśpiéwał. Tak samo byłoby i zemną, gdyby wśród tego krajobrazu ujrzano maleńką postać wieszczka, utopioną w téj puszczy. Wreszcie, pani... jestem samouczkiem, studyowałem wszystkich mistrzów, ale nie uczyłem się u żadnego. Jakże wystąpić z pracą dyletanta tych rozmiarów i takiego zadania? Nie malowałem tegokrajobrazu dla nikogo, tylko dla siebie. Opiérałem się bardzo długo pomysłowi, który, jak zmora, piersi mi dusił, sen odganiał, ochotę do życia odbierał... Musiałem wkońcu uleść nie pokusie, ale nasłaniu jakiegoś złego ducha, co pragnął mnie dowodem méj bezsilności upokorzyć.

— O, panie! — przerwała Liza — ja sędzią nie jestem, czuję tylko i tłumaczę wrażenie. Ale obraz ten uczynił na mnie wrażenie wielkie, uprzytomnił mi początek piérszjéj pieśni. Jest przepiękny!

— Pani raczój jesteś przelaskawą! — odparł Wiktor.

Zapatrzywszy się jeszcze chwilę na las, pani Liza wstała i poszła powolnym krokiem oglądać rozwieszony szkice. Wiktor postrzegł w téj chwili stojący na sztaludze rysunek, który wystawiał sarnę Lizę... bez twarzy.

Nie mógł usunąć go bez zwrócenia jéj uwagi, rachował na szczęście jakies, iż go nie dostrzeże. Poszedł za nią, tłumacząc jéj kartony, w nadziei że ją tak poprowadzić potrafi, aby nie pokazywać tego szkicu, w którym mogła się jeżeli nie poznać, to domyślić siebie.

W tym obchodzie pracowni oboje piérszją stracili nieśmiałość. Pani Liza rozweseliła się, zapomniała o niebezpieczeństwie, na jakie się naraziła; on także pod wpływem szczęścia, które mu się uśmiechnęło, odżył... W chwili gdy się najmniej tego spodziéwał, Liza nachyliła się ku rysunkowi, zajrzała i pochwyciła ręką drżącą sztalugę, aby ją ku sobie obrócić. Z rumieńca, który przebiegł po jéj twarzy, domyślił się Wiktor, iż poznała siebie. Ale nie powiedziała nic; odłożyła ramy na miejsce i spojrziała tylko z rodzajem wymówki czulój na Wiktora.

Stał przed nią, jak winowajca.

— Daj-że jéj pan twarz, téj nieszczęśliwój istocie — rzekła cicho.

— Wolę pozostawić tak jak jest — odparł Wiktor — boję się...

Liza uśmiechnęła się.

— Ferdynando mi ciągle mówi o pięknej Pepicie; daj jéj twarzyczkę Pepity.

Artysta ze zgrozą się cofnął.

— Pepity! — zawołał — twarz tego dziecka ludu, bez wyrazu maseczkę, takiéj postaci? A, pani!

Spojrziała nań Liza, wróciła do krzesła i siadła znowu naprzeciw obrazu.

— Choć trudno mi było tu przyjść — rzekła cicho — i musiałam się nawet przed Ferdynandem wykradać i wyklamywać, ale trudniej jeszcze wyjść mi będzie. Wiem że już drugi raz w życiu przyjść tu nie mogę, a za obrazem, za pracownią i za artystą zatęsknię. Za całą pociechę pozostanie mi wspomnienie.



— Cóż ja mam powiedzieć? — spytał Wiktor. — Dla mnie to będzie dzień święty życia.

Spuścił głowę smutnie. Chciał coś powiedzieć jeszcze i nagle mu się z ust tylko wyrwało.

— Nie! nie!

— Mów pan, co myślisz — nakazująco wtrąciła Liza — inaczej musiałabym go posądzić, iż myślisz coś złego. Znamy się już teraz tak dobrze, iż sobie wszystko powiedzieć możemy...

— Ale są rzeczy, których usta wypowiadać nie powinny, aby ich słowo nie ostudziło — odparł Wiktor. — Właśnie w tej chwili, gdy pani tu jesteś, nie godzi się...

Zamilkł.

— Owszem — rzekła spokojnie Liza — moje przyście tu powinno panu dać odwagę. Widzisz że mu ufam.

Ścisnęła go za rękę.

— Mów pan!

— Domyśl się pani.

Liza pomilczała chwilę.

— Wiem — rzekła — i pan wiedzieć o tym powinieneś, czego ja nie potrzebuję mówić.

I jeszcze raz dłoń jej się wysunęła ku niemu. Schylił się i do ust ją przycisnął z poszanowaniem.

— Nie mówiąc, powiedzieliśmy sobie wszystko — dodała Liza. — Pan... nie, już nie *pan*, ale ty wiedzieć powinieneś, że są chore dusze, które tak bolały wiele, iż nawet szczęścia się boją. Całe nasze szczęście, cała przyszłość nasza, to taka jak dziś rozmowa, takie jak dziś ciche uczucie, takie serdeczne braterstwo. Nieprawdaż?

— Bądź mi Beatryczą! — rzekł Wiktor pocichudrzającym głosem, przyklękając przed nią. — Nie żądam więcej.

— Zaślubmy sobie dusze — zawołała Liza — po niebiańsku. Niech nas nic nie rozdzieli; ale nie pragniemy tego, co szczęście nasze może pokalać.

Spojrzała na Wiktora, który stał rozjaśniony i szczęśliwy.

— Tyś panią, królową, mistrzynią! Niech się stanie wola twoja!

Przycisnął rękę jej do piersi... Zamilkli... Oboje byli tak poruszeni, iż długa chwila upłynęła, nim znowu cichym szeptem rozpoczęła się rozmowa. Wiktor usiadł przy niej, ujął jej rękę i pozostali tak, zapominając się, nie licząc godzin, nie wiedząc o Bożym świecie.

Nierychło porwała się z siedzenia Liza i szybko osłaniać zaczęła do wyjścia. Strach ją ogarniał znowu. Wiktor chciał ją przeprowadzić, lecz nie pozwoliła na to. Zgodziła się tylko, by Anunziata wyszła z nią aż do bramy, prowadzącej na ulicę.

Staruszka znalazła się jakby przypadkiem u progu, szczęśliwa że Wiktor żadnych jej nie czynił wymówek.

Znikło mu z oczu to niebiańskie zjawisko, które tu z sobą tyle szczęścia przyniosło, taką woń rajską pozostawiło po sobie. Wiktor upadł na krzesło, jak przygnieciony nadmiarem tego ubłogosławienia, które go ogarniało i nowego zeń czyniło człowieka. Czuł się upokorzony, przestraszony szczęściem swoim... W cichój rozmowie zamienili byli pierścionki. Liza dała mu prostą obrączkę, on jej pierścionek, który miał niegdyś od matki. Patrzył na ten znak ślubowin duchowych i lza mu zakręciła się w oku.

— Chore, ale szczęśliwe dusze!... — szepnął.

Gdy on, rozmarzony, płakał w pracowni, Liza, obdarzywszy Anunziate, wysuwała się w ulicę. Już miała próg bramy przestąpić, gdy... struchlała. Stał tam czekający widocznie na nią hrabia Filip, który zdjął kapelusz i z ironią pozdrowił ją po nazwisku.

Mgnienie oka trwało osłupienie Lizy; gniew nią wstrząsnął. Podniosła głowę dumnie, popatrzyła na niego ze wzgardą, ręką niecierpliwą z twarzy zdarła zasłonę i wzrokiem królowej zmierzyła nienawistnego człowieka.

— Tak, nie omyliłeś się hrabia, ja-to jestem — rzekła głosem, w którym gniew i oburzenie kipiały. — Byłeś pan tak łaskaw czuwać nademną; niezmiernie mu za to jestem wdzięczną. Lecz, jak widzisz, hrabio, nic mi się nie stało. Wracam tak spokojna i tak

mało dbała o to, co ludzie powiedzą, jakem tu przyszła do pracowni tój i do pracownika — dodała z przyciskiem.

Skłoniła mu lekko głową i krokiem szybkim oddalać się zaczęła. Hrabia Filip stał w początku jak wrośnięty w ziemię, potem pogonił za nią.

Odzyskał swe zuchwalstwo, a złość doszła donajwyższego stopnia. Bezsilny, pragnął zemsty, na jaką się mógł zdobyć.

W chwili, gdy Liza najmniej się go już spodziewała, pogoniwszy, znalazł się przy niej.

— Nie będę pani przepraszał, ani się tłumaczył — zaczął mówić, goniąc ją. — Znane są pani moje uczucia dla niej, to mnie uniewinnia.

— Uniewinnia? — ze śmiechem odparła uchodząca.

— Tak, uniewinnia. Jestem zły, bom nieszczęśliwy — zawołał hrabia. — Mam pani wiele do powiedzenia, wysłuchać mnie musisz.

— Ja? muszę? — odparła szydersko.

— Raczysz — poprawił się hrabia ironicznie. — Po tém, co sam widziałem, nie ulega już wątpliwości, że pani zamierzasz tego człowieka uszczęśliwić i że on albo przed nią kłamie, lub milczy o sobie. Pani za niego wyjść nie możesz...

Liza odwróciła się, zwalniając kroku.

— Nie przyznaję ani panu, ani nikomu najmniejszego prawa stanowienia o tém, co mi wolno, a co ma być zakazane — zawołała żywo. — Żegnam pana — dodała — i spodziewam się, po tém co zaszło, że ta nasza rozmowa będzie ostatnią.

Skłoniła mu się i hr. Filip stanął.

— Będę posłuszny — rzekł — lecz gdy mi nie wolno się tłumaczyć więcej, przez hr. Augusta dziś pani o sobie i o jój... jakże mam go zwać?... narzeczonym? — dam wiadomość.

Na to nie otrzymał już odpowiedzi; pani Liza odeszła, nie spojrzawszy nawet na niego.

Z jakimi uczuciami, w jakim stanie ducha wracała szczęśliwa i zarazem biędna, wzburzona i niespokojna, niepewna co pocnie... niepodobna tego opisać. Łzy jój płynęły z oczów, o których nie wiedziała sama; kilka razy zatrzymać się musiała i odetchnąć. Zobaczyła przed sobą otwarte drzwi kościoła i, szukając pociechy, ukojenia, spoczynku, weszła do niego.

Kościół, po skończonych nabożeństwach, stał pusty; u ołtarza N. Panny paliła się lampa i klęczało parę kobiet ubogich. Poza kolumnami snuł się w czarnej czapeczce stary zgarbiony zakrystyan, wypatrujący forestierów, którymby mógł pozaslaniane pokazywać obrazy.

Liza, chwiejąc się, podeszła do ołtarza i uklękła w ławeczce naprzeciw niego. Modlić się nie mogła, ale potrzebowała wnieść w siebie, dać się sercu rozkołysanemu uspokoić. Cisza uroczysta przyciemnionej świątyni, wrażenie miejsca, widok biędnych kobiet w lachmanach, które tu przyszły z wiarą głęboką szukać ratunku, wkrótce podziały i na nią. Nabrała mężstwa; była niewinną panią swój woli, mogła się ztąd oddalić, pewną będąc, że Wiktor pójdzie za nią. Miłość jój dla niego była czysta, sumienie spokojne... miała więc prawo śmiało iść dalej i nie ulęknąć się nawet prześladowania złego człowieka, któremu dała raz nazawsze odprawę.

Długi czas pozostawszy tu z myślami swemi, przypomniała sobie nareszcie potrzebę powrotu do domu. Nie wiedziała sama co powie i jak się wytłumaczy bratu, lecz musiała go przestrzedz, aby i on zerwał wszelkie z hr. Filipem stosunki.

Doszedłszy na Via Sistina, postrzegła dopiero, iż się spóźniła na obiad, co się jój nigdy prawie nie trafiało. Ferdynand niespokojny powitał ją w progu i, spojrzawszy na twarz zbladłą, na oczy rozognione i jakby obłąkane, a od łez zaczerwienione, przestraszył się mocno.

— Lizo, co ci się stało?

— Nic. Pójdź ze mną na chwilę do mojego pokoju — odparła żywo.

Ferdynand, strwożony, pobiegł za nią. Zamknęła drzwi i, zrzucając z siebie okrycie, poczęła gorączkowo:

— Nie łaj mnie! Byłam w pracowni Wiktora.

— Sama?

— Sama — odparła, marszcząc brwi — bo inaczejby mnie pewnie do niej nie wpuścił. Był to krok może zuchwały... ale mniejsza o to, jak go ludzie osądzą. Hrabia Filip pozwolił

sobie mnie szpiegować i gdy wychodziła, czekał na mnie... Dałam mu raz nazawsze odprawę — dołożyła z energią. — Mówię ci o tém, abyś od tego dnia z nim zerwał.

Ferdynand słuchał, jakby uszom nie wierzył własnym; nie umiał odpowiedzieć.

— Mam go wyzwąć? — zawołał po namyśle.

Liza pochwyciła go za rękę.

— Na Boga, on tego niewart, ani mi się waź! Mniebyś tém zaszkodził. Zabiję go ja moją wzdardą.

To mówiąc i drżąc jeszcze, poszła do zwierciadła poprawić włosy i chwyciła w dłoń wody, aby obmyć oczy. Brat stał nieruchomy, nieszczęśliwy.

— Najlepiej będzie Rzym opuścić — szepnął.

— Zobaczmy, być może, nie w tej chwili jednak — odezwała się Liza. — Uznałabym się zwyciężoną. Nie! nie!

Ferdynand już nie śmiał powiedzieć nic więcej. Dopiero po obiedzie, gdy sami zostali w salonie, odważył się ją spytać:

— A Wiktor... czy masz jakie zamiary?...

Spojrzała nań bystro.

— Wiktor jest i będzie moim przyjacielem, moim bratem, niczem więcej. Wiesz żem postanowiła nie wychodzić za mąż, ale mogę szanować i kochać człowieka, nie oddając mu się. Wiktor jest moim przybranym bratem.

Ferdynand nie śmiał się sprzeciwić; pocałował ją w rękę.

— Uspokuj się — rzekł — ja ci w niczem nie będę zawadą i przeszkodą. Wiész jak cię kocham, a dla ciebie i jego ukocham jak brata. Ale, Lizo moja, co powie świat?

— Świat? niech powie co zechce... z uśmiechem przyjmę jego potępienie.

Po gwałtownej scenie w ulicy, której hr. Filip pewnie się nie spodziewał, bo tyle energii i odwagi nie przewidywał w Lizie — chciał winowajca biedz wprost do hr. Augusta i jemu powierzyć poselstwo, które przeznaczał jako ostatni cios mściwy dla tej, co nim pogardziła.

Chwila krótka namysłu starczyła mu jednak, by zmienić zamiar. Hrabia August nie zdał mu się sposobnym do tego; okoliczności, które się zaraz objaśnią, czyniły księżną Teresę, w przekonaniu Filipa, daleko właściwszą do pośredniczenia między nim, a Lizą.

Nie zatrzymując się więc, pobiegł do jej mieszkania.

Księżna tylko-co była powróciła ze swęj zwykłej rannęj wycieczki po muzeach, po pracowniach. Rozbięrała się właśnie, potrzebując spocząć, i nie przyjmowała nikogo.

Hrabia Filip na bilecie wizytowym nakręślił kilka słów i posłał go przez służącego.

Wkrótce potem księżna, nawpół ubrana, weszła pōspiesznie do salonu, rozkazując wpuścić gościa. Znała go śmiałym, szyderskim, złym, zdziwiła się, widząc wścickłym. Trzęsły mu się ręce, szedł jak oszalały ku nięj.

— Księżna mnie posłucha przez litość, z obowiązku przyjaźni dla pani Lizy.

I nie dając odpowiedzi księżnie, padł w krzesło.

— Proszę mi pozwolić mówić — zawołał gwałtownie — proszę mi nie przerywać. Księżna jesteś dobrą dla wszystkich, bądź nią i dla mnie! Patrzyłem oddawna na to, że pani Liza się gubi; stosunek jej do tego awanturnika coraz był jawniejszy. Ja ją kocham do szaleństwa od lat wielu... ja bez nięj żyć nie mogę; nie mogłem tēz ścierpić, aby, pogardziwszy mną, hr. Augustem, tyłą innymi, dała pierwszeństwo jakiemuś... nieznanemu włóczędze. Wię księżna co się dziś stało? Sama jedna, zakwefiona, wykradła się pani Liza z domu, aby pōjść odwiedzić tego Wiktora.

Księżna ręce załamała.

— To nie może być! — krzyknęła — to potwarz!

— O nie, bom ja szedł za nią. Czekałem na nią gdy wychodziła, zaszedłem jej drogę i dostałem odprawę raz nazawsze.

Rozśmiał się gorzko. — Precz z moich oczu!

Księżna Teresa, sparta na stoliku, oczy zakryła, a hr. Filip mówił dalej, rozgorączkując się:

— Rzecz jawna dla tych, co znają panią Lizę, że taki stosunek musi się skończyć małżeństwem, to jest że ona gotową jest wyjść za tego... Cygana. Niech-że wie za kogo

wychodzi i czy to jest możliwem. Robilem poszukiwania, przekupiłem ludzi, pisałem, posyłałem i nie wiem kto jest pan Gorajski.

Zaczął się śmiać zwycięzko.

Księżna nie podnosiła oczów, cała zatopiona w sobie.

— Moja rewelacya — ciągnął dalej — i księżnę pewien sposób obchodzi... tak, mościa księżno! Trochę ją rozczaruje może.

Księżna z obawą spojrzała na mówiącego, który, konwulsyjnie się rzucając, prawil dalej:

— Księżna przypomina sobie pewnie ojca męża swojego, starego pana Piotra?

Słuchając, drgnęła gospodyni.

— Jakiż ta historia ma z nim związek? — spytała słabym głosem.

— Bardzo wielki — rzekł hr. Filip. — Książę Piotr mieszkał, jak wiadomo, w Zatusznicach, a o pół mili w Borku niegdyś siedzieli państwo M... Mąż był chorowity, dogorywający, pani piękna, dowcipna, utalentowana, bardzo stosunkowo młoda, a wydana zań mimowoli, choć podobno była dla niego dobrą żoną. Ale to nie przeszkadzało temu, że w sąsiedztwie między starym księciem, który w tym domu bywał, a piękną panią M. zawiązał się serdeczny stosunek. Książę był wdowcem, mąż dogorywającym; rachowano może na tę miłość, że do ołtarza poprowadzi. Otóż miłości tej owocem jest mniemany pan Wiktor Gorajski.

Mimowolny wykrzyknik wyrwał się z ust księżny, która przypomniała sobie kameę.

— Wkrótce po narodzinach dziecięcia, umarł pan M... Syn odziedziczył po nim i nazwisko i majątek, do którego nie miał prawa. Zmarł i książę Piotr. Pani M... o której tak blizkim stosunku nikt prawie nie wiedział, dopiero umierając, skruszona, pokutująca, przed synem wyznała wszystko. Chciała ulżyć sumieniu, nie spodziewając się, aby po jej śmierci p. Wiktor, z jakąś dumą i szaleństwem niewytłumaczonym, odłączywszy od majątku część macierzystą, resztę oddał krewnym nieboszczyka M., a sam nazwisko, do którego nie miał prawa, rzuciwszy, ekspatryował się i dał sobie, nie wiem jakim prawem, imię Gorajskiego. Jest-to więc człowiek nieprawego urodzenia, bez rodziny, bez związków, wyrutek jakiś społeczeństwa, do którego żadna się rodzina przyznać nie może. Pani Liza też niepodobna aby mu rękę oddała. Ja tajemnicy z tego co mówię, wrazie gdyby za niego wyszła, czynić nie będę. Mam na to co mówię dowody w ręku.

To rzekłszy, wstał hr. Filip, trąc włosy i tryumfującą przybierając minę.

— Księżna będziesz łaskawa, to co ja jej zwierzyłem, powiedzieć pani Lizie, inaczej ja użyję środka jakiegoś mniej może właściwego, aby ją o tém uwiadomić.

Nie odpowiadając, zadzwoniła księżna, aby jej wody podano. Zrobiło się jej słabo. Kochała Lizę, lubiła Wiktora; Filip ją przestraszał, poselstwo, jakim ją obarczono, było jeśli nie nad siły, to nad wyraz wszelki ciężkie i bolesne.

Westchnęła, spoglądając na rozgorzałego zemstą człowieka, który chodził około stołu, na odpowiedź oczekując.

— Hrabio — szepnęła ledwie dosłyszczanym głosem — pojmuję miłość, przypuszczam nawet, że się z niej zemsta na chwilę wyrodzić może; lecz godził się posuwać ją do takiej zaciętości?

— Nie wiem co się godzi, a co niegodziwe — zawołał Filip. — Natura moja taką jest. Zgorzkniały, nieszczęśliwy, zrotpaczony, nie mogę postępować inaczej.

Lękając się wymówek i perswazyj, pochwycił za kapelusz.

— Księżna uczynisz co zechcesz; ja więc nie słucham nic.

Sklonił się; chciała go zatrzymać, ale wybiegł śpiesznie.

Po wyjściu jego księżna długo nie mogła przyjść do siebie i stara jej rezydentka i przyjaciółka, nadszedłszy, znalazła ją w takim stanie, iż chciała po doktora posyłać.

Znając Filipa, wiedziała że potrzebuje pośpieszyć z nieprzyjemną wieścią do Lizy, lecz czuła że ona, po wypadku jaki ją spotkał, sama niezawodnie przyjdzie się jej zwierzyć i szukać pociechy u jedynej przyjaciółki, dla której żadnej nie miała tajemnicy.

Księżna wiedziała o przywiązaniu jej do Wiktora i o dziwacznem postanowieniu nie wychodzenia za mąż, od którego ją odwieść usiłowała. Stosunek ten braterski, platoniczny, idealny, zdawał się jej i dla świata i dla nich obojga niebezpiecznym. Było to piękne marzenie, którejedna chwila mogła w smutną rzeczywistość obrócić.

Zdawało się jednak księżnie, iż Liza, po namyśle, da się skłonić do oddania ręki razem z sercem.

Opowiadanie hrabiego Filipa, w którego prawdziwość niepodobna było nie wierzyć, bo potwierdzało je i owo nadzwyczajne podobieństwo familijne, i kamea i tysiąc drobnych okoliczności, które teraz dopiero księżnie na myśl przychodziły — opowiadanie to zasmuciło ją; ale, gdyby nie złośliwość człowieka, który zemstą i rozgłoszeniem wszystkiego groził, księżna byłaby go nie uważała za przeszkodę do związku.

Postępowanie Wiktora dowodziło szlachetności jego charakteru, podnosiło człowieka, na którym żadna wina nie ciążyła. Ale cóż było uczynić z Filipem, jak zapobiedz, ażeby Wiktor nie mścił się nad nim, aby między nimi do osobistej nie przyszło walki, która najsmutniej skończyć się mogła? W tych myślach zatopiona, księżna pozostała z bólem głowy w domu, nie omyliwszy się w domysłach; po obiedzie bowiem Liza nadbiegła do niej.

Była tak zmieniona i bladą, że ściskając ją przy powitaniu, księżna głośnym wybuchnęła płaczem.

— Wiem już wszystko! nie mów nic! — zawołała, łkając.

A gdy Liza zdziwiona na nią spojrzała, dodała cicho:

— Filip był u mnie.

Siadły tak, trzymając się za ręce, w milczeniu długim, ze łzami w oczach. Księżna zwlekała, nie czując w sobie siły do zadania tego ciosu przyjaciółce... Wkońcu jednak, po długim wahaniu się, musiała rozpocząć.

Liza słuchała z twarzą bladą, spokojną, z ustami zaciśniętymi, ale historia ta wcale jej tak nie dotknęła, jak się spodziewać było można.

— Szlachetny, zacny człowiek! — zawołała. — Nie jego winą jest urodzenie. Gdybym mogła go więcej kochać, od tej godziny pokochałabym go mocniej jeszcze.

Otarła łzy.

— To nie zmieni wcale stosunków naszych; będę mu wierną przyjaciółką do śmierci. Jedną tylko mam drogę, aby Filip nie posunął się do jakiego gwałtownego kroku. Człowiek ten do wszystkiego jest zdolny...

Wieczora tego obie przyjaciółki nie przyjmowały. Wiktor, niewiedzący o niczym, nie chciał być po wielkim szczęściu natrętnym. Napisał słów kilka do Lizy, a sam zamknął się w domu. Chciał się upoić tem, co go spotkało.

Hrabia Filip, wybiegłszy od księżny, tak był jeszcze rozogniony, iż uspokoić się i na chwilę być bezczynnym nie umiał. Wpadł do hr. Augusta, wybuchnął i opowiedział mu wszystko. Słuchając go, August nie wyrzekł słowa. Zmierzył oczyma rozgorączkowanego i zadumał się głęboko, smutnie.

— Postąpiłeś sobie — rzekł po namyśle — tak, iż uniewinnić cię niepodobna. Wszystkie następstwa kroku tego przypisz swój zapamiętałości. Ja w żadnym razie do sprawy wstrętlivej dla mnie mieszać się nie chcę. Proszę nie rachować na mnie.

Odwrócił się, a po przestanku dodał:

— Wrazie jakichbądź następstw, znajdziesz mnie nie z sobą, ale przeciwko sobie. Znasz mnie, że co powiem, dotrzymuję.

Skłonił się zimno.

Filip usiłował się usprawiedliwić; lecz zamiast spieraćć się z nim i rozprawiać, hr. August wziął za kapelusz, dając poznać że wychodzi z domu. Zmuszony ustąpić, Filip wyszedł, mrużąc.

August natychmiast pobiegł do Lizy, chcąc być na jej usługi. Nie znalazłszy jej w domu, poszedł do księżny... Nie przyjęto go... Nie chcąc powracać do siebie, aby go tam Filip, mieszkając obok, nie nachodził, udał się za miasto i błądząc sam po Via Appia, nie powrócił aż nocą do domu.

Ferdynand, zamknięty w swym pokoju, gryzł się i rozmyślał czy, mimo zakazu siostry, nie powinien był wyzwać Filipa. O pozór łatwo było. Chciał się poradzić z hr. Augustem, lecz musiał to odłożyć do rana.

Nazajutrz około południa Wiktor, już stęskniony, szedł na Sistyne do swój pani. Ona też pewną była, że go zobaczy, czuła że przyjść musi. Znalazł ją bladą, z oczyma trochę czerwonymi, ale czulszą, poufalszą niż przedtém. Do miłości dawniej przybyło współczucie dla nieszczęścia, szacunek dla charakteru.

— Czekalam na ciebie, kochany przyjacielu — odezwala sie, wyciagajac ku niemu ręce obie. — Potrzebowalam cię widzieć, tęsknilam...

— A ja marzyłem o szczęściu mojem i przyjść nie śmiałem — rzekł Wiktor. — Jestem pijany dziś jeszcze...

Siedli razem sami, bo Ferdynand wymknął się już do hr. Augusta. Wiktor czuł, iż w ich stosunku nowy jakiś żywioł, nowy odcień zrodził się od dnia wczorajszego, lecz nie wiedząc o niczem, przypisywał tę zmianę chwili co ich zbliżyła i ostatnie między niemi zapory zlamala.

Liza nie chciala mu dac poznać, jak i dlaczego cierpi. Aż nadto prędko musiał się o tém dowiedzić.

Ferdynando znalazł jeszcze nieubranym hr. Augusta. Z żywością swemu charakterowi właściwą, z otwartością i prostotą, wypowiedział się hrabiemu.

— Wiem o wszystkiem od Filipa — rzekł mu August. — Jest-to człowiek napół oszalały, któremu wiele przez litość nad stanem jego należy przebaczyć. W żadnym razie nie masz powodu go wyzywać, bo nadałbyś rozgłos wypadkowi, który, spodziewam się, iż zostanie między nami. Filip już jest ukaranym tém, że go znać nie chcecie. Na tém, przynajmniej nateraz, wszystko skończone.

Ferdynand z wielkiego przywiązania do siostry inaczej to pojmował i August ledwie go ukołysać potrafił. Chciał o coś obojętnego pokłócić się z Filipem i zmusić go do wyzwania. Gospodarz odradził mu i wymógł słowo, że do czasu przynajmniej pozostanie spokojnym.

Właśnie gdy się to działo, zapowiedziana już przez hr. Filipa księżna Ahaswera przybyła, w żalobie po mężu. Śmierć jego, a raczej konanie powolne, które ją zmusiło do długiego dosyć samotnego pobytu z człowiekiem dogorywającym, znużyły tak kobietę potrzebującą coraz nowych wrażeń, iż przyjechała wyżółkła, zmieniona, zestarzała, a spragniona czegoś, coby ją od niej samęj oderwało. Zaledwie też się znalazła, poszła smutkiem dzielić się z dawnymi znajomymi. U księżny Teresy, u Lizy pierwszego dnia znalazła drzwi zamknięte, co ją niezmiernie rozdrażniło.

Powracała z tej wycieczki do domu prawie gniewna, gdy na drodze nawinął się jój Filip, który, usiedzieć nie mogąc, kręcił się niespokojny i wzburzony.

— Nie pojmuję co się u was dzieje — zawołała — ledwie go przywitawszy. — Podaj mi rękę. Byłam u Teresy... niema, u Lizy... zamknięto. Cóż to jest?

— Księżna nie wie nic? — odparł Filip. — Wistocie, znajdujesz nas w rozproszeniu i wcale niezwykłym stanie. Powiedzą księżnie pewnie, że to ja winien temu jestem, a zatem muszę, uprzedzając innych, opowiedzieć jój wszystko.

— Chodź ze mną, mów! Czy stało się co? — podchwyciła Ahaswera, rada że wpadła na jakiś wrzątek, w którym się skąpać będzie mogła odżyć nim.

Natychmiast pociągnęła za sobą Filipa, któremu zdawało się, że sobie zyska sprzymierzeńca.

— Zaczynam od początku — zawołał hrabia gdy się znaleźli w hotelu, w którym wdowa stanęła. — Nikomu nietajno, że jeszcze za życia jój męża kochałem się w pani Lizie, że chciałem choćby pół fortuny poświęcić, aby ją od tego bydlęcia uwolnić, rozwieść i ożenić się. Dlatego się rozstałem z żoną.

— No, i Liza cię nie chciala! — odparła Ahaswera. — A ja ci otwarcie powiem, że miała słusność. Wcale nie jesteście dla siebie.

— Byłaby ze mnie zrobiła co chciala! — krzyknął hrabia.

— Daj pokój, z drzewa kamienia nikt nie zrobi! daj pokój. Ale cóż tedy? co? — odparła księżna — gadaj!

— Gdy kto raz tak kocha jak ja, to przestać nie może, ani sobie wyrozumować, że kocha daremnie — dodał Filip.

— Więc cóż? Mogłeś sobie chyba w łeb strzelić — rozśmiała się Ahaswera.

— Miałem nadzieję, niech mi księżna nie przerywa... sądziłem że się kiedyś przekonam, iż nikt jój tak kochać nie może, jak ja. Tymczasem szatan nadał tego samozwańca Gorajskiego.

— Ja odrazu postrzegłam, od pierwszych dni, że między nimi coś być musi — szepnęła Ahaswera.

— Do tego doszło, że brawując opinią, pani Liza chodziła go odwiedzać w pracowni — zawołał hrabia.

— To kłamiesz — przerwała gwałtownie księżna — ja ją znam. Nie może być!

— Kiedym ją wychodzącą przecie od niego w bramie pochwycił — rzekł hrabia — i rozgniewała się tak, że mi dom wypowiedziała.

Ahaswera z ciekawością gorączkową zbliżyła się do niego.

— Co ja słyszę! — zawołała — do tego doszło? Więc chyba wyjdzie za niego?

— To być nie może — wybuchnął hrabia — chybaby wstydu nie miała. Ten Gorajski jest synem naturalnym księcia Piotra, człek bez urodzenia, bez imienia, bez rodziny, słowem wyrzutek...

— No, no! powoli — odezwała się Ahaswera. — Masz na to dowody?

— Mam, i on sam się tego nie zaprze.

Tu hr. Filip zaczął opowiadać ze szczegółami, czego się o urodzeniu Wiktora dowiedział i co żadnej nie ulegało wątpliwości.

Księżna głową potrząsała, słuchając.

— Dziwy! dziwy! mój hrabio — dodała, gdy dokończył — dziwy, ale wmieszałeś się w sprawę niebezpieczną i nie wiem czy wyjdiesz z niej cało. Możesz jemu przeszkodzić, ale sobie nie pomożesz. Wszystkich mieć będziesz przeciw sobie, hr. Augusta...

— O! ten mi to zgóry zapowiedział — rzekł Filip. — Ale nie dbam o to!

— I brata jój.

— Nie boję się go.

— A na końcu samego Wiktora — dorzuciła Ahaswera. — Jeśli cię ten wyzwie...

— Z ludźmi jak on nikt się nie bije — zawołał dumnie hrabia. — W Rzymie nie zabraknie zbirów. Każę go obić, ale bić się z nim....

Zamilkła słuchająca.

Filip drżał i chodził, jak bezprzytomny.

— Może ci w łeb strzelić — rzekła po chwili. — Ja, przyznam ci się, będąc na twém miejscu i popełniwszy taką... no, nazwijmy to niedorzecznością, dziśbym opuściła Rzym.

— Aby mówiono żem się uląkł następstw mojego kroku. O nie — rzekł Filip. — Niech będzie co chce.

Potrząsała głową, księżna siedziała milcząca.

— Żeby znowu tak się kochać i po tylu latach nadaremnego wzdychania tak szaléć! — rzekła zcicha.

Filip nic nie odrzekł na to.

— Księżna powinnaś mnie bronić — wtrącił, tylko po chwili.

— Daj mi pokój! Gdy sprawa idzie o kobietę, my wszystkie pierwsze mamy obowiązek w niej bronić siebie. Po mnie niczego się nie spodziewaj.

Filip popatrzył na nią długo.

— Zatem i od pani dostaję odprawę? — spytał.

— Żal mi cię, ale niema na to rady. Utop się w Tybrze, który podobno wezbrał, bo mi mówili że do Panteonu dostać się nie można i woda w nim stoi; palnij sobie w łeb, albo jedź gdzie za świat, bo tu nie masz co robić. Oto rada moja.

Rozśmiał się szydersko Filip.

— No, zobaczymy — rzekł, żegnając ją — muszę sobie radzić sam i... poradzę.

Księżnie Ahaswerze po tej rozmowie pilno było niezmiernie dostać się do swych przyjaciółek, złapać kogoś, słowem wcisnąć się w tę intrygę i pewną w niej rolę odegrać.

Szukając w myśli, kogoby sobie w pomoc wziąć mogła, wpadła na poetę. Napisała słów kilka i posłała po niego. Wybór to był najniezszczęśliwszy, gdyż ów niedożyły geniusz i niezrozumiany artysta w życiu praktycznym był najnieporadniejszym z ludzi. Całe swe życie popełniał patetyczne omyłki i wielkobrzmiące głupstwa.

Kartka księżny, która go zastała w biédnej zajmowanej przez niego izdebce, pełnej papierów, śmieci i nieładu, naprzód wbiła go w pychę. Ale żal miał do tój kobiety, do której zaczynał się przywiązywać. Myląc się w ocenieniu wezwania, sądził że się serce odezwało. Chciał się podrożyć z sobą; ale wnet poruszony, zwyciężony tą ręką wyciągniętą, której potrzebował do życia, ubrał się, zapomniał urazy i pobiegł.

Spodziewał się znaleźć Ahaswerę czułą, rozmarzoną, bolejącą po śmierci męża, o której wieść go już dochodziła, a tymczasem w progu powitała go roztargniona i niecierpliwa.

— Czegożeś tak długo czekać na siebie kazał? Mam tysiące potrzeb, tysiące pytań.  
Oblała go zimną wodą. Nasrożył się, chciał stać się czułym i patetycznym, ale przerwała mu żywo.

— No, to potem. Czy wiesz tę historią pięknej Lizy i bezimiennego jegomości, p. Wiktora?

— Nie wiem nic, oprócz że się podobno pokochali... Ale — dodał z pogardą — to zimna lodu bryła.

Księżna posadziła go naprzód, a potem żywo szczebiocząc, opowiedziała mu wszystko. Była to dla niego nowość, zdumienie, przerażenie.

Pocziwie obudziło się w nim uczucie, którenadzwyczaj pompatycznie chciał wyrazić. Księżna mu przerwała.

— Znam Filipa, gotów na wszystko. Mówił tu u mnie o zbirach; potrzeba ostrzedz Wiktora.

— Tak jest! — krzyknął poeta — trzeba go ostrzedz. Ja lecę...

Nie wstrzymywała go księżna.

— Wracaj do mnie — rzekła — tylko opowiedz mi wszystko i dodaj że ma za sobą nas wszystkich... Niech się ma na bacności.

Emil Marya pobiegł.

Księżna, opowiadając wszystko, nie pominęła i historii urodzenia Wiktora, a ta w oczach poety nowy urok mu nadała. Ze współczuciem i gorączką, który fantazyza poetycka wywołała, wpadł do mieszkania Gorajskiego na Babuinie, w którym nigdy dotąd nie był, bo raz Wiktor go nie przyjął, a geniusz czuł się tém obrażony.

Zastał gospodarza siedzącego w przyciemnionym żaluzjami pokoju, bez książki, bez roboty, w myślach i dumach.

Postawa poety i gwałtowność, z jaką wpadł, kazały się domyślać, że nie z prostą grzecznością przychodził. W milczeniu wiele znaczącem począł, łkając prawie, bo był do płaczu skłonny, ścisnąć go mocno.

— Biędny! biędny! zacny mój... kochany!...

— Cóżto jest? — zapytał Wiktor, śmiejąc się. — Biędny! ja? ale ja nie czuję się nim wcale.

— Jakto? — przerwał poeta — jakto? więc...

— Kochany wieszczu, nie rozumiem nic.

Emil Marya zmieszał się, ale cofać się nie mógł.

— Miałżebyś zupełnie o niczém nie wiedzieć? —

— Tak dalece, że nie mam pojęcia nawet, co to być może.

Poczuł dopiero Emil Marya, że na niego spadł ciężar daleko większy, niż przewidywał. Pocieszać i radzić, ostrzedz był gotów, ale być zwiastunem złego...

— Mów-że, na Boga!

— Nic nie wiesz?

— Nic a nic.

— Nie wiesz że wychodzącą od ciebie panią Lizę hrabia Filip, w bramie czatujący, pochwycił?

Wiktor poskoczył ku niemu.

— Co? — krzyknął — on śmiał!...

Zacisnął pięści i stał się tak strasznym, że Emil Marya na krok cofnął się od niego.

— Uspokuj się, wszyscy go potępiają — dodał. — On sam głosi, że mu p. Liza z pogardą dała odprawę. Jest ukarany, ale mściwy człek, przewidując że teraz rozgłoszony stosunek wasz musi się zakończyć małżeństwem, rozsięwa krzywdzące wieści o twojem urodzeniu.

Wiktor pobladł, pot wystąpił mu na czoło; zachwiał się i padł na krzesło. Poeta ścisnął go za rękę.

— Co on mówi? — spytał Wiktor głosem słabym.

Po chwili krótkiej namysłu, poeta powtórzył co słyszał od Ahaswery, dodając wyraz współczucia. Gorajski słuchał, nie dając długo znaku, jakie to na nim czyniło wrażenie; twarz jego była tak blada i zmieniona, że nowy ból już się na niej wypisać nie mógł.

Po milczeniu niedługim, podniósł głowę.



— Niestety — rzekł — to co mówi, prawdą jest nie zaprzeczam. Dla pamięci matki mój musiałem się taić, ale dziś, gdy mi to w oczy rzucają, potrafię znieść z rezygnacją. Powiedział o tém pani Lizie?

— Niezawodnie.

Wiktor się zamyślił; czuł, że przyjmując go nazajutrz, już wiedziała o tém, wiedziała i nie zmieniła się wcale. Odetchnął lżej, łza mu się w oku zakręciła, wyciągnął dłoń do poety, który ją gorąco uściśnął.

— Wszyscy oburzeni są — rzekł — za wami wszyscy. Ale ten niegodziwy człek gotów się posunąć do ostateczności. Może na was zbirów nasadzić; księżna kazała mi was ostrzedz.

Z pogardą uśmiechnął się Wiktor.

— Nie boję się tego — rzekł zimno. — Nie są to te czasy, gdy o najęcie zbirów łatwo było. Dość nienabitego rewolwera, aby ich rozpędzić. Dziękuję wam z duszy — dodał — iż mi otworzyliście oczy, żeście tu przyszli pierwsi z przestroga. Byłem w ciemnościach, teraz wiem już, co pocznę. Hrabia Filip swém postępowaniem wyzwał mnie do walki z sobą. Mam oręż do niej, straszniejszy niż sądzi. — Mówiąc to, Wiktor wstał nagle z krzesła, poszedł do zamkniętego biurka, dobył z niego papierów wiązkę i pokazał ją poecie.

— Oto czém mu w oczy rzucę! — zawołał. — Jest to własnoręczny rękopis, testament, wyznanie, nazwijcie to jak chcecie, niedawno zmarłej żony jego. Jest to dokument tak go potępiający, iż nie miałem odwagi ogłaszać go, mając do tego prawo, bo na rękopiśmie wyrażona jest wola zmarłej, aby ten, komu się on w ręce dostanie, uczynił z nim co zechce, byle go hr. Filipowi nie oddawał. Zmarła pragnęła, aby o tém ludzie wiedzieli, i dziś już się nie waham... ludzie wiedzieć o tém będą.

— Słuchaj-że — chwytając go za rękę, począł żywo poeta, któremu oczy zapalały — mnie się to widzi inaczej. Możecie grozą tego dokumentu kupić sobie i pani Lizie spokój, uwolnić się od prześladowania. Księżna pośredniczyć będzie.

— Nie! nie! na Boga i stokroć nie! — wykrzyknął Wiktor. — Nie godzi mi się frymarzyć dobrą sławą kobiety, która z za grobu żąda usprawiedliwienia. Hrabia Filip głosi, że się z nią rozstał, bo mu była niewierna. Tu są fakta: on był podły, a ona niewinna.

Poeta nie śmiał nalegać. Wiktor nazad wrzucił rękopis do biurka i usiadł. Głowę w dłoniach ukrył, mówić już nie mógł. Emil Marya widział że go należało zostawić samego z myślami i dać mu cios, jaki go spotkał, odbolęc.

— Te papiéry po zmarłej nie są więc tajemnicą — zapytał, odchodząc — mogę o nich mówić księżnie?

— Komu chcecie — rzekł Wiktor. — Sproszę wszystkich do księżny Teresy, do pani Lizy, gdzie mi będzie wolno, i odczytam co mi los dał w ręce. Jestem dziś względem tego człowieka wolnym od wszelkiego obowiązku oszczędzania go. Niech stanie przed ludźmi w tém świetle, na jakie zasłużył.

— A jeśli się mścić zechce? — szepnął poeta.

Wiktor zagryzł usta.

— Będziemy się mścili obaj — odparł — i ja mam za co.

Poeta, nie zatrzymując się nigdzie, pędem pobiegł do Ahaswery. Czekala na niego niecierpliwa. Niósł nowy pokarm dla wygłodzonej nudami. Pytaniom nie było końca. Musiał opisywać wrażenie, przyjęcie, całą tę scenę, która na nim wielkie uczyniła wrażenie.

Niezmiernie ciekawa księżna myślała tylko o jedném, ażeby ją koniecznie zaproszono na czytanie tych rzeczy, tak niezawodnie poruszających, tak zajmujących. Emil Marya ledwie mógł ją zaspokoić upewnieniem, iż Wiktor oświadczył się sprosić wszystkich. Nie było żadnego wyjątku.

W czasie gdy rozmowa z poetą toczyła się urywanemi słowy, a Ahaswera tak była nią ożywiona i poruszona, że na nic nie zważała, nie postrzegli oboje, że hr. Filip, wszedłszy w chwiligdy ona była najżywszą, zasłyszawszy coś, stanął w progu, nie ruszając się, i czekał końca.

Nie mogąc nigdzie znaleźć spokoju, powrócił on był do księżny, aby jój dać zlecenie do p. Lizy, którą chciał jeszcze starać się przebłagać. Wpadł właśnie na to, gdy poeta mówił o testamencie jego żony.

Przypadkiem odwróciwszy się, Ahaswera postrzegła go i krzyknęła przestraszona.

Oboje umilkli.

Hrabia Filip, z oczyma okropnie wysadzonemi, jakby wypaść miały mu z powiek, powolnym krokiem postąpił ku nim.

— Coś pan mówił? co? powtórz! papiery po mojej żonie pozostałe w jego ręku? Jakim sposobem? Skradzione są chyba, lub sfalszowane!

Mówił głosem tak złamanym, jękając się, jak gdyby innym był człowiekiem. Niedawno księżna widziała go zuchwałym, teraz był przelętkłym, chociaż starał się pokryć tę trwogę.

— Ja nic nie wiem — rzekł poeta krótko.

Księżna zamilkła.

Hrabia Filip stał osłupiały, chwytając się poręczy krzesła, aby nie upaść. Chciał pytać jeszcze i usta mu się tylko trzęsły. Ten brak odwagi jego samego wprawiał już w gniew. Zdobywał się na dawne zuchwalstwo, lecz powrócić do niego nie mógł. Trząsł głową i rzucał się.

— Papiery! mogą być potwarze, mogą być kłamstwa. Umarłym wszystko wolno... Mści się chce na mnie — zaczął głosem przerywanym.

Księżna stała, patrzyła, ale się nie odzywała. Poeta usunął się nabok.

Począł się domagać szczegółów; Emil Marya powtórzył zimno:

— Nic nie wiem, nic wiedzieć nie chcę.

Nie mogąc przemódz tego upartego milczenia, hr. Filip poczekał chwilę, powiódł oczyma po księżnie i poecie, uśmiechnął się szydersko i wolnym krokiem wywłókł się z pokoju, już w progu zdając się zapominać gdzie był i co robił. Kapelusz włożył na głowę, nie zwrócił się ku gospodyni, szukał długo klamki, wyszedł i cisnął drzwiami za sobą.

— To coś wygląda jak ostatni akt tragedyi — szepnął Emil Marya.

— Ja się boję — dodała księżna — boję się o Wiktora. Ten człowiek gotów na wszystko... Straszne rzeczy się gotują. Nie odchodź pan, chcę go mieć przy sobie. Po obiedzie zaprowadzisz mnie do księżny. Muszę tam być; trzeba się naradzić, zapobiedz.

Mówiła tak, niby się uskarżając, ale twarz ożywiona świadczyła że prawie była rada tym okropnościami, które jej nudy przerwały.

W salonie pani Lizy na Via Sistina panowała cisza uroczysta; na twarzach obecnych, zwykłych gości widać było oczekiwanie niespokojne, podbudzoną ciekawość, a razem coś chwili téj uroczyste znaczenie nadającego.

Pani domu siedziała z księżną Teresą za stołem; blade obie, trzymały się za ręce. Nieco dalej, w czerni cała, ubielona i odrobinęk uroźowana, kręciła się niespokojnie na krześle, usiłując być poważną, księżna Ahaswera.

Za siostrą stał Ferdynand, pochmurny, mniej pewien siebie niż zwykle. Hrabia August wyprostowany, zapięty, ze zwykłą sobie krwią zimną i postawą arystokratyczną, zabrał miejsce naprzeciwko pani domu, by czuwać nad nią, nie spuszczając z niej oka. Zdawał się więcej zajęty wdową, niż tém co się przygotowywało.

Poeta, z ręką założoną za frak, z włosami zarzuconemi na tył głowy, wzrokiem wodzący po suficie, a myślami zapewne po świecie natchnień swoich, usiłował się dostroić do tonu panującego, do powagi i uroczystości tego momentu. Księżna Ahaswera, ile razy spojrziała na tę nieco teatralną figurę, nieznacznie poruszała ramionami. Wszystkie ruchy tego pocziwego monomana były jej już dobrze znane.

Wiktor, błady, w ręku trzymał zwitek papierów i patrzył nań zadumany, jak gdyby jeszcze wahał się z odczytaniem jego. W twarzy dziwnie zestarzałej i pomarszczonej malowała się walkawewnętrzna, już przeboleła w części, ale trwająca jeszcze.

Milczenie się przedłużało nad miarę. Poruszył się wreszcie jakimś wysiłkiem woli Wiktor, zbliżył do lampy, otworzył zwitek, który miał przed sobą i, bez wstępu żadnego i objaśnienia, głosem słabym, zrazu stłumionym, czytać począł:

„Zmarnowanego życia, zawiedzionych nadziei, wiary straconej — nie zapisywałabym i nie zostawiała pamięci po sobie; ale z niesławy i plamy obmyć się muszę. Za życia nadto byłam dumną, abym się chciała usprawiedliwiać; z za grobu chcę jeśli nie siebie, to imię moje oczyścić. Nie do jednéj mnie ono należało.

„Rodzice moi byli dosyć majątni. Jedyńcką u nich będąc, mogłam łatwo znaleźć towarzysza na drogę życia, ale ojciec mój zbyt wiele wymagał dla mnie i temum winna całe nieszczęście moje.

Na balu w Kamińcu podolskim zobaczył mnie przypadkiem się na nim znajdujący wołyński hrabia Filip. Miałam naówczas lat osiemnaście i smutek nie zmienił mi jeszcze twarzy; mówiono że piękną była. Hrabia Filip zaprezentował mi się, poznał się z rodzicami i wszyscy postrzegli, że był mną zajęty.

Nie podobał mi się. Nie był powierzchownie odrażającym, ale wyraz ironii, szyderstwa, jakąś oryginalność nienaturalną, coś ostrego i nielitościwego czytałam w jego twarzy. Usta, nawet gdy nie mówił, wykrzywiały się sarkazmem. Słyszał z dowcipu, uganiało się za nim, bo wiadano że jest bardzo bogaty, a czekały go większe jeszcze spadki. Ojciec mój cały rozgorzał tą myślą, aby mnie wydać za niego. Zaproszony w sąsiedztwo moich rodziców przez dalekich swych krewnych, zabawił kilka tygodni na Podolu i najjawniej począł się starać o mnie.

Im bliżej go poznawałam, tym większy strach i wstręt obudzał we mnie. Nawet uczucie gwałtowne, jakie mi okazywał, miało w sobie coś groźnego. Lecz ojciec ani chciał słuchać, gdy matka starała się przemawiać za mną. Kazano mi iść za hrabiego, który się oświadczył zbyt pośpiesznie, bez namysłu.

Ojciec nie tylko nakazywał, ale zaklinał mnie i prosił, abym wyszła za niego; musiałam mu być posłuszną. Do wszystkich nieprzyjemnych wrażeń, które mnie od niego odstręczały, dodać muszę i to, że z rodzicami memi obchodził się tak, jakby czuć dawał że łaskę im czyni, biorąc ich córkę.

Ślub odbył się prawie prywatnie, z pośpiechem jakimś, który mi przytomność odebrał. Tegoż samego wieczora pojechaliśmy na Wołyn. Mogę powiedzieć że od pierwszego dnia po ślubie rozpoczęła się walka między nami, w której ja, niedoświadczona, słaba, niepewna siebie, musiałam być zwyciężoną.

Wprędce postrzegłam, że hrabia nie szukał we mnie towarzyszkę życia, ale nasycenia namiętności jakiejś dzikiej, ofiary posłusznej, zabawki.

Rodzina męża mego, która mu przeznaczała kogoś zupełnie innego, a małżeństwo ze mną za mezalians uważała, dąsała się na niego. Nie przyjmowano nas, pozrywały się stosunki bliższe, a hrabia skazany został na towarzystwo młodzieży, która miała się za szczęśliwą, że ją do siebie przypuszczał i nad nią przewodził.

Kobiętę poznałam mało; życie spędzaliśmy w podróżach i wycieczkach za granicę, lub w domu, w tym otoczeniu ludzi, co czując się zaszczytami stosunkami z hrabią, pochlebiali mu i ulegali.

Mąż mój zabawiał się najdziwaczniej; miał fantazyje krótko trwające, gwałtowne, przemieniające się, często zbyt ostro i przykro kończące się jakąś katastrofą. Serce się w nim nie odzywało, ale szalała głowa.

Gwałtowna miłość dla mnie, na którą ja odpowiadałam chłodem, wprędce stygnąć zaczęła. Byłam temu rada prawie, bo zwiększała odrazę, jaką miałam do niego. Dobrym być nie umiał, nawet gdy kochał; męczyć lubił, jak gdyby to zaostrzało dlań każdą przyjemność. Posłyszałam zdania o różnych jego stosunkach z pięknymi sąsiadkami. Wszystkie one zawiązywały się łatwo, jakiś czas nie dawały mu spokoju, pochłaniały go i gasły, jak ognie słomiane.

Z każdej takiej fantazyi unosił wspomnieniewszystkich ułomności i wad tego co kochał i wielbił; wyśmiewał bezlitośnie nawet dowody serca i poświęcenia dla siebie.

Bardzo często zaczął odbywać podróże, trwające niekiedy dość długo... bezemnie. Zostawałam sama w domu, a że u rodziców jeszcze lubiła malować i rysować, spędzałam czas na próbach i cała oddałam się sztuce.

To zajęcie niewinnie stało się dla hrabiego źródłem niewyczerpanym szyderstw. Prześladował mnie niemi, wyśmiewał moje bazgranie i choć się zamykałam przed nim, prosząc aby mi choć tę przyjemność niezatrutą zostawił, nie było dnia, żeby ze złościwością bezlitosną nie pobudził mnie do łez.

Placz mój wprawiał go w najlepszy humor, był przyprawą jego zabawek.

W tym czasie z jednej ze swych podróży przywiózł hrabia wspomnienie osoby, którą widział, żony jednego ze swych kuzynów, pani Lizy.

Tak był przejęty nadzwyczajną jej pięknnością, a zarazem oburzony obchodzeniem się z nią męża, nieszczęśliwem życiem młodej pary, iż nie postrzegł, nie poczuł nawet, że sam dla mnie był takimże tyranem.

Pierwszy raz w życiu postrzegłam w nim naówczas pewną zmianę. Dla tej pani, w której nie taił się przedemną że był zakochany, miał uczucie uwielbienia, entuzjazmu, adoracją, którechwilami odejmowały mu jego złośliwość i szyderstwo.

Dla mnie zakochanie się to było zupełnie obojętnem. Nie pierwsze już było, a wiedziałam że zapewne i ostatniem nie będzie. Cóż mnie ono obchodziło?...

Dziwiłam się tylko, że mogło tak wielki wpływ wywierać na niego, iż niemal lepszym go czyniło, póki niem żył i był przejęty.

Wkrótce po pierwszej podróży, nastąpiła druga, której celem było widzenie adoro-  
wanej; potem trzecia i nie wiem już ile wycieczek, zawsze dla widzenia bóstwa, choćby zdaleka.

Męża tej pani opisywał w jaknajczarniejszych kolorach, a na mnie robiło to dziwne wrażenie, bo wszystko, co o nim mówił, zastosowywałam do niego samego. Były może pewne różnice między nimi, ale też i niezaprzeczone pokrewieństwo.

Ciekawa byłam nadzwyczajnie poznać tę panią, nad którą litowałam się i prawie ją jak siostrę niedoli mojej kochałam; ale hrabia o podróży do tych państwa, o której raz wspomniałam, słuchać nie chciał. Odparł mi brutalnie:

— Zrobiłoby ci to więcej przykrości, niż przyjemności. Byłaś wychowana wcale nie do tego świata, w którym ona zajmuje świetne stanowisko. Prawdę powiedziawszy, musiałbym się wstydzić za ciebie.

Ruszył ramionami. Zapłakałam i zmilczałam.

Nie jedno to upokorzenie przełknąć musiałam.

Wkrótce po zamążpójściu straciwszy matkę naprzód, w rok później ojca, byłam samą na świecie, bez opieki i najniezwyklejszą istotą.

Miłość hrabiego, tak gwałtowna w początku, zmieniła się w rodzaj wstrętu, lekce-  
ważenia, nienawiści. Być może że i ja rozwinięciu się tych uczuć byłam części winną, gdyż czułą być nie mogłam, a kłamać nie umiałam.

Pomiędzy młodzieżą, którą jak rodzajem dworu lubił się mąż mój otaczać, był krewny daleki hrabiego, jeden z tych powinowatych, do których się nie przyznawano chętnie, bo był ubogi, a imię nosił nieznanne. Chłopak dwudziestokilkoletni, wychowany przez matkę, nieśmiały, skromny, rumieniący się cochwila, służył innym za pośmiewisko.

Dla hrabiego, jako starszego i wpływowego człowieka, na którego może poparcie rachował, był z wielkiem uszanowaniem i powolnością. Matka go tu przysłała, a kuzyn miał sobie za największą przyjemność psuć go, wyszydzać skromność, śmiać się z jego zasad i obyczajów. Artur znosił to łagodnie, pozwalał się wyśmiewać i, zawsze w nadziei protekcji, uczęszczał do domu naszego, bo hrabia się nim i posługiwać lubił i miał z niego cierpliwą ofiarę swych sarkazmów.

Żał mi było chłopca, tak jak jemu, gdy patrzył codziennie na obchodzenie się męża ze mną, żał być musiało mnie także.

Nie wiem czy to w nim jakie czulsze dla mnieobudziło uczucie, ale co do mnie, chociaż sympatya miałam dla niego, serce moje było tak żółcią zalane, ja tak znękana, że ani mogła pomyśleć o jakichś miłostkach.

Postrzegłam jednak wkrótce, że jakby z umysłu, zaczęto Artura mną prześladować, a razem podawać mu sposobność znajdowania się zemną samnasam. Nie mogłam pojąć celu tego manewru męża mojego, ale był tak niezręczny i wyraźny, że przestraszona i oburzona musiała się mieć na baczności. Męczyło mnie to, a wiedziałam że Artur był niespokojny, poruszony i równie jak ja nie wiedział, co począć z sobą. Dawano mu rozkaz stawienia się u nas na dnie, w których właśnie męża mojego w domu nie było; wyznaczano zajęcia, które go do mnie zbliżać musiały.

Gdy się przekonała, iż to nie było przypadkowem, zamykałam się u siebie, a Artur, przybывая i dowiedziawszy się że jestem sama, odjeżdżał, nie widząc mnie.

Byłam mu za to wdzięczną. Ta strategia męża mego dosyć długo się przeciągała. Nie zbliżyło mnie to wcale do Artura, bo nie miał ani odwagi, ani ochoty zaplątania się w brudną intrygę.

Jednego dnia, gdy mąż mój wyjechał był na parę tygodni do owego kuzyna, którego żona była jego ideałem, niespodzianie, zaraz po odjeździe jego, przybył Artur i przez służbę prosił, aby mógł zobaczyć się z nią.

Według zwyczaju, kazałam go przeprosić; ale za drugim poselstwem i naleganiem wyszłam do salonu. Znalazłam go w postawie winowajcy, przestraszonego, zmieszanego, bełkoczącego coś tak niezrozumiale, że dużo czasu zeszło, nim go wyrozumić mogłam.

Drżał cały z oburzenia i zgrozy; tłumaczył się iż zmuszony jest niepokoić mnie dla przestrzeżenia, że dłużej milczeć mu niepodobna.

Dowiedziałam się z ust jego, iż hrabia poprzedzającego dnia, zamknawszy się z nim, w sposób cyniczny oświadczył mu, że na niego rachuje, iż postara się z nią zawiązać stosunek jaknajbliższy, aby jemu to do rozwodu posłużyć mogło.

A gdy Artur ze zgrozą zakrzyknął, iż chyba żart niegodziwy czyni sobie z niego, hrabia mu powtórzył: Uwiedz ją, niepodobna aby ci się to nie powiodło. Ja nią jestem znudzony i ona mnie nie kocha. Jesteś młody i przystojny, ożenisz się z nią. Dam ci przyzwoite wyposażenie. Wyjadę z domu i nikt ci nie będzie przeszkadzał. Przyszłość ci zapewnię. Kobięta ładna, sentymentalna, nieszczęśliwa, dla ciebie jak raz. Byłbyś głupim, gdybyś nie korzystał.

Oporu Artura i oburzenia hrabia nie chciał rozumieć nawet, zagroził mu że jego i matkę opuści, jeżeli mu w tém posłusznym nie będzie. Artur przychodził mi o tém oznajmić, a razem pożegnać mnie, gdyż, chociaż ubogi, postanowił zerwać z kuzynem.

Nie mogłam wątpić o prawdziwości tego wyznania, za którą charakter Artura ręczył. Sięrota, bez opieki, postanowiłam po tym nikczemnym kroku porzucić hrabiego. Zażądałam tylko od Artura, aby zeznanie swe dał mi na piśmie, gdy i tak postanowił zerwać z hrabią.

Pocziwy chłopak napisał i pod przysięgą zeznał, do czego użyć go chciano. List ten jego znajdzie się tu dołączony.

Nie czekając powrotu hrabiego, opuściłam dom jego, nie wynosząc nic, oprócz tego com od rodziców miała. Schronić się nie znalazłam gdzie, prócz klasztoru. Majątek mój sprzedał był hrabia i nawet sumy zań wziętej prawie mi nie ubezpieczył. Nie szło mi o to.

Rządca, który był prawą ręką, narzędziem i zausznikiem męża, natychmiast dał mu znać o moim wyjeździe.

W liście, który do niego zostawiłam, zawarta była kopia zeznania Artura: domagałam się rozwodu.

Hrabia w początkach był rozgniewany na kuzyna, ale go do siebie kazał powołać. Nie przybył. W procesie rozwodowym, chociaż oskarżenia mnie o sprzeniewierzenie się nie obejmował, było ono na wszystkich ustach. Hrabia głosił iż to go do żądania rozwodu spowodowało, zmyślał szczegóły, a że ludzie podobnym powieściom wierzą łatwo, nie mogłam się uniewinnić, ani oczyścić z zarzutu... plama pozostała na mnie.

Hrabia miał tysiące środków rozpowszechniania kłamstwa, ja żadnego na udowodnienie niewinności mojej. Wzgardziłam tą potwarzą.

Z majątku po rodzicach oddano to, co się hrabiemu zwrócić podobało. Chciał być wspaniałomyślnym i naznaczyć mi pensją dożywotnią, którą odrzuciłam. Zostałam sama w świecie, tułając się, bawiąc u krewnych, a później, zwróciwszy się do sztuki, rozpoczęłam studia w Warszawie i Dreźnie. Majątek, powierzony nieogłędnie ludziom bez sumienia, uszczuplony znacznie, zmusił mnie wkońcu szukać w tém, co było zabawą, nadziei utrzymania. Z tą myślą przybyłam do Rzymu”...

Rękopis kończył się następującym przypiskiem:

„Komukolwiek pismo to moje dostanie się w ręce, zaklinam go, aby mu nadał rozgłos, a nie dopuścił, żeby staraniem hrabiego zniszczone zostało. Może on czuwać nad tém, wiedząc iż się oczyścić zechcę. Z za grobu wolno mi przynajmniej zawołać, głosem któremu śmierć nada wiarę i powagę: Jestem niewinną!”

Wiktor dokończył głosem drżącym, złożył papiery i powiódł oczyma po słuchaczach. Wszyscy milczeli, przejęci tém opowiadaniem boleściwém. Liza, sparta na rękę, lży miała w oczach.

Pierwsza Ahaswera skoczyła z krzesła, pięść podnosząc dogóry.

— A! co za poczwara! co za poczwara ten człowiek! Ale — tu zwróciła się do Lizy — co za szalona miłość! Możesz nią być dumną.

— Mościa księżno — przerwał August — to się miłością nazywać nie może. Jest-to namiętność, z miłością własną połączona. Miłość zasługująca na to imię nie istnieje bez poświęcenia, uszlachetnia człowieka, podnosi go, lecz nie czyni występny.

Gospodyni domu siedziała zadumana, z oczyma łez pełnymi.

— Takie jest przeznaczenie moje — rzekła — abym i sama była nieszczęśliwą i drugim przynosiła nieszczęście. Część jakaś winy spada na mnie niewinną, bom nigdy w życiu tego niedorzecznego szalu hr. Filipa jedném słowem nie rozbudziła. Staralam się go nieraz prawie do niegrzeczności posuniętą oziębłością przekonać, iż nigdy nawet obojętną przyjaźnią wywdzięczyc mu się nie mogę. Dziś, po tém wszystkiém co się stało, widzę że jedynym środkiem jest uciekać ztąd.

— Gonić cię będzie — przerwała Ahaswera.

— Świat szeroki — dodała Liza. — Znajdę przecie w potrzebie kątek jakiś, w którym od tych napaści ukryć się będę mogła.

Spojrzała na milczącego smutno Wiktora, który ani potakiwał, ani odradzał, udając obojętnego. Wtém księżna Teresa, której trudno było się gniewać i w której sercu gniew zastępowały smutek i politowanie, westchnęła.

— Boże mój! ale cóż ja biedna pocznę z sobą, ja, com żyła wami, com tu przyrosła zarazem do tego Rzymu i nie będę wiedziała co zrobić.

— Toż samo i jabym mógł powtórzyć — szepnął hr. August. — Te wieczory na Via Sistina, te spokojne nasze rozmowy przy okrągłym stole, oświeconym oczyma naszej pani, miałyby tak smutny mieć koniec przez jednego biédnego szaleńca?

— Biédnego! — zawołała Ahaswera — powiedz występnego! Możeż być co nikczemniejszego nad prześladowanie kobiety? Ja — jabym go jutro bez sądu kazała powiesić. Jednę już zabił, a drugą zamęcza. Pocóż uciekać z Rzymu? Ja także protestuję, bo chciałam z wami moję żalobę odsiedzieć. Przecież się od niego można zamknąć.

— Na ulicę wyjść nie będzie podobna — odparła Liza. — Takie życie w ciągłej obawie, ciągle na oczach tego prześladowcy, stałoby się nie do zniesienia.

Ferdynand, stojący za krzesłem siostry, po swojemu pojmujący całą sprawę, nakoniec wyrwał się po młodzieńczemu, nie mogąc wytrzymać:

— Przepraszam — zawołał głośno — ale, słowo honoru daję, przykro mi słuchać. A do czegoż myśmy się zdali, jeśli w takim razie nie możemy stanąć w obronie prześladowanej kobiety? Jabym nie za siostrą, ale za kimkolwiekbydz w tém położeniu zostającym, ujął się, wyzwałi przeproszył. Nam nic innego nie pozostaje (tu spojrzał na Wiktora), jak z tym jegomością się rozprawić.

I rozgrzany własném wystąpieniem, Fernando w postawie rycerskiej wyszedł na środek pokoju, nie mogąc już ustać spokojnie.

Liza jednym wykrzykiem zaprotestowała, a hr. August chwycił wzburzonego za rękę.

— Zmiłuj się, nie tak gorączkowo — rzekł. — To się na nic nie zdało, a nadałoby rozgłos niepotrzebny wypadkowi niemiłemu wprawdzie, ale niemającemu tak wielkiej wagi. Dać się zabić, albo nawet ranić, byłoby grzéchem, a jego sprzątnąć ze świata prawdziwą łaską. Dajże mu pokój; pogarda zabija daleko skuteczniej.

Ferdynand się zżymnął.

— Pojedynek w zasadzie jest niedorzecznością, choć bywa czasami nieunikniony — dodał hrabia. — Ta jednak wcale konieczności rozprawienia się z nim w walce niéma. On zaś, wątpię, by kogo wyzywał.

— Widzicie więc, panowie — żywo przerwała pani domu — że moja rada jest najlepszą. Ja wyjechać muszę i zniknąć mu z oczów.

— Droga moja! — jęknęła księżna Teresa — ja chyba za tobą i z tobą pojadę.

— Ja także — rzekła Ahaswera.

— Radbym i ja powiedzieć toż samo — odezwał się skromnie poeta — ale niestety, z Rzymu mi się ruszyć niepodobna i skazany zostanę nasamotność ze wspomnieniami żywymi, najprzykrzejszą ze wszystkich.

— A! — zwracając się do niego półgłosem rzekła Ahaswera — nie skarż-że się, bo nigdy sam nie będziesz, mając swój geniusz z sobą.

Było w tém trochę sarkazmu, lecz Emil Marya przyjąłto za dobrą monetę i ubrał się w pokorę.

Księżna szeptała pocichu coś Lizie, która potrząsała głową.

— Ach te nasze wieczory! — dodała głośniejszym głosem — jak ja po nich płakać będę! Nic mi ich nie zastąpi.

— Księżna masz tu tyle znakomitości znajomych, poetów, artystów, dyplomatów — szepnął Wiktor.

— Prawda, ale wiesz pan co to są wieczory ze znakomitościami? Każda z nich naprzód chce być pierwszą, chce się czems odznaczyć, popisać z sobą, wystąpić. Wieczór więc taki staje się estradą koncertową, na której z kolei popisują się wirtuozi... My w naszym kółku małym mówiliśmy poprostu o rzeczach które kochamy miłością wielką, a znakomitości nie kochają nic, oprócz siebie.

Wśród tych uzalań pani Liza wstała z kanapy, zbliżyła się do Wiktora, wcale nie wstydząc się świadków, pociągnęła go z sobą i poszła na cichą rozmowę na balkon.

Wtém Ahaswera żywo podbiegła do księżny Teresy i przy niej usiadła.

— *Dites donc* — poczęła z gorączką i pośpiechem — szukacie wszyscy jakichś nadzwyczajnych środków, a najprostszego, najnaturalniejszego nie widzicie. Niech się ci państwo pobiorą! wtedy wszystko się skończy jaknajśliczniej.

— Cicho! — przerwała grożąc księżna Teresa — mówić z nią o tém dotąd nie można. Nie znasz tak dobrze jak my jęj przeszłości, nie wiesz co wycierpiała. Na wspomnienie małżeństwa, choć ona sama pragnąc go może, ogarniają strach paniczny.

Ahaswera się zamyśliła i zawahała głową.

— *J'en sais aussi quelque chose* — przebaknęła pocichu. — Któż wie, może ma i słusność. Mam doświadczenie najlepsze, że małżeństwo jest nieochybnym zawodem. Znamy się tak w salonie, choćby najpoufalej, ale pewnymi konwenansami rozgrodzeni, niby to się uczymy swych charakterów, gustów, przed ślubem oglądamy się wzajemnie — ale po ślubie! po ślubie! Cogodzina to niespodzianka; motyle stają się poczwarkami. Słabe strony ludzkie wychodzą na wierzch i psują nam wrażenie tego, co było pięknem i dobrem. Następują rozczarowania i niesmaki, obojętności i wstręty. O! — westchnęła — nieszczęśliwe my jesteśmy!

— Widzisz więc że Liza, tworząc sobie szczęście idealne, ma więcej rozumu od nas. Pozostaną dla siebie nazawsze pięknymi temi postaciami, jakie ukochali.

Ahaswera wydeła usta, zrobiła minkę dziwną i spojrzała ku balkonowi ostrożnie.

— Mówi się to tak i marzy — (tu uśmiech przebiegł jęj zmiętą twarzyczkę) — ale czy księżna wierzysz w to, aby, kochając się, młodzi ludzie mogli długo pozostać tak... rozumiesz mnie?...

Księżna Teresa, choć rozmawiały pocichu, a August z Ferdynandem i poetą stali na stronie, zarumieniła się, jak panienska.

— Cicho! nie znasz Elizy! — zawołała, głos zniżając.

— Kochana moja, znam siebie i kobiety, znam mężczyzn! O! wiele, wiele miałam doświadczeń w życiu! — Potrząsnęła głową. — *Position fausse!* próba niebezpieczna.

Księżna Teresa zbierała się na odpowiedź, gdy Liza z Wiktorem weszli z balkonu nazad do salonu. Rozmowa przerwać się musiała.

Hrabia August spójrzał na zegarek i westchnął, zbliżając się do gospodyni.

— Powinniśmy panią pożegnać, a nigdy tak trudno jak dziś ztąd wyjść nie było. A, pani! kiedy nam wrócą wieczory na Via Sistina?

— Myślisz, hrabio, że i ja z tęsknotą i wdzięcznością dla was wspominać ich nie będę? Podała rękę Augustowi.

— Przyjaciele starzy nie opuście nas przecie! Znajdziemy się gdzieś, zwołamy i wybierzemy sobie kątek spokojny, aby w nim żyć znowu jasnym słowem i tęskną myślą.

— Nie opuszczaj-że nas pani przynajmniej tak nagle, bez opowiedzenia — dodał August — pozwól czuwać nad sobą.

— Nie ucieknę tak bardzo prędko — uśmiechnęła się gospodyni — pomówimy o tém jeszcze.

Wszyscy goście za przykładem hr. Augusta poruszili się; Ahaswera spojrzała na zbiedzzonego poetę, ulitowała się nad nim i uszczęśliwiła go, oznajmując że ma jęj do domu towarzyszyć... Hrabia August wyszedł pierwszy, a choć wieczór był cudny i w ulicach życia wiele, wprost już pociągnął do mieszkania.

Robiło mu to tylko przykrość, że w tym samym hotelu pod bokiem miał hr. Filipa, a dawne stosunki narazić go mogły na spotkanie z nim. Myślał jeszcze, jak tego uniknie, gdy w bramie hotelu spostrzegł go, jakby na straży wyczekującego. Chodził wielkimi krokami, z głową spuszczoną, mówiąc coś sam do siebie. Słyszając chód, podniósł oczy i, poznawszy Augusta, szybko się zbliżył ku niemu. Nadchodzący chciał go uniknąć, ale zastąpił mu drogę.

— Nie możesz mi odmówić chwili posłuchania — odezwał się głosem, w którym brzmiało nadzwyczajne, rozpaczliwe podrażnienie.

Krok w krok podążył za nim nagórę. Razem weszli, gdyż nie dał się milczeniem zimnym odstraszyć.

Spojrzał przy podaném świetle na twarz hr. Augusta, która była surowszą, poważniejszą jeszcze niż zwykle. Zacięte jego usta, namarszczone czoło dawały poznać, iż ani rozmawiać, ani słuchać nie miał ochoty.

— Potępiasz mnie więc i ty? — rzekł głosem stłumionym — i ty, i wszyscy... Rzecz jest skończona ze mną. Zostałem wyklęty, *anathema!* Uśmiechnął się szydersko. — Nie mam nawet od kogo żądać zadośćuczynienia, bo z tym bezimiennym włóczęgą jakimś bić się nie mogę.

— Nie rozumiem do czego cię pojedynek doprowadził? coby ci on pomógł — rzekł August niecierpliwie.

— Przynajmniejbym pragnienie jakiegóś zemsty nasycił — zawołał Filip, bijąc się w piersi.

— Zemsty? za co? Mścij się na sobie — dodał gospodarz, zaczynając się rozbiierać, aby dać poznać, że chce sam pozostać.

Filip przeszedł się po pokoju.

— Więc, na Boga, powiedz mi, co pozostaje do czynienia? Cóż muszę począć, jakiś koniec temu być musi! — krzyknął Filip.

— Potrzeba rady szukać w samym sobie — odparł August surowo. — Sumienie ją podyktować powinno.

— Co tam sumienie! pragnę zemsty i nie widzę przed sobą nad nią nic więcej. Drogi innej nie ma — rzekł Filip.

— Zdaje mi się, że żal i skrucha pozostają ci jeszcze — z niecierpliwością odezwał się August.

Hrabia Filip zaśmiał się swym zwyczajem, sucho i szydersko.

— To nie dla mnie — rzekł ironicznie — ja tych potraw nie jadam.

Znowu w milczeniu przeszedł się po pokoju, spoglądając na gospodarza, który, jak gdyby gościa nie miał, rozbiierał się i zajęty był około swego stolika. Ta obojętność jego i grzeczna odprawa poskutkowały nareszcie.

— Być może — odezwał się, biorąc kapelusz, który rzucił był na kanapę — iż mi się wypadnie oddalić i że się nieprędko zobaczymy z sobą. Nie wiem jeszcze co pocznę. *La nuit porte conseil.* Na wszelki wypadek jednak pozwól się choć pożegnać.

Hrabia August zdaleka się skłonił w milczeniu. Popatrzyli na siebie, a potem Filip wolnym krokiem poszedł ku drzwiom i wysunął się z pokoju.

Gdy nazajutrz rano, obudziwszy się, spytał o niego August, powiedziano mu że wyjechał nadedniem. Dokąd... nie wiedział nikt.

Uradowało to prawie Augusta, który jak tylko mógł najspieszniej pobiegł na Via Sistina. Tu znalazł już jakby przygotowania do podróży; Ferdynand zakłopotany i smutny stał w proggu, wnoszono kufrы.

— Czekał — zawołał przybywający — przychodzę z dobrą nowiną. Zdaje mi się że wszystko to niepotrzebne. Hrabia Filip wyjechał w nocy. Żegnał się zemną jakby na długo, nie macie więc żadnego powodu do opuszczania Rzymu.

Na tę rozmowę nadeszła błada i smutna p. Liza, posłyszawszy głos hrabiego.

Powtórzył jęj wesoło, że hr. Filip sam pomiarkował, iż zwyciężonemu nie pozostało nic jak plac opuścić.

— Niéma go! — dodał — nie widzę więc powodu do opuszczania Rzymu.

Z początku pani Liza przyjęła wiadomość tę twarzą rozweseloną, lecz po krótkim namyśle głową potrząsnęła.



— Odjazd ten nagły — rzekła — jest mi podejrzany. Nie wierzę w taką pokorę i poddanie się, to może być tylko jakaś zasadzka. Nie ufam mu.

— Miałabyś pani słuszność — odparł August — gdyby pozostawała mu jaka droga inna nad wycofanie się, po wszystkich popełnionych niedorzecznościach; ale cóż miał począć?

— Nie wiem — rzekła Liza — czuję tylko, że spokojną być nie powinnam i nie mogę. Posądzam go że się domyślał, iż ja mu ujdę i ustąpię; wołał więc może sam pozornie zniknąć, niż szukać mnie i moich po świecie. Panu Wiktorowi, równie jak mnie i Ferdynandowi, bezpieczniej gdzieś innego szukać kątką...

— A nam osieroconym... — westchnął August.

Liza wyciągnęła mu rękę.

— O! my się gdzieś znajdziemy! — szepnęła.

---

Dwa lata upłynęły i była znowu wiosna, lecz inna wcale, bo pod niebem nie włoskiem, bo w kraju, w którym zima bywa jak u nas długa i ostrą, a po tym śnie szybko, nagle, w oczach prawie, wszystko się rozwija i życie wraca, jak wstrzymany potok, z podwójną siłą. Drzewa stały już w swym majowym stroju, łąki w szmaragdowych kobiercach, niebo śmiało się bladym lazurem łagodnym, a w rzekach odbijało się jakimś tonem, który żenił powietrze z ziemią.

Niedaleko od brzegu Elby, na wzgórzu, stała willa, otoczona rodzajem parku, starymi drzewami ocienionego. Prawie pod jej kwiatowy ogródek, zasadzony przed gankiem i werendą, podchodziły wody rzeki, od których wylewu gruby mur bronił. Po za willą i parkiem jej stromo, wysoko wznosiły się piaskowe ściany żółte tego, co to zowią Szwajcaryą saską, u góry sosnowym i świerkowym lasem porośłe. Potok jakiś przed laty wyrwał w skalistej ścianie drogę, przerznął ją, wyłobił, porozbijał głązy, podmył ich podstawy i wyłobiał wąwóz, który poza parkiem uciekał gdzieś w góry i lasy, a sterczące nad nim boki kamienne, rozsypujące się w proch, miały już czas porosnąć gęsto w drzewa i krzewy. Oko, sięgając w głąb, gubiło się w gąszczy zielonej, poprzerzynanej słupami drzew, a gdzieś tam malowniczo popstrzonej nagimi głazami. W łożysku starego potoku płynął teraz strumień cichy, po burzy i deszczu tylko wzbierający, a porozrzucane złomy kamieni białawych, żółtych, pomarańczowych zmuszały wody przerzynać się, spadać i mruczeć pocichu.

Ścianami wysokimi zakryta willa ze swym ogrodem, winnicą, kwiatami, wieżyczką, werendami, balkonami uśmiechała się zalotnie płynącym Elbą statkom i przeciwnym brzegom.

Obok, ponad brzegami jej w lewo i w prawo ustawione, przedzielone od siebie zielenią i skałami, stały jak zajrzeć wille, domki, chatki, kamieniczki, małe i wielkie budowle, służące latem za przytułek szukającym powietrza, ciszy i spokoju.

Niektóre z nich smakiem nowszym zdradzały młodość, inne dachami wysokimi, małymi oknami, prostotą budowy, choć odświeżone, mówiły o czasach dawnych.

Ogromne łomy kamienia, nagromadzone u brzegów zapasy jego, poprzywiązywane do brzegów barki, kręcący się robotnicy, niekiedy garstka miejskich gości, w jaskrawszych strojach, ożywiały dość pustą okolicę.

Przewoźnicy czółnami cochwila przerzucali z jednego brzegu na drugi turystów i mieszkańców, powracających z miasta i miasteczka.

Krajobraz, uśmiechnięty dobronudownie, w prawo i lewo ukazywał malownicze brzegi rzeki, wzgórze piętrzące się urwistymi bokami, gaje, sady, białe domy, czerwone dachy, kłęby drzew w dolinie, czarne lasy na wyniosłościach, i jakbypoustawiane naumyślnie fantastyczne ściany kamienne. Ale skały te, mimo powagi jaką sobie chciały nadawać, dla oczu do alpejskich okolic nawykłych, wydawały się jakby stworzone na to, żeby bawiły niewinnych turystów, a mieszkańcom dawały się krajać i sprzedawać. Trudno je było brać naseryo. Była to zabawka natury grzecznej, ale nie pamiątka tragicznej katastrofy.

Zaden wulkan tu nie wybuchał i stara granitowa skorupa ziemi nie podniosła się groźnie do góry. Zmarszczyły ją tylko kaprysy dziecinne.

Nawet w strasznym owym wąwozie ciemnym poza willą, wesoło było, zaciszno, i zbliżywszy się do tej głębinie, znajdował się w niej gniazdo zielone. Uboższe domki, które się

wstydziły wyjść na światło dzienne ze swemi łatanemi bokami, kryły się tu poprzylepiane do skał nad strumieniem, niekiedy w samą skałę tuląc się od zimna.

Ścieżyny wiodły bokami, wydeptane fantastycznie, wśród gąszczy, a idąc niemi, spotykał podróżny ciągle niespodzianki.

W tym dzikim jarze nagle zabielał dworek i różami zasadzony pachniał ogródek. Chatka była uboga, a w kwiatki bogata. I kwiatki rosły tu w dobrej zgodzie z grządką skromnej pietruszki, z kapustą i rzodkwią.

Wśród czarnych gałęzi sosen, wychylała się, obsypana kwiatami różowemi, jakby wiązanka bzów wonnych.

I tu było życie...

Tój wiosny zawczasu około willi, na której czole stał napis: *Sistina*, domki były pozajmowane przez przybyszów; właściciele wróżyli z tego, że ów prąd cudzoziemskich gości, który się od saskiej rezydencji odwrócił, znowu się ku niej skierował. Wszystkich mieszkających, przybyłych, najmujących, w czambuł Sasi tytułowali baronami i hrabiami, a gotowi byli tytułować i książęty, byle z góry płacili.

*Sistina* była już od roku nabyta, bo wprzód zwała się podobno willą Flory czy Rosy, inne zaś w sąsiedztwie ponajmowane przez towarzystwo, o którym stary Lehman, właściciel jednej z nich, twierdził, że to być musi rodzina, bo wszyscy ciągle żyli z sobą.

W *Sistinie*, urządzonej już wedle gustu nowej właścicielki, zbierano się najczęściej, bo tu było najobszerniej, najwygodniej i widok na okolicę najpiękniejszy. Obok druga, dosyć także sporych rozmiarów, mieściła jedną tylko panią.

Z przeciwniej strony, w mniejszym domku, mieszkał siwy, sam jeden mężczyzna; jeszcze dalej, na małym pagórku w fantastycznym gotyckim domku, pani z której Niemcy nie byli kontenci, bo zwali ją niespokojną i zbyt wymagającą.

W tych gościach nadelbiańskich łatwo się czytelnik domyśli zbiegów znad Tybru, którzy tu przytułku szukali. W *Sistinie* mieszkała pani Liza z bratem, w *Villa Maria* księżna Teresa, w domku jednym hr. August, w gotyckiej budowelce niecierpliwa i nie lubiąca Niemców księżna Ahaswera, dotąd jeszcze wdowa, mocno sobą i swym stanem znudzona, więc nieobiecująca tu długo pozostać.

Wieczór był piękny, a w ogródkach bzy rozkwitłe pachniały; na niebie pokazywały się gwiazdki i białe pływały obłoczki. W salonie na piętrze w *Sistinie*, przede drzwiami na balkon otwartemi, siedziało całe znane nam towarzystwo. Brakło tylko poety, który musiał pozostać na swém poddaszu, z rezygnacją geniuszu, który wie że męczeństwo dodaje mu blasku.

Ten cichy, z łagodnym powietrzem i wonią swą miłą wieczór, tak niepodobny do spędzanych wśród Rzymu, ten krajobraz tak skromny, wioskowy, to niebo umalowane tak miękkimi tony, sine a mgliste oddale, coś tęsknego i sielankowego, dosyć się podobały znajomym naszym, oprócz Ahaswery, która utrzymywała że ludność ma tu krew rybią, a kraj jest jakby pòlsenny.

Zmierzchało już i na zachodzie tylko widać było jaskrawszą lunę, która z za wzgórzów świeciła jeszcze. Czekało z herbatą wieczorną na powrót pana Ferdynanda, który tego dnia wybrał się do stolicy i miał statkiem przepływającym od Czech przyjechać na oznaczoną godzinę.

Ale statek nie wysadził go na brzeg i siostra zaczynała być o niego niespokojną, choć w Saksonii mniej niż gdzieindziej może grozi niebezpieczeństwo spóźnionym podróżnym.

Hrabia August dowodził, że roztargniony młodzieniec statek chybić musiał i zapewne przybędzie koleją do najbliższej stacyi.

Jakoż wistocie spostrzegła go księżna Teresa, przewożącemu się czółnem i dającego chustką znaki.

Razem z podwieczorkiem, zjawił się Ferdynand w salonie. Wszedł i choć nadrabiał wesołością, oko siostry coś dostrzegło na jego twarzy, niby ślad troski i zakłopotania.

— Co ci jest? — spytała.

— Mnie? nic a nic! — rozśmiał się Ferdynand. — Zły tylko byłem na siebie, żem do statku przybiegł, gdy był o kilkaset kroków od przystani.

— Pewnieś się pan na jaką ładną Saksonkę zapatrzył — wtrąciła Ahaswera, grożąc na nosku niekształtnym. — Mają one przecie sławę piękności.

— Musi to być chyba pamiątką znikłej przeszłości — rzekł Ferdynand. — Tymczasem owo plemię, o którym mówiono: *Wo schöne Mädchen wachsen*, zastąpione zostało jakiemiś inném. Twarz ładną zobaczyć trudno, a gdyby się ją znalazło, reszta postaci rozczaruje.

— Bacznie się pan przypatrywałeś — dodała Ahaswera.

Ferdynand ruszył ramionami.

— A! nie Włoszki to, brudne wprawdzie, zaniedbane, wysmarowane oliwą, ale jak boginie piękne, typowe, wielkiej krwi i wielkiego stylu, coś w sobie bohaterskiego i klasycznego mające... To biedny narodek, zapracowany, wątły choć czasem dogóry strzeli, jasnowłosa, płaskonogi, chudy albo nabrzękły.

Ahaswera się rozśmiała.

— Włoszek ci żal, panie Ferdynandzie, a mnie włoskiego kraju; bo tam, jakie jest to jest, ale drga życie. Tu ludzie wegetują.

Zdania były podzielone. Księżna Teresa w dobroci serca swojego broniła Sasów i szukała w nich stron dobrych, znajdowała ich sympatycznymi.

Gdy tak rozprawiano. Ferdynand nieznacznie wyciągnął na balkon hr. Augusta i szepnął mu:

— Wiész hrabia kogom widział w mieście?

— Miałżeby Wiktor przybyć, na którego czekamy i który jużby powinien wrócić ze swój wycieczki do Rzymu? — spytał August.

— Nie tailibym się z tą dobrą nowiną — rzekł ciszej Ferdynand. — Na zamkowej ulicy spotkałem hr. Filipa.

Wzdrygnął się August.

— Widział cię? — zawołał żywo.

— Niestety! gorzej, bo mi się zdala z uśmiezkiem uklonił — kończył Ferdynand.

Zamilkli; zasępił się hrabia.

— Wistocie to nowina nieprzyjemna, po dwóch leciech mieć go znowu, jak zawieszony miecz Damoklesa nad głową. Ani słyhać już o nim nie było; myśleliśmy że do kraju powrócił. Czy sądzisz że jest tu umyślnie?

— Nie wiem, ale z szyderskiego wyrazu twarzy ledwiebym go o to nie posądził — mówił Ferdynand i zamyślił się głęboko. — Trudnoż nam przed nim uciekać.

— Spodziewam się że nas tu do Schandau gonić nie będzie — rzekł August. — To przypadek... Nie mów o tém siostrze.

— Nie myślę jój tém niepokoić, chociaż złożyło się dziwnie, boć Gorajski lada chwila przybędzie.

— W Dreźnie się o nas nie dowié — rzekł August. — Nie śledził cię przecie?

— Dlatego się opóźnił, że się tego obawiał — przebaknął Ferdynand zmieszany.

Rozmowę przerwało powołanie do herbacianego stolika. Obaj panowie przyszli doń, udając wesołość, której nie mieli.

Poczta wieczorna przyniosła list od Wiktora, pisany z Monachium i zwiastujący przybycie jego za dni kilka.

Pani domu była w najróżowszym humorze, starając się go i w gościach rozbudzić. Trzpiotała się po dziecinnemu i nie tała z tém, że ją obiecane przybycie Wiktora czyniło tak szczęśliwą.

Księżna Teresa uśmiechała się, dzieląc tę radość; ale hr. August i mniej jeszcze od niego do odegrywania uczucia, jakiego nie miał w sobie, zdolny Ferdynand, psuli pani Lizie ten wieczór.

Czuła że coś im ciężyło, a brata znała tak dobrze, iż od wstąpienia jego na próg już się czegoś domyślała. Nie uszło jój oka, że wyszli nabalkon i szepotali długo, a posępna twarz i poruszenia siwowłosego przyjaciela dały jój do myślenia. Nie chciała dopytywać się o to, co przed nią ukrywano, ale wiedziała, instynktem kobiecym odgadując, iż coś — coś zaszło niezwyčajnego.

Ferdynand miał różne osobiste przygody, na które siostra oczy zamykać musiała, wiedząc o nich potrosze; ale nie mogło to być nic podobnego, gdy się o tém z Augustem naradzał. Więc cóż?...

Trochę niepokoju i ją ogarnęło. Chłodny i szybko nadchodzący wieczór, wkrótce po herbacie zmusił gości do rozejścia się. Pani Liza odprowadziła razem z Ahaswerą księżnę Teresę do jój domu, potem drugą przyjaciółkę do gotyckiej willi. Ciemno już było, gdy

z Fernandem, który jęj towarzyszył, zawróciła się do Sistiny. Po drodze wesół zawsze i trzpiotowaty brat był milczący.

— Cożes to takiego przywiózł z Drezna — spytała siostra — żeś zupełnie nieswój? Nie wymawiaj mi się, bo znam cię zbyt dobrze, bym się mogła omylić. Mów otwarcie, co to być może?

— Ale nic! nic niema! to ci się przywidziało — odparł Fernando.

— Czy masz osobistą jakąś przygodę, coś w czémbym ja ci radzić lub pomódz mogła? — dodała Liza.

Brat się rozśmiał nieszczérze.

— Daję ci słowo że niema nic... Cóżby być mogło?

Dopytywania czy nie odebrał czasem listu jakiego z domu, któryby chciał przed nią utaić, doniesienia o jakiej stracie i t. p., wywołały tylko najuroczystsze zaręczenie, iż nic podobnego nie przyszło.

— *E pur si muove!* — z westchnieniem zakończyła Liza. — Nie chcesz mi powiedzieć; nie umiem wymódz tego na tobie, zatem... dobranoc!

Dzień następny upłynął, jak zwykle. Zkolei obiad był u księżny Teresy, herbata u Ahaswery; trochę dészczu i burzy przeszkodziło wieczornęj przechadzce po wąwozie i nad rzeką.

Troska, którą wyczytała na czole brata i Augusta, choć nocą nieco zatarta, jeszcze i tego dnia była dla postrzegawczego oka p. Lizy widoczną. Wieczorem hr. August zapowiedział, że pojedzie do miasta, że chce raz jeszcze zwiędzić muzeum, potem obejrzyć rezydencyą, i nie powróci aż wieczorem.

Było to tak zwyczajném i często powtarzającém się, że żadnych obudzać nie mogło domysłów. Dano różne małe polecenia posłowi, który się z nich zawsze bardzo szczęśliwie wywiązywał.

Wistocie August, który był tak poufale niegdyś z Filipem i sam jeden mógł się pochłubić, że nań wpływ jakiś wywierá, miał nadzieję spotkać się z nim, w potrzebie nstręczyć mu się i zbadać co go tu sprowadzało.

Najpiérwszy statek, zatrzymujący się w Schandau, zawiózł go do Drezna. Hrabia napród poszedł do biura pod Frencukirche, gdzie doskonale zawsze informowana policja, z łatwością dała mu adres hr. Filipa, stojącego w hotelu Saskim.

Nie miał na myśli odwiedzić go hr. August, ale znając doskonale obyczaje drezdeńskie, wiedział iż po obiedzie niezawodnie znajdzie go na owej sławnęj niegdyś terasie u Torniamentego.

Przebiegłszy galerye, posiedziawszy przed madonną Rafaela i Holbeina, postawszy przed cudownym Chrystusem Tycyana (*Christo alla Moneta*), hrabia poszedł zjeść na terasie i z cygarem posunął się na kawę do Włocha.

Zdała już ujrzał tu siedzącego na ławce hr. Filipa i rachuba go nie omyliła. Parę lat niewidzenia wielkięj w nim nie zrobiło zmiany; nietylko że starszym i mizerniejszym nie wyglądał, lecz zdawał się, jak kobiety, które czasem drugą jesienną młodością zakwitają, być świeższym, zdrowszym i twarz miał niemal wesołą. Na widok jednak hr. Augusta, którego poznał zdaleka, oblicze jego się zachmurzyło. Poruszył się niecierpliwie, chwilę jakby walczył z sobą, a potem nagle wstał i może obawiając się, by go hrabia August nie pominął, sam śpiesznie poszedł ku niemu.

— Wolno się choć przywitać? — zawołał, zdejmując kapelusz.

— Witam — odparł zimno August. — Niespodzianka to dla mnie.

— Sądzę że nie w téj chwili — rozśmiał się Filip. — Niespodzianką być musiała wiadomość o mnie, którą zawiózł wam Ferdynand.

Po chwilce namysłu, hrabia potwierdził to poruszeniem głowy.

— *Et l'on révient toujours à ses premiers amours...* — zanucił Filip. — Niemcy zaś powiadają: stara miłość nie rdzewieje. Jeśliście sądzili, że ja się wyrzekł zemsty — dodał niby żartobliwie — to mylicie się. Uciekaliście przedemną, lecz kto chce i musi, ten znajduje.

Hrabia August popatrzył nań długo, smutnie.

— Nie do pozazdroszczenia zadanie — rzekł — nosić się tak lata całe z zemstą, jakby z zażęciami węglami. Więć się cierpi samemu, niż uczynić może złego.

— Hrabia wiesz że ludzie, gdy są rozgorączkowani, wyegzaltowani, nie czują ani ognia, ani bicia — wtrącił Filip. — Tak właśnie zemną: poczuję coś tylko wówczas, gdy się pomszczę.

— Za co? — zapytał, ruszając ramionami, August.

— Za moje cierpienie.

— Nawet szaleństwo powinno mieć pewną logikę — rzekł zimno August. — Ja jej nie widzę w tém, gdy kto za winy swoje karać chce drugich.

— Bah! *c'est comme cela!* — z szyderstwem i uśmiechem zakończył Filip.

Hrabia August usiadł i kawy kazał podać. Filip swoją przeniósł do niego i był ruchawy jakiś i mimo tych gróźb mściwych, dziwacznie wesoły. Rozpoczął rozmowę obojętną.

— Nie lubię Drezna i téj terasy — rzekł — może dlatego, że chwałą je i sławią drudzy, bo to jest w mojej naturze. Ale tu wszystko śpi i osobliwie trywialną, pospolitą ma powierzchowność. Nie jest to wielkie miasto, ale rezydencja, jak mówią Niemcy, a że dwór, co jej blask nadawał, niezbyt teraz błyszczy, więc i ona przygasa. Państwo, jak słyszałem — dokończył — wszyscyście zamieszkali w okolicy. Nie wiem jak tam nie umrzecie z nudów.

Spojrzał na Augusta szydersko.

— Zkąd-że wiesz, że mieszkamy i kto mieszka? — zapytał August zdziwiony.

— A jakżebym ja nie miał o tém wiedzieć? — odparł Filip. — Przecie poto przybyłem do Drezna. Wiem że obie księżne są z panią Lizą i z hrabią w Schandau, gdzie spodziewam się że i pan Wiktor być musi, choć o nim jeszcze stanowczego języka nie powziąłem; lecz i do tego przyjdę czasem.

August kawę popijał w milczeniu, a Filip ze złościwością ciągnął dalej, jakby chciał go męczyć umyślnie.

— Szukam i ja willi w okolicy, aby być państwa bliżej.

— To będzie doskonały sposób wypędzenia nas — rzekł August zimno.

— Przedemną schronić się może trudno — odparł Filip.

Słuchający zżymnął się tylko. Patrzył na widok, który miał przed sobą, nie chcąc już odpowiadać. Prędko dopiwszy kawy, wstał z krzesła, skłonił się Filipowi zdala i żywym krokiem poszedł ku przystani, w której właśnie statek się gotował do odejścia.

Filip, oddawszy ukłon, nie ruszył się, powiódł oczyma za odchodzącym i został na terasie. Z oburzeniem oddalał się hr. August. Mówić dłużej, chcieć ubłagać i nawrócić tego człowieka, zdawało mu się niepodobieństwem, a miał we zwyczaju tam, gdzie nic nie było do zrobienia, marnie słów nie tracić.

Postanowił w duchu nie taić już przed panią Lizą bytności Filipa, a że pora kąpeli i wód nadchodziła, wybrać się gdzieś do jakiegoś mało znanego kątku, w którymby ich niełatwo znaleźć było można. Ahaswera i tak już życzyła sobie zmienić miejsce pobytu, a księżna Teresa gotową była towarzyszyć przyjaciółce wszędzie.

Prędzej, niżeli się go spodziewano tego wieczora, wrócił hr. August. Pani Liza, witając go, popatrzyła nań i dostrzegła potwierdzenie swych domysłów.

— Kochany hrabio — rzekła — ty i Ferdynandcós taicie przedemną. Powracasz nam chmurny jak noc.

— Nie będę taił — odpowiedział hrabia — w Dreźnie jest Filip. Mówiłem z nim.

Liza, która się zawsze obawiała jakiegoś gwałtownego starcia między nim a Wiktorem, pobladła. Ahaswera porwała się z kanapy i przybiegła, wołając:

— Filip? tu? i cóż? zmiłuj się!

— Dwa lata nie poprawiły go wcale; tak szalony jest, jak był. Zapowiada nam przyjemne swe sąsiedztwo, bo chce willę nająć w Schandau.

Wszyscy jakby głosem jednym zakrzyknęli, a najkrzykliwiej Ahaswera zawołała:

— *Mais c'est infâme!*

— Ja się ztąd wynoszę — rzekła Liza. — Willę moję wynajmę, czy niech sobie stoi pustką. Nie zniosę sąsiedztwa tego człowieka!

Łzy się jej w oczach zakręciły.

— Wszyscy pojedziemy ztąd — dodała księżna Teresa. — Ale dokąd?

Hrabia August rękami tylko okazał, że wybór był trudny.

— Musimy się Gorajskiego doczekać — zawołała p. Liza — a potem... Lecz tu tak nam się obiecywało życie ciche, spokojne, miłe!

Padła na krzesło, prawie zrozpaczona. August się przechadzał żywo po salonie.

— Miałem myśl — rzekł — abyśmy się gdzie u jakich mniej znanych wód na Szlązk czy do Turynii udali; lecz, koniec końcem, wiecznie tak uciekać i być gonionymi, to może zatruć życie. Temu śmiesznemu niebezpieczeństwu lepiejby może stanąć oko w oko i raz się z nim rozprawić.

— Ja — wtrącił Ferdynand — ja bo do rozprawy mam niepomiarłą ochotę. I owszem! głosuję za tém.

— Nie tak jak ty to rozumiem — rzekł August. — Należy go, nie ruszając się z miejsca, czekać i poprostu bronić mu się środkami, jakich się zwykle używa w obronie spokoju.

— Coż? wskazać go policji? — rozśmiał się Ferdynand. — Ale pfe!

— Tę pomocy potrzebować nie będziemy — dołożył August. — Byle panie się nie obawiała, ja sam na siebie straż nad nim biorę.

— A ja przy pierwszym spotkaniu tak go zbesztam — gwałtownie wybuchnęła Ahaswera — że mu odejdzie ochota zachodzić drugi raz drogę. — Na honor! hrabia masz słuszość. Nie trzeba się ruszać, ale bronić.

Liza się uśmiechnęła boleśnie.

— Zdaje mi się że państwo się mylicie — rzekła. — Przeciw napaści można się bronić, ale hr. Filip nadto jest przebiegły i zręczny, aby się na to narażał. Poprostu publiczną drogą chodzić nam będzie pod oknami, koło ogrodu, krzyżować się z nami na przechadzkach, gonić nas w wycieczkach. Tęgo mu nikt zabronić nie może, a dosyć będzie podobnego natręctwa, aby namzatrął tu życie. Dosyć będzie jego twarzy i uśmiechu, nastęrczających się cochwila, aby nie dać wyjrzyć oknem, wyjść na balkon, przesunąć się z jednego do drugiego domku swobodnie.

— To prawda — zawołał August — a jednak ja głosuję za tém, abyśmy nie uciekali przed groźbą. Czekajmy, zobaczymy co pocznie, a to nam wskaże, jak bronić się mamy.

— A! dla mnie już od dziś dnia zaczyna się męczarnia — dodała Liza — tém większa, że Gorajski przybywa, że o niego będę w obawie i o to, co on zniecierpliwiony może przedsięwziąć.

Tak wieczór cały prawie upłynął na smutnych rozprawach i przypuszczeniach. Jeden tylko Ferdynand, zatopiony w myślach, nie odzywał się prawie, a po rozejściu się wszystkich, drzwi pokoju zamknawszy na klucz, dobył pudełko z pistoletami, które zawsze woził z sobą, opatrzył rewolwer, naboje i wszystko doprowadziwszy do porządku, spokojniejszy spać się położył. Miał mocne postanowienie, nie mówiąc nic nikomu, nawet hr. Augustowi, przy pierwszej sposobności wyzwać Filipa i tém koniec nieznośnemu położyć prześladowaniu.

Jednakże ani dnia następnego, ani wciągu całego tygodnia nic nie dało powodu do obawy, aby Filip miał spełnić swe pogroźki.

O kilkadziesiąt zaledwie kroków od gotyckiej willi księżny Ahaswery, stała nienajęta tak zwana Villa Bellavista. Obszerna i zbyt kownie urządzona, kosztowała zbyt wiele, aby się na nią łatwo mógł znaleźć amator. Pan Lehman, który wiedział o wszystkim, co się od Schandau do Drezna działo, a nawet ztąd aż do Bodenbachu i Cieszyna, oznajmił księżnie w rozmowie, iż Bellavista przez jakiegoś polskiego bogatego grafa najętą nareszcie została i że się on wkrótce tu przenosi. Popłoch to wielki zrobiło między mieszkańcami sąsiednich domków, gdyż Ahaswera była pewną że nie kto inny był tym grafem, tylko Filip.

Po kilku dniach jednak okazało się, iż on to być nie mógł, gdyż Bellavista najętą została dla jakiegoś młodego małżeństwa. Z tą wiadomością przybiegła od Lehmana księżna, śmiejąc się z własnego strachu i oznajmując p. Lizie, że tym razem ktoś-to był inny.

Jakoż następnego dnia dwa w Dreźnie najęte ekwipaże przywiozły młode jakieś państwo, liczną służbę i mnogie pakunki. Przez cały dzień widać było krzątanie się około willi, bieganinę ludzi, a nad wieczorem białą sukienkę jakiejś młodej pani, słusznego wzrostu, przechadzającej się po ogródku.

Nie miano wielkiej ciekawości dowiadywania się o tych sąsiadów, których nazwisko wszystko wiedzący Lehman przyniósł dobrowolnie, ale tak przekręczone, iż z niego ledwie się czegoś polskiego domyśleć było można.

Dnia następnego obiad był u księżny Teresy. Obawa napaści hrabiego Filipa przechodziła; cochwila spodziewano się przybycia Wiktora, którego galerye monachijskie wstrzymywały.

Jadano tu zwykle na saski sposób, około drugiej godziny, aby mieć wieczór do wycieczek swobodny. O pierwszej wszyscy byli zgromadzeni u księżny Teresy, gdy powóz zatrzymał się przed domem i służący Niemiec przyszedł, zapytując czy, księżna przyjmuje sąsiadów z Bellavista, którzy jej chcą złożyć uszanowanie. Przytém wymienił nazwisko, zupełnie nie do zrozumienia skalęczone.

Zdziwiona trochę księżna sama nie wiedziała co począć, ale nie mogła grzeczności odtrącić; kazała więc prosić.

Wszyscy byli zgromadzeni w salonie, gdy drzwi się otworzyły i... wszedł hrabia Filip, prowadząc pod rękę kobietę niemającą może więcej nad lat osiemnaście, nadzwyczajnej piękności, z twarzą wesołą i trzpiotowatą, po której igrał uśmiezek zadowolenia z siebie, jakby mówić chciała:

— Patrzcież, jąkam ja śliczna! patrzcie i uwielbiajcie!

Na twarzy hr. Filipa widać było i pewne pomieszanie, i złośliwość i coś tryumfującego. Spojrzał zdala na hr. Augusta, jakby mu chciał powiedzieć:

— Oto jest zemsta moja.

Towarzystwo zebrane w salonie oniemiało w pierwszej chwili. Zdziwienie było tak wielkie, nadzwyczajne, że stłumiło wszystkie inne uczucia, które mogły się razem z niem objawić.

Pierwsza radością zabłysnęła twarz p. Lizy. Była mu wdzięczną, była niemal szczęśliwą, że takim *coup de théâtre* skończyły się jej niepokoje i męczarnie. Ahaswera jak w tęczę patrzyła w wesołą, młodziuchną hrabinę, która zdawała się jeszcze zachwyconą wszystkim: życiem, światem, prześliczną swą toaletą, przepysznemi klejnotami, które ją trochę nadto błyszczącą czyniły. Hrabia Filip, jak gdyby cała przeszłość poszła na wieki w niepamięć, przedstawiał z kolei swoją Anulkę i polecał łasce wszystkich, a Anulka, której seryo trudno było wytrzymać nawet krótką chwilę, już się wyrwała szczebiotac i zdawała chcieć przypodobać wszystkim.

Dla znających jednak bliżej hr. Filipa, to wesele kobiety nieopatrznej miało coś w sobie strasznego. Bawiła się, jak dziecię nad przepaścią.

Zdaje się że myśl ta, gdy patrzył na nią, przyjść musiała hr. Augustowi, w którego rysach przebijało się jakby politowanie. Księżna Teresa była uprzejma i zachwycona tą iskrzącą się młodością pięknej hrabiny.

Ahaswera zazdrościła jej nie męża, ale wieku tego i humoru.

Naostatek Ferdynand, wielbiciel pięknych twarzyczek, świeżych i z pączka wychodzących, stał zapatrzony z uwielbieniem.

Hrabia Filip, pomimo trudności zawiązania rozmowy, zrećnie dosyć wytłumaczył swe przybycie do Saksonii, jako podróż miodowych miesięcy, których nigdzie ciszej i miliej jak tu spędzić nie mógł, dodając iż mu się też poszczęściło, gdy *niespodzianie* znajdował tu tak dlań i dla żony drogie towarzystwo.

Sama pani przerwała mu żywo, tonem trochę parafiańskim, który młodość jej mogła tłumaczyć.

— A! bardzo tu ślicznie! Ja, co nigdy nie byłam za granicą, jestem zachwyconą. Jakie domki! jakie kwiatki! jakie sklepy... jak wszystko ładne! Nie wiem czy mi się zechce potem powracać do tej naszej zabrukaniej Warszawy.

Tym sposobem piękna Anulka zdradziła swe pochodzenie Warszawianki.

Po krótkiej wymianie kilku frazesów, hr. Filip, czując że pierwsze te odwiedziny krótkie być były powinny, dał znak żonie, a ta, choć niechętnie dosyć, zabrała się do pożegnania.

Ferdynand z wielką skwapliwością odprowadził ślicznego gościa do powozu.

W salonie patrzyli po sobie wszyscy długo, aż Ahaswera, uderzając w ręce, śmiać się zaczęła.

— A to prawdziwie doskonale! Zemścił się jak nie można lepiej... Biedna kobieta!

— Któż wie? — rzekł August — wydaje się być dotąd bardzo szczęśliwą.

Zdania i postrzeżenia były najrozmaitsze. Ferdynand, powracający z zaiskrzonemi oczyma, powtarzał ciągle tylko:

— Ależ piękna! ależ piękna!  
— *Beauté du diable!* — przerwała Ahaswera. — Powiedz lepiej: ależ młoda! nie wiem czy ma lat osiemnaście, a hr. Filip...

— Mało przeszło czterdzieści — rzekł August.

— Dla niego to smutne, ale dla niej — rozśmiała się Ahaswera.

— Państwo to bierzecie jakoś wesoło — rzekła Liza — a mnie ta para zrobiła wrażenie przejmujące boleścią.

— Kto to może być? Zkąd on ją wziął? — szepnęła księżna Teresa. — Niepodobna ażeby Filip popełnił mezalians.

— A mnie się zdaje — wtrąciła Ahaswera — że to panienka z wielkiego domu być nie może. Prawda że Filip jest milionowym panem, no, i tytuł coś znaczy; ale nie sądzę by z wielkiego domu dano mu taką młodziuchną panienczkę... na jego lata i na jego sławę...

— Wszystko jedno kto z domu — zawołał Ferdynand — ależ ładniuchna! ależ wesoluchna! Zemścił się hr. Filip.

Rozmowa o téj zemście i o obojgu nowożeńcach przedłużyła się przez obiad cały, do wieczora, a wieczorem na herbacie u pani Lizy, ile razy zaczęto mówić o czém inném, mimowolnie powracano do hrabiny Filipowej.

Śmiano się z Ferdynanda, który nie taił się, że na nim ta wiewióreczka, jak ją nazwał, nadzwyczajnie uczyniła wrażenie.

Nazajutrz ranek był prześliczny, a że obawa spotkania się z hr. Filipem ustała, ciekawość zaś była obudzona, zrana rozpoczęto znowu przechadzki. Zwykle każdy sobie wybierał cel wycieczki, nie krępując drugich, i hr. August wymijał willę Bellavista, posuwając się dalej brzegiem Elby, gdy u furtki ogrodu posłyszał za sobą:

— Do nóg upadam jaśnie pana hrabiego!

Odwrócił się. We drzwiach stał dawny niegdyś kamerdyner jego, Szymon, w nowym fraku białym krawacie, pomimo rannéj godziny.

— A ty tu co robisz? — spytał hrabia.

— Jak jaśnie pan widzi, przystałem na służbę do jaśnie hrabiego Filipa — odparł Szymon, kłaniając się do kolan Augustowi. — Bardzom szczęśliwy, iż jaśnie pana w dobrém zdrowiu widzę.

— Dawno już jesteś u hr. Filipa?

— Będzie z rok; jeszcze się o panią nie starał, gdym służbę u niego przyjął.

— Jak wasza pani z domu? — spytał August.

Szymon, w swoim rodzaju arystokrata, bo zawsze po pańskich tylko domach służywał, uśmiechnął się trochę figlarnie.

— Z domu, proszę jaśnie pana, z domu? — uśmiech się powtórzył. — No, ponoć Wątróbska — rzekł cicho.

Machnął ręką.

— Ale piękna pani co się zowie, i dobra! słowo daję!

Hrabiemu Augustowi nie chciało się w dłuższe wdawać badanie; skłonił się Szymonowi i poszedł dalej. Tymczasem ów kamerdyner, dobrze zdawna znajomy ze służącym hr. Augusta, tegoż ranka poszedł go przywitać. Razem widać do Schandau pospacerowali na pilzneńskie piwo i wieczorem, rozbiierając pana, pan Stosiński miał co opowiadać.

Od niego dowiedział się hr. August, że pani Filipowa pochodziła z rodziny, o której Filip nie mówił wcale, bo nie było o czém. Siostrę miała za nauczycielem tańców, a brata przy jakiejś fabryce. Hrabia zobaczył ją przypadkiem, zajął się mocno i pod pewnymi warunkami ożenił. Rodzina dać musiała słowo, że zdala trzymać się będzie.

Filip zamierzał wykształceniem żony sam się zająć i pochlebiał sobie, że z niej zrobi co zechce.

Tymczasem Szymon zaręczał, że nim do tego przyjść miało, ona nim rzucała jak piłką, rozkazywała, śmiejąc się wyrывała z pod panowania i była dotąd panią w domu. Hrabia tak był zakochany, że byle mu się uśmiechnęła, wszystkie plany reform odkładał na później. Piękna Anulka była na drodze, która do absolutyzmu prowadzi.



Hrabia Filip śmiał się i... ulegał. Jednej tylko struny poruszać nie dozwalał. Zazdrośnym był za najmniejszą oznaką zalotności, od której trzpiotowatej pani niezmiernie trudno się było powstrzymać.

---

Należałoby, dla uspokojenia czytelników, odsłonić teraz jeszcze jakiś rożek przyszłości; ale możnaż ją odgadnąć?

Nie umiemy powiedzieć nawet, czy owe ślubowiny dusz, zawarte między p. Lizą a Wiktorem, zmieniły się w przysięgę u ołtarza, do której księżna Teresa nagliła. Opór ze strony wdowy był coraz słabszy i zdaje się że po roku jakim nowicyatu i próby, musiała podać rękę przyjacielowi, który sam się o nią upominać nie śmiał.

Z osób, któreśmy w ciągu opowiadania poznali, księżna Ahaswera także wkrótce po zrzuceniu żaloby wyszła za mąż w Paryżu za Francuza, noszącego nazwisko hiszpańskie. Człowiek miał być niemłody, dowcipny, lubiący jeść dobrze, a jaknajmniej się męczyć jakąkolwiek pracą. Mówiono że pisywał do dzienników i zabięrał się zostać poetą, ale po ślubie mowy już ani o dziennikarstwie, ani o poezji nie było. Oboje lubili podróże i miodowe miesiące spędzili w Kairze.

Hrabia Filip po kilkunastu dniach, postrzegłszy że Ferdynand z jego żoną zbyt często ukradkiem rzucali na siebie wejrzenia, opuścił willę Bellavista i zawiózł Anulkę do Szwajcaryi. Czy tam ze swym skarbem czuł się bezpieczniejszym?... nie wiemy.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/chore-dusze-tom-ii/>

Tekst opracowany na podstawie: Józef Ignacy Krasiński, *Chore dusze*. Powieść w dwóch tomach, Tom II, nakł. Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1881.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybówie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0421-0

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).